BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDAŃSKU

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron | Warszawa, 25 marca 1951 r. | Nr 12 (52) Rok II

W NUMERZE m. in: **Edmund Bora** — Z genealogii polityki amerykańskiej; **Jerzy Zagórski** — Ojczyzna; **Jan Kott** — O nową syntezę polskiego Oświecenia; **Zbigniew Szymański** — Do towarzysza niemieckiego; **Paul Hogarth** — Hiszpania po raz drugi; **Dolores Ibarruri** — Do Carlosa Pueblo i do tych, którzy jak on szukają drogi prawdy; **Ewa Fiszer** — Za pokój; **Witold Zalewski** — Urodzaj; **Danuta Zabłocka-Skupieńska** — O pełną likwidację analfabetyzmu; **Dyskusja o książce Marii Jarochowskiej; Jerzy Piórkowski** — Kilka problemów jednego filmu.

JULIAN TUWIM

PRZEKŁADY Z LERMONTOWA

CHMURY

Chmurki niebianki! Pątniczki wieczne!
Stepem-lazurem, sznurem perłowym
Mkniecie wygnanki, siostry serdeczne,
Z miłej północy w kraj południowy.

Któż to was ściga? Losu zrządzenie?
Nienawiść jawna? Zawiść tajemna?
Czy niespokojne dręczy sumienie,
Czy też przyjaciół potwarz nikczemna?

Ach, wiem, znużyły was niwy bezpłodne,
Tęsknot nie znacie, ni mąk rozstania,
Wiecznie pogodne, wiecznie swobodne,
Nie ma ojczyzny wam, nie ma wygnania...

SEN

W południa skwar, w dolinie Dagestanu.
Leżałem z kulą w sercu, zesztywniały.
Z dymiącej jeszcze, niezapiekłej rany
Krwi mojej krople ciurkiem upływały.

Leżałem sam, na piasku, śród doliny,
Gromady skał piętrzyły się pod niebo,
Prażyło słońce żółte ich wyżyny,
I mnie prażyło, martwym snem śpiącego.

I śniło mi się, że w rodzinnej stronie,
Wieczorną porą kielich krąży wkoło,
A dziewy kwieciem uwieńczywszy skronie,
Mówią tam o mnie śmiejąc się wesoło.

I tylko jedna siedzi zamyślona,
Nie mówi nic i nic nie odpowiada,
I Bóg wie czemu, śród szumnego grona,
W sen smutny młoda dusza jej zapada.

I śni się jej dolina Dagestanu,
Znajomy trup w dolinie tej spoczywa,
I krew dymiąca ze zczerniałej rany,
Powoli stygnąc ciurkiem w piasek spływa.

DO SIEBIE

Kiedym, wbrew sercu, postanowił
Już jej nie kochać — na com liczył?
Kres wyznaczyłem bezkresowi,
Miłość bez granic — ograniczył.

Na jedną chwilę, przeniewierca,
Wzgardziłem straszną jej potęgą,
I dowód mam, że pragnień serca
Nie wstrzymasz wolą ni przysięgą.

Że nic mym więzom nie podoła,
A spokój, który mnie dziś mami,
To głos przelotny — pieśń anioła
Nad uśpionymi demonami.

PIEŚŃ

Śnieg wali, ziemię w puch odziewa...
Czemu się boi czarnobrewa
Z ganeczka zejść
I wody znieść?
Jak popa pogrzebowa pieśń
Łka zamieć zasypując wieś,
Narzeka
A pod wrotami kundel zły
Gryzie swój łańcuch, szczerzy kły,
I szczeka.

Lecz nie zawiei płacz pogrzebny,
Ni wycia psiego głos wróżebny,
Ni wichru jęk,
Budzą w niej lęk.
Jej miły w grób niedawno zszedł,
I nad śnieg bledszy tu się wnet
Ukaże.
Zdradziłaś! — powie — czekaj, stój!
I przeznaczony pierścień swój
Pokaże.

WDZIĘCZNOŚĆ

Za wszystko, wszystko, składam tobie dzięki:
Za gorycz łez, za pocałunków jady,
Za utajone namiętności męki,
Za zemstę wrogów i przyjaciół zdrady,
Za każdy w pustoe roztrwoniony poryw,
Za wszystkie w życiu złudy, omamienia,
Lecz jedno spraw: bym tobie od tej pory
Nie długo już zanosił dziękczynienia.

* * *

W milczące szeregi ustawił się pułk,
Gdy druha chowaliśmy w ziemi.
I tylko mamrotał coś stary nasz pop,
I wyła szaruga jesieni.

Nad świeżą mogiłą przy kasku stał kask.
We mgle pobłyskując jak ogień,
A czapka ułańska i szabla na płask,
Leżały na trumnie ubogiej.

Z żadnego tam serca nie wyrwał się jęk,
A oczy na ziemię patrzały,
Jak gdyby to wszystko co daliśmy jej,
Te oczy znów wydrzeć jej chciały.

Choć ciężko nam było wpatrzonym w ten grób,
Nie lały się łzy nierozumne,
I dar pożegnalny — garść ziemi spod stóp
Stuknęła padając na trumnę.

Żegnamy cię druhu, na wieki już śpisz
Pieśniarzu z modrymi oczami,
I co wysłużyłeś? drewniany ten krzyż,
I pamięć wieczystą i amen.

POTOK

Prąd namiętności we mnie rwie.
Prąd wielki i cudowny.
Powierzchnia — niebo, a na dnie
Srebrzysty piasek drobny.
Lecz bezustannie bystry nur
Wiruje piaskiem, zmąca grunt,
A niebo nad wodami
Odziane obłokami.

Z życiem się rodzi zdrój tych żądz,
I z życiem wraz odpływa.
W tym — słabo bijąc, a w tym — wrąc,
Lecz wszystkich nas porywa.
Szczęśliw ten pierwszy. Ale ja
Ów spokój powszedniego dnia
Oddam za dwa trzy mgnienia
Rozkoszy lub cierpienia.

* * *

Na ostrogi srebrne patrzę,
I w zadumie trwam głębokiej:
Drżę o ciebie, mój latawcze,
Drżę, mój koniu, o twe boki.

Pradziadowie ich nie znali,
I tratując stepów szlaki,
Nahajami popędzali
Niepokorne swe rumaki.

Nastał jednak wiek oświaty:
Zamiast grubych obyczajów,
Wprowadzono świeżej daty
Wynalazki z obcych krajów.

Dzisiaj karmią, honorują,
Cenią grzbiet, na którym siedzą..
Dawniej bili — dzisiaj kłują
A co lepsze — diabli wiedzą.

PIEŚŃ

Ty na krwawe idziesz boje,
Lecz wysłuchaj prośby mojej
Miły, wspomnij mnie!
Gdy zawiodą cię nadzieje,
Druh cię zdradzi i wyśmieje.
Kiedy dusza twa zwątleje
I będzie ci źle,
Miły, wspomnij mnie!

Kiedy nocą przy ognisku
Wskażą ci mogiłę bliską,
Niech twe serce drgnie
Gdy powiedzą o zhańbionej,
Zapomnianej i wzgardzonej,
Niech myśl twoja z obcej strony
Do mnie wtedy mknie,
Miły, wspomnij mnie!

Może ciebie w noc złowrogą
Dni minione przejmą trwogą
W mrocznym, ciężkim śnie
Dojdą cię tęsknoty jęki,
Pieśń miłości, okrzyk męki,
Lub podobne do nich dźwięki,
Ale choćby w śnie,
Miły, wspomnij mnie!

EDMUND BORA

Z GENEALOGII POLITYKI AMERYKAŃSKIEJ

12 listopada 1939 roku ukazał się w „New York Herald Tribune" artykuł jednego z najwybitniejszych publicystów amerykańskich, Waltera Lippmanna, który stwierdzał bez ogródek, że „główne zagadnienie wojny sprowadza się do tego, czy Niemcy wrócą do wspólnoty mocarstw zachodnich jako obrońcy Zachodu".

Koncepcja powierzenia hitlerowskim Niemcom wzniosłej misji „obrońców Zachodu" nie była oryginalnym i nowym wynalazkiem Lippmanna. Koncepcja ta nie była nawet wyłączną zdobyczą publicystyki amerykańskiej. Nie wypłynęła też dopiero po zwycięskim zakończeniu kampanii wrześniowej przez Hitlera. Stara to była koncepcja i nierozłącznie związana z wszystkimi pomysłami krucjat antyradzieckich, które przez cały okres międzywojenny zaprzątały umysły kół rządzących w świecie kapitalistycznym.

Zachował się w archiwum niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych stenogram rozmowy między Hitlerem a brytyjskim ministrem lordem Halifaxem. Rozmowa odbyła się w Obersalzbergu dn. 19 listopada 1937 r. W trakcie rozmowy Halifax oświadczył dosłownie, że „on i inni członkowie rządu angielskiego uświadamiają sobie dobrze, iż führer osiągnął wiele nie tylko w samych Niemczech, ale że w wyniku zniszczenia komunizmu w swoim kraju zamknął temu ostatniemu drogę do Europy Zachodniej i dlatego Niemcy mogą się słusznie uważać za bastion Zachodu przeciw bolszewizmowi". Zauważmy mimochodem, że lord Halifax pochwalając w swoim imieniu i w imieniu innych członków rządu brytyjskiego „zniszczenie komunizmu w Niemczech" i mianując hitlerowskie Niemcy „bastionem Zachodu", tym samym aprobował gestapowski terror i obozy koncentracyjne, które już w 1937 roku rozsiane były na terenie całych Niemiec.

Podejmując w listopadzie 1939 roku wątek myśli Halifaxa, Walter Lippmann formułował na łamach „New York Herald Tribune" po prostu nową rozszerzoną koncepcję Monachium. Koncepcja ta była rozszerzona, bo wyraźnie już uwzględniała klęskę wrześniową Polski i wychodziła z założenia, że klęska ta jest ostateczna. Oto słowa Lippmanna, nie pozostawiające co do tego żadnych wątpliwości: „...wobec wzmacniania się Rosji, Czechosłowacja i Polska nie mogą teraz być inaczej zrekonstruowane jak pod protektoratem Niemiec. Bezpieczeństwo Niemiec i Europy nie może być inaczej zapewnione jak tylko przez Niemcy, które potrafią się stać protektorem europejskiej strefy pogranicznej".

Mamy tu klasyczny przykład połączenia cynicznej pogardy dla sprawy niepodległości ujarzmionych przez hitleryzm narodów europejskich z nie mniej cynicznym pasowaniem hitlerowców na „protektorów europejskiej strefy pogranicznej".

Wydawałoby się, że autor projektu uznania protektoratu Niemiec nad Czechosłowacją i Polską powinien był należeć do skrajnie hitlerofilskiego odłamu amerykańskiej burżuazji. W rzeczywistości Lippmannowi przy całej jego nienawiści do Związku Radzieckiego i socjalizmu w warunkach amerykańskich tytuł hitlerofila się nie należał. Przeciwnie, był on ściśle związany z kołami, które wypowiadały się za udzieleniem pomocy mocarstwom zachodnim i nie wykluczały możliwości przystąpienia USA do wojny w jednej z późniejszych jej faz. Przy bliższej zresztą analizie przytoczonej wyżej wypowiedzi wypadnie dojść do wniosku, że publicysta „New York Herald Tribune" radził właściwie podarować Hitlerowi to, co ten bez łaski USA miał w listopadzie 1939 roku w swoich rękach. Ofiarować w listopadzie 1939 roku hitlerowskim Niemcom protektorat nad okupowaną już Czechosłowacją i Polską w zamian za wyrzeczenie się reszty Europy — znaczyło apelować do „sumienia" Hitlera, znaczyło przemawiać do mistycznej troski przywódców Trzeciej Rzeszy o wspólne interesy całego świata kapitalistycznego. Przejść do ofensywy przeciw ZSRR koła rządzące w Berlinie miały zamiar wtedy, kiedy same uznają to za stosowne a nie zgodnie z życzeniami Waszyngtonu, Paryża czy Londynu. Niewątpliwie zdawał sobie z tego sprawę sam Lippmann. W tym samym bowiem artykule podsuwa sojusznikom zachodnim myśl nawiązania tajnych rozmów z kołami Wehrmachtu i przekonania ich, że Niemcom nie opłaca się ryzykować ofensywy na Zachód, kiedy mogą mieć wolną rękę na Wschodzie.

Platforma rozszerzonego w kierunku wschodnim Monachium, jako podstawa antyradzieckiego porozumienia między hitlerowskimi Niemcami a Zachodem, była jednak nierealna. Po prostu dlatego, że w Berlinie, jak zresztą w całej Europie, doskonale wiedziano, iż Stany Zjednoczone nie zamierzają w najbliższym czasie wystąpić czynnie z pomocą Anglii i Francji. Rząd Trzeciej Rzeszy uważał — i jak się okazało, nie omylił się — że może śmiało przystąpić do podboju Europy Zachodniej. Nie małą rolę odgrywały tutaj nadzieje, jakie w Berlinie wiązano z jawnie hitlerofilskim odłamem burżuazji amerykańskiej, reprezentowanym przez tzw. izolacjonistów. W gruncie rzeczy, izolacjoniści tym tylko różnili się od tzw. interwencjonistów typu Lippmanna, że w odróżnieniu od tych ostatnich „odstępowali" hitlerowskim Niemcom — w zamian za pełnienie przez nie funkcji „bastionu Zachodu" — nie tylko Polskę, Czechosłowację i Austrię, ale też Europę Zachodnią.

Izolacjoniści uważali, że Stany Zjednoczone nie powinny przeszkadzać Niemcom w zajmowaniu całej Europy lecz raczej skorzystać z klęski imperium brytyjskiego i francuskiego dla wyparcia starych mocarstw kolonialnych z Ameryki Południowej, z Azji i bodajże z Afryki. Izolacjoniści niedwuznacznie wskazywali, że Berlin „zorganizowawszy odpowiednio Europę zwróci się niechybnie przeciw Związkowi Radzieckiemu. Stany Zjednoczone—zdaniem izolacjonistów—gospodarczo mogłyby równie dobrze, jeżeli nie lepiej, utrzymywać stosunki gospodarcze ze zhitleryzowaną Europą, jak z Europą niehitlerowską. Jeden z najwybitniejszych izolacjonistów już po klęsce Francji w listopadzie 1940 roku stwierdził dosłownie: „Nonsensem byłoby przystąpienie do wojny. W imię czego będziemy wojować? Anglia nie walczy o demokrację, to bzdura. Nie ma sensu twierdzić, że USA nie będą handlowały z Europą, jeżeli zwycięży Hitler". Równocześnie izolacjoniści wskazywali, że Stany Zjednoczone chronione na morzu dzięki olbrzymiej przewadze swej floty będą mogły skupić uwagę na Dalekim Wschodzie i poskromić przesadne zapędy Japończyków. Krótko mówiąc, izolacjoniści bardzo poważnie rozpatrywali ewentualność podziału świata między hitlerowskimi Niemcami i Stanami Zjednoczonymi. Ta koncepcja, wynikająca z ostrych sprzeczności istniejących między poważnymi kołami imperializmu angielskiego i amerykańskiego, miała w roku 1940 tak poważny zasięg, że Churchill nie był pewien, czy sam Roosevelt nie ulegnie jej.

W listach do Roosevelta ówczesny premier Wielkiej Brytanii z wyraźnym akcentem pogróżki ostrzegał prezydenta, że jeżeli USA nie udzielą Anglii pomocy, kwislingowski rząd brytyjski odda flotę Hitlerowi i w tym wypadku nie wiadomo, czy stosunek sił między Niemcami a Stanami Zjednoczonymi nie przechyli się na stronę hitlerowską. „Może nastąpić moment w walce — pisze Churchill do prezydenta USA — gdy obecni ministrowie stracą kontrolę nad biegiem wypadków, gdy wyspa brytyjska będzie mogła uzyskać łagodne warunki stając się państwem wasalnym hitlerowskiego imperium. Powołany zostanie na pewno rząd proniemiecki dla zawarcia pokoju... Los brytyjskiej floty, jak już wspomniałem, zadecyduje o przyszłości Stanów Zjednoczonych, gdyż w połączeniu z flotami Japonii, Francji i Włoch oraz wielkimi zasobami przemysłu niemieckiego — w rękach Hitlera znajdzie się przeważająca potęga morska. Może oczywiście skorzysta z niej z litościwym umiarkowaniem, ale może i nie..." (Winston Churchill: „The Second World War". T. II).

W lutym 1940 roku wysłany został do Europy osobisty przedstawiciel prezydenta USA, Sumner Welles, z oficjalną misją wyjaśnienia stanowiska Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji i Włoch w sprawie możliwości zawarcia „sprawiedliwego i wiecznego pokoju" (S. Welles: „The Time for Decision", str. 73. New York). Misja Wellesa nie powiodła się, bo rząd hitlerowski nie był skłonny wyrzec się zdobycia Europy Zachodniej. Co się zaś tyczy konkretnych propozycji Wellesa, to można sobie wyrobić o nich dosyć jasny pogląd na podstawie jego rozmowy z ministrem spraw zagranicznych Włoch, Ciano. W odpowiedzi na oświadczenie ministra włoskiego, że jedynym praktycznym sposobem rozwiązania zagadnienia „bezpieczeństwa" Europy jest zawarcie paktu czterech mocarstw: Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch i Niemiec — Welles zgodził się z poglądem rozmówcy dodając tylko, że należałoby ten pakt uzupełnić porozumieniem w sprawie „międzynarodowej kontroli zbrojeń". Mniejsza o tę międzynarodową kontrolę zbrojeń z udziałem hitlerowskich Niemiec. Ważne jest wyznanie Wellesa, że w roku 1940 jako osobisty przedstawiciel prezydenta USA wypowiadał się za paktem czterech mocarstw z udziałem hitlerowskich Niemiec, paktem, co do którego ostrza skierowanego przeciw Wschodowi nie było żadnych wątpliwości.

Ale mimo nęcących propozycji, które jak widzimy pokrywają się w istocie ze wspomnianymi na wstępie radami Lippmanna, misja Wellesa skończyła się fiaskiem. Hitler bez przeszkód zajął wiosną 1940 roku całą Europę Zachodnią. „Do wiosny roku 1940 oficjalna polityka Stanów Zjednoczonych opierała się — stwierdza radziecki historyk I. Kadomski — na dwóch założeniach: 1) anglo-francuski blok jest dostatecznie silny, żeby uniknąć klęski, 2) anglo-francuska dyplomacja zdoła przy pomocy Ameryki zapobiec zaostrzeniu wojny na Zachodzie, kierując Niemcy przeciw Związkowi Radzieckiemu". (Woprosy istorii, 1950, nr 1). Nie ulega wątpliwości, że dyplomacja anglo-amerykańska różnymi drogami, a może i za pośrednictwem Wellesa, dawała Hitlerowi do zrozumienia, iż powinien jak najszybciej zwrócić się na Wschód. Dużo daje pod tym względem do myślenia „proroctwo" zawarte w depeszy wysłanej przez Churchilla do premiera Unii Południowo-Afrykańskiej, gen. Smutsa, dnia 27 VI 1940. Na rok przed napadem Hitlera na ZSRR premier Wielkiej Brytanii stwierdza: „Jeżeli Hitlerowi nie uda się nas pobić, prawdopodobnie rzuci się na Wschód. Faktycznie może to uczynić nawet nie próbując inwazji (na Wyspy Brytyjskie — przyp. E.B.), żeby znaleźć zajęcie dla swojej armii i ominąć trudności związane z zimą". (Winston Churchill: „The Second World War." T. II). Podana tu przez Churchilla motywacja przyczyn, dla których Hitler miałby skierować agresję przeciw Związkowi Radzieckiemu, jest tak nie przekonywająca, że musi nasuwać podejrzenie, iż premier brytyjski miał inne, konkretniejsze podstawy do prorokowania. Dane jego widocznie były niezupełnie ścisłe, bo omylił się o cały rok...

Napad Hitlera na ZSRR nastąpił w momencie, gdy w USA wzięły górę koła zdecydowane poprzeć imperium brytyjskie i uratować je przed niebezpieczeństwem grożącym mu ze strony imperializmu niemieckiego. Niemniej cały przebieg drugiej wojny światowej świadczy dobitnie o tym, że zarówno imperializm brytyjski jak i amerykański zamierzały wykorzystać pomoc radziecką dla zlikwidowania hitlerowskiego konkurenta, jednocześnie zaś maksymalnie przeciągając wojnę spowodować wykrwawienie się Związku Radzieckiego i w momencie decydującym wykorzystać jego spodziewaną słabość.

Znane jest oświadczenie ówczesnego senatora a obecnego prezydenta USA, Harry Trumana, w kilka dni po napadzie hitlerowskim na ZSRR: „Jeżeli zobaczymy, że wygrywają Niemcy, powinniśmy pomagać Rosji, a jeżeli wygrywać będzie Rosja, powinniśmy pomagać Niemcom, i tak, niechże oni zabijają się jak najwięcej". („New York Times" z 24 czerwca 1941 r.). Wiadomo, że mocarstwa zachodnie realizowały to zalecenie senatora Trumana, gdy zwlekając z utworzeniem drugiego frontu stwarzały warunki dla maksymalnego wykrwawienia się narodów radzieckich i innych narodów okupowanych przez hitlerowskie Niemcy.

W chwili zakończenia wojny amerykańskie koła rządzące mogły się łudzić że osiągnęły wszystkie swoje cele w skali światowej. Osłabione zostało imperium brytyjskie, nie istniało właściwie imperium francuskie, zniszczeni zostali konkurenci niemiecki i japoński, a co najważniejsze — Związek Radziecki poniósł olbrzymie straty ludzkie i materialne. Perspektywa hegemonii światowej USA wydawała się imperialistom bliska realizacji. Na Dalekim Wschodzie sojusz z kuomintangowskimi Chinami rokował nadzieje kontroli nad olbrzymimi obszarami Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej. Francja była tak dalece osłabiona, że Amerykanie przez długi czas nie chcieli jej wpuścić z powrotem do Indochin. W Europie zaś głód, nędza i zniszczenia rokowały kapitałowi amerykańskiemu wspaniałe widoki.

Wszcząć nowej wojny w roku 1945 — w warunkach ogromnego przypływu sympatii dla Związku Radzieckiego na całym świecie i zmęczenia narodów minioną wojną — Stany Zjednoczone nie mogły. Musiały się przy tym liczyć z konkretną siłą Związku Radzieckiego i całkowitym osłabieniem sojuszników zachodnich. W tych warunkach Truman musiał w Poczdamie akceptować nową granicę polsko-niemiecką. Koła rządzące w USA liczyły jednak wówczas na restaurację ustroju kapitalistycznego w Polsce i w Niemczech. Stosunki z kapitałem niemieckim, nie zerwane całkowicie nawet podczas wojny, zostały szybko wznowione w całej rozciągłości. Politycy amerykańscy nie przewidzieli, że w Polsce zwycięży demokracja ludowa, ani też, że Związek Radziecki pomoże w swojej strefie okupacyjnej niemieckim żywiołom demokratycznym zerwać z polityką parcia na Wschód i przystąpić do budowania nowych Niemiec na podstawach dotychczas nieznanych w historii.

Nie ulega już teraz wątpliwości, że w myśl koncepcji amerykańskiej nowa granica polsko-niemiecka miała być nie granicą pokojową, granicą waśni między obu narodami — a masy niemieckich przesiedleńców z polskich ziem zachodnich miały stanowić rezerwuar sił dla reakcji niemieckiej, którą wytypowano jako sojusznika w przyszłej walce ze Związkiem Radzieckim. Jeżeli już w roku 1946 Byrnes tłumaczył Niemcom, że granica na Odrą i Nysą nie jest granicą ostateczną, to ujawnił właściwie istotę założeń polityki amerykańskiej w stosunku do polskich ziem zachodnich. Przynęta w postaci oderwania tych ziem od Polski miała zmobilizować w Niemczech rewanżowe nastroje antypolskie i antyradzieckie. Jest przy tym prawdopodobne, że amerykańskie koła rządzące spodziewały się przy pomocą szantażu gospodarczego zmusić w odpowiednim momencie Polskę do odstąpienia tych ziem odrodzonym kapitalistycznie Niemcom. Rozwiał te nadzieje powojenny rozkwit gospodarczy Związku Radzieckiego, zwycięstwo demokracji ludowych w Europie Środkowej i Południowo - Wschodniej w końcu powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jednocześnie zwycięstwo Chin Ludowych zadało druzgocydujący cios amerykańskim planom hegemonii światowej.

I oto w roku 1951 jesteśmy świadkami skrystalizowania się „nowej" koncepcji politycznej imperializmu amerykańskiego, której treść sprowadza się do sojuszu z najbardziej zdeprawowanymi odłamami zachodniego - europejskiej reakcji, przede wszystkim zaś ze „starą gwardią" hitlerowsko - wehrmachtowską. Takich sojuszników trudno już wiem znaleźć.

Edmund B

JERZY ZAGÓRSKI

OJCZYZNA

Motto: „Lublu otcziznu ja, no strannoju lubowju!"
Lermontow

I ja ojczyznę kocham przedziwną też miłością!
Rozsądek ni szaleństwo wyjaśnień tu nie dają.
Nie sława mego kraju, nie miecz co niebo rozciął,
A lśni w Syreny ręku, — do tego mnie skłaniają,
Ani historii barwnej kobierzec doskonały,
Ani urwane w pół z nierównych wież hejnały.

Lecz chyba kocham ją. I podróżuję tu
Wśród zadymionych miast, gdzie rodzą się przemysły.
Gdzie chmury wzmaga dym z kominów stu wytrysły,
Gdzie człowiek ściga dzień, a mało zazna snu.
Tutaj od miast do miast w pociągach ciągle gonię,
Autobus trzęsie mnie wśród wyszczerbionych szos
Bym wiele widzieć mógł, samolot w niebie tonie,
Kiedy aleją idę, megafon ryczy w głos.

Lubię niedbały tłum swobodny
Co się wylewa z małych miast
I dzień zamglony, czynu głodny
I noce z przebłyskami gwiazd.
Nie będę kłamał że mi lekko,
Nie chcę być pośmiewiskiem muz.
Wiersz, co przekaże prawdę wiekom
Taki z latami będzie rósł.
Niejedną górę znam i strumień,
Niejedną-m tu przygodę przeżył,
I patrzeć do północy umiem
Jak w Białej bawią się szoferzy.

NAGRODY STALINOWSKIE ZA ROK 1950

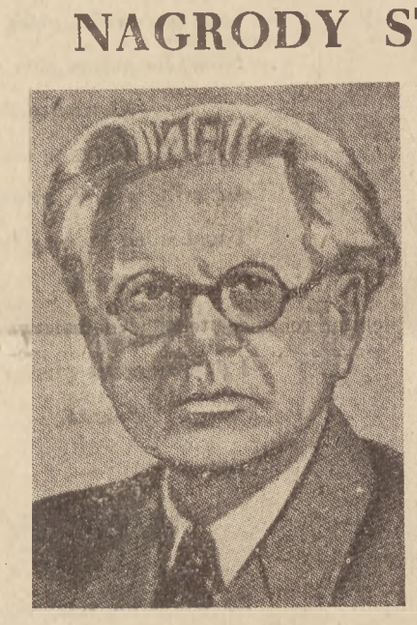

Fiodor Gładkow

Halina Nikołajewa

Andrzej Małyszko

Prasa radziecka opublikowała komunikat o przyznaniu Nagród Stalinowskich za wybitne osiągnięcia na polu nauki, wynalazczości, literatury i sztuki za rok 1950.

W dziedzinie prozy pierwsze nagrody przyznano **Fiodorowi Gładkowowi** za powieść pt. „Wolnica" i **Halinie Nikołajewej** za powieść „Żniwa". Drugie nagrody otrzymali: **Siemion Babajewski** za powieść „Światło nad ziemią", **Gumier Baszirow** za powieść „Honor", **Aleksander Czejszwili** za powieść „Lelo", **Mirza Ibrahimow** za powieść „Nadejdzie dzień", **Aleksy Kożewnikow** za powieść „Żywa woda", **„Mikołaj Nikltin** za powieść „Aurora Północy", **Kawi Nadżmi** za powieść „Wiosenne wiatry", **Anatol Rybakow** za powieść „Kierowcy" **Michał Sokołow** za powieść „Iskry". Nagrodę Stalinowską trzeciego stopnia w dziedzinie prozy otrzymali: **Sergiusz Antonow** za zbiór opowiadań „Drogami idą maszyny", **Mikołaj Biriukow** za powieść „Mewa", **Aleksander Gudajtis - Guzjawiczius** za powieść „Prawda kowala Ignotasa", **Anna Karawajew** za powieści „Ognie", „Rozmach", „Rodzinny dom", **Lew Kassil** i **Maks Polanowski** za powieść „Ulica młodszego syna", **Berdy Kerbabajew** za powieść „Ajsołtan z kraju białego złota", **Wadim Sobko** za powieść „Gwarancja pokoju", **Michał Stelmach** za powieść „Wielka rodzina", **Marietta Szaginian** za zbiór reportaży „Podróż po radzieckiej Armenii", **Iwan Szamiakin** za powieść „Głęboki nurt", **Sałczak Toka** za powieść „Słowo arata", **Jerzy Trigonow** za powieść „Studenci", **Witalij Zakrutkin** za powieść „Pływająca stanica".

W dziedzinie poezji pierwsze nagrody przyznano **Andrzejowi Małyszce** za zbiór wierszy „Za błękitnym morzem", **Samuelowi Marszakowi** za tom „Wiersze dla dzieci" i **Stefanowi Szczipaczowowi** za poemat „Pawlik Morozow". Nagrody drugiego stopnia otrzymali: **Grzegorz Abaszidze** za cykl wierszy „Lenin w Samgori" i „Na południowej granicy", **Gamzat Cadasa** za zbiór wierszy „Wybrane utwory", **Aleksy Surkow** za tom wierszy „Światu — pokój", **Teofil Tihvitis** za poemat „Na ziemi litewskiej". Nagrody trzeciego stopnia otrzymali: **Olga Bergholz** za poemat „Pierworosyjsk", **Piotr Browka** za zbiór wierszy „Droga życia", **Gework Emin** za zbiór wierszy „Nowa droga", **Mikołaj Kozakow** za zbiór wierszy „Poezja — najlepszy przyjaciel", **Siemion Kirsanow** za poemat „Makar Mazaj", **Rasuł Rza** za poemat „Lenin", **Płaton Woronko** za tomy wierszy „Piękny poranek" i „Pochwała pokoju".

W dziedzinie dramatu trzy nagrody drugiego stopnia otrzymali: **Ilo Mosaszwili** za sztukę „Zatopione kamienie", **Anatol Surow** za sztukę „Świt nad Moskwą" i **Aleksander Sztejn** za sztukę „Flaga admirała", **Julian Czepurin** za sztukę „Sumienie", **Mikołaj Diakonow** za sztukę „Wesele z posagiem", **Aleksander Kornijczuk** za sztukę „Kalinowy gaj" i **Kondrat Krapiwa** za sztukę „Śpiewają skowronki".

W dziedzinie krytyki literackiej i historii sztuki odznaczono dwie prace. Nagrodę drugiego stopnia otrzymał **D. Błagoj** za książkę pt. „Twórczym szlakiem Puszkina", a nagrodę trzeciego stopnia otrzymał **W. Orłow** za książkę pt. „Rosyjscy szermierze Oświecenia w latach 1790—1800".

W dziedzinie kinematografii fabularnej odznaczono 10 filmów. Wymienić tutaj należy filmy: **„Tajna misja"** (reż. M. Romm), **„Daleko od Moskwy"** osnuty na tle znanej powieści Ażajewa (reż. A. Stołper), **„Spisek bankrutów"** (reż. M Kałatozow) i **„Wyzwolone Chiny"** (reż. S. Gerasimow). Nagrodą Stalinowską odznaczono również filmy: **„Mussorgski"** (reż. G. Roszal), film **„Żukowski"** (reż. W. Pudowkin) i film pt. **„Aleksander Popow"** (reż G. Rapoport), film **„Wesoły jarmark"** (reż. I. Pyrlew) i **„Smiałdzie"** (reż. K. Judin).

W dziedzinie muzyki Nagrodę Stalinowską otrzymał m. in. **D. Kabalewski** za muzykę do opery „Siudzina Tarasa" osnutej na tle powieści Gorbatowa pt. „Nieujarzmione", kompozytor **J. Meytus** za muzykę do opery pt. „Gwardia", kompozytor **L. Stiegman** za muzykę do opery „Iwan Sanikow" i **G. Ernesaks** za muzykę do opery „Wybrzeże burz". Pośmiertnie to nagrodzono **G. Gasanowa** za „Kantatę o Stalinie", **S. Prokofiewa** nagrodzono za suitę „Zimowe Sko" i za oratorium „Na straży pokoju". Pośmiertnie odznaczono **Mikołaja Miaskowskiego** za symfonię i kwartet nr. XIII.

W dziedzinie malarstwa Nagrodę Stalinowską pierwszego stopnia przyznano grupie plastyków z **Johansonem** na czele za obraz przedstawiający wystąpienie Lenina na III Zjeździe Komsomołu.

W dziedzinie grafiki nagrodę przyznano zespołowi karykaturzystów „Kukryniksy" **(M. Kupriianow, P. Kryłow** i **M. Sokoł)** za serię rysunków pt. „Podżegacze wojny" oraz ilustracje do powieści Gorkiego „Matka". Ponadto odznaczeni zostali: **B. Jefimow** za album rysunków — „O trwały pokój, przeciwko podżegaczom wojennym" i **Żukow** za ilustracje do książki „Opowieść o prawdziwym człowieku" B. Polewoja.

W dziedzinie rzeźby Nagrodę Stalinowską pierwszego stopnia przyznano m. in. rzeźbiarzowi **S. Lewkurowi** i architektowi **S. Iwanowi** za monumentalny pomnik Józef Stalin" w Erywaniu.

W dziedzinie sztuki teatralnej nagrodę pierwszego stopnia przyznano zespołowi Teatru Małego w Moskwie za wystawienie sztuki Korniewskiego pt. „Niezapomniany 1919". Ponadto nagrodzono grupę artystów MCHAT-u za inscenizację sztuki „Druga Miłość".

JAN KOTT

O NOWĄ SYNTEZĘ POLSKIEGO OŚWIECENIA*)

W dniu 14-ym marca minęło 150 lat od śmierci największego pisarza polskiego Oświecenia, Ignacego Krasickiego.

Jaką syntezę polskiego Oświecenia przyniosła pozytywistyczna historia literatury, która ugruntowała przecież naszą wiedzę o tej epoce? Jaką koncepcję czasów stanisławowskich i jaką ich ocenę znajdujemy w dziełach Chmielowskiego, Chrzanowskiego, Tarnowskiego i Pilata, a przede wszystkim w kapitalnych pracach i badaniach Smoleńskiego, będących niewątpliwie najwyższym osiągnięciem nauki burżuazyjnej w zakresie wiedzy o polskim Oświeceniu?

Pozytywistyczna historia literatury oceniała polskie Oświecenie z pozycji sojuszu burżuazyjno-obszarniczego, jaki ostatecznie dojrzał w osiemdziesiątych latach XIX wieku. I dlatego z czasów stanisławowskich wydobywano przede wszystkim te tendencje polityczne i umysłowe, które sojusz ten potwierdzały, a przynajmniej nie były dla niego groźne. Historycy literatury szli tutaj zresztą za koncepcjami historyków. Istotną treścią polskiego Oświecenia była dla nich walka o unowocześnienie i zmodernizowanie starej, szlacheckiej demokracji, wydobycie Polski z zacofania politycznego, gospodarczego i kulturalnego, w jakie pogrążył ją okres anarchii magnackiej czasów saskich. Stąd kompromis między mieszczaństwem a feudałami, którego wynikiem była konstytucja 3 maja, uznano za szczytowy moment polskiego Oświecenia. Pozytywistyczna historiografia dostrzegała tylko, i to w ograniczonej mierze, jedną stronę polskiego Oświecenia: konflikty wynikające z dążeń do zreformowania stanowego państwa o zacofanym ustroju. Była to historia ideologii i politycznej walki magnaterii, szlachty i tylko w pewnej mierze — mieszczaństwa. Pozytywistyczna historiografia pomijała konflikt o wiele bardziej historycznie doniosły: walkę chłopstwa z pańszczyźnianą niewolą. Milczała zarówno o doli jak i o roli i o znaczeniu mas uciemiężonych i wyzyskiwanych, których kosztem odbywały się wszystkie reformy i przeciwko którym zwrócony był sojusz feudalno-mieszczański.

Stąd pominięcie podstawowej wewnętrznej sprzeczności polskiego Oświecenia, wynikającej z próby szczepienia kapitalizmu na gruncie niezmienionej feudalnej niewoli. Stąd zacieranie różnic między lewicą a prawicą obozu reformy i przedstawianie go, poza jednym Smoleńskim, jako niezróżnicowanej wewnętrznie, jednolitej całości. Stąd

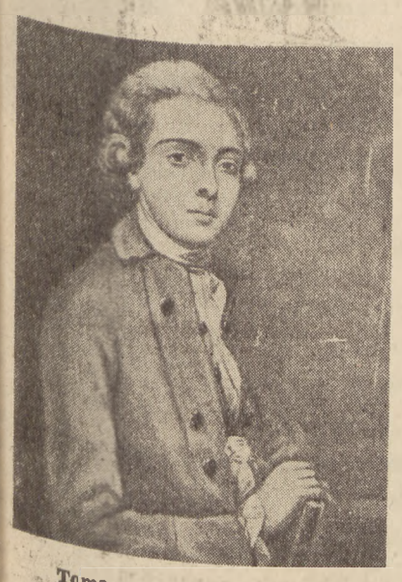

Tomasz Kajetan Węgierski

wreszcie niedocenianie krytycznej pasji polskiego Oświecenia; jego zuchwałej i nowatorskiej myśli, odwagi i śmiałości w projektach lepszego urządzenia świata, a przeceniane znaczenia tchórzliwych i połowicznych reform.

Sprawy te wystąpiły najjaskrawiej w historii kultury i historii literatury. Wszelkich reformatorów i pisarzy polskiego Oświecenia pozytywistyczni badacze próbowali przyciąć do poziomu warszawskich sklepikarzy lub galicyjskich hrabiów z dziewięćdziesiątych lat zeszłego wieku. W dziejach literatury stanisławowskiej nie zajęła należnego miejsca ani namiętna poezja polityczna Zabłockiego, ani radykalizm i libertynizm Węgierskiego, ani ateizm i materializm Trembeckiego. Pomijano konsekwentnie ogromny wpływ Rewolucji Francuskiej na poezję i publicystykę 1791—95. Nieznana nawet od strony materiałowej, nie wydobyta z rękopisów pozostała antytargowicka liryka rewolucyjna, przepojona duchem jakobińskim. Pominięto i zlekceważono patriotyczną, internacjonalną i republikańską poezję Jasińskiego.

*) Fragmenty referatu wygłoszonego na Sesji Naukowej poświęconej problematyce polskiego Oświecenia w związku z pracami przygotowawczymi do I Kongresu Nauki Polskiej.

Nie wydobyto naczelnych wartości literatury stanisławowskiej, jej żarliwości politycznej i społecznej, bogactwa treści poznawczych, jej szlachetnej tendencyjności, nowatorstwa ideowego i artystycznego, jej racjonalizmu i żywiołowego realizmu. Żywą część dziedzictwa Oświecenia reprezentował kanon szkolnej lektury. Należały do niej Satyry Naruszewicza i Krasickiego, Bajki, Monachomachia i Doświadczyński Krasickiego, Trembeckiego Bajki i Zofiówka, parę sentymentalnych wierszy Karpińskiego i wreszcie Sybilla Woronicza i Bard Czartoryskiego o wyraźnie wstecznych preromantycznych tendencjach. W repertuarze teatralnym pozostał co prawda „Powrót Posła" i „Fircyk w zalotach", ale obie te sztuki stają się wkrótce jedynie widowiskami dla młodzieży. To niemal wszystko.

Jakub Jasiński
wg. portretu J. Moraczyńskiego

Dynamikę rozwoju literatury w czasach stanisławowskich ujmowali badacze pozytywistyczni jako wielki proces przejmowania i naśladowania zachodniej kultury, i to przede wszystkim francuskiego klasycyzmu, a nie francuskiego i angielskiego Oświecenia. Zachodnia kultura stanowi dla historyków literatury jakąś dziwną i harmonijną całość, obejmującą i godzącą ze sobą zarówno twórczość Racine'a i Boileau, jak Locke'a, Woltera i Monteskiusza, aż po Pieśni Ossjana, Younga i Sterne'a. Nie dostrzegano w kulturze Oświecenia podstawowego antagonizmu między burżuazyjnym realizmem i feudalnym klasycyzmem, rozpadu poetyki klasycystycznej i narodzin nowych literackich rodzajów: burżuazyjnej powieści i dramatu. Pomijano narastanie rewolucyjnego programu burżuazji i drobnomieszczańską krytykę kapitalistycznego postępu. Od Boileau i Racine'a po Diderota i Russa to był tylko i zawsze francuski klasycyzm.

Może najjaśniej pozytywistyczną syntezę literatury stanisławowskiej sformułował Pilat. Warto ją tutaj przytoczyć:

„Że cała poezja stanisławowska ujęta w karby zapożyczonej teorii klasyczno-francuskiej, a osadzona na gruncie jednostronnych dążności racjonalistycznych wieku Oświecenia, nie była i nie mogła być prawdziwą rzeczywistą poezją, poezją w głębszym słowa znaczeniu, która tryska z naturalnych źródeł twórczości ludzkiej, zasila się i uczuciem i wyobraźnią i wnosi ducha ludzkiego w sfery wyższe, ponad sprawy i cele praktyczne stosunków rzeczywistych, o tem nie potrzeba mówić, bo to czujemy dobrze wszyscy... ...Pod wpływem ścisłych przepisów klasyczno-francuskich poezja nasza nie tylko otrząsła się z fałszywych i śmiesznych cech dawniejszych, ale wyrobiła stopniowo i uszlachetniła styl i wiersz i doprowadziła formę literacką i artystyczną do wysokiego stopnia doskonałości".

Jest rzeczą uderzającą, jak dalece poglądy Pilata, które stanowią zamknięcie pozytywistycznego okresu badań nad Oświeceniem, bliskie są już koncepcjom Borowego. W okresie imperializmu następuje gwałtowne uwstecznienie zarówno interpretacji nurtów literatury stanisławowskiej, jak i wyboru żywej części osiemnastowiecznego dziedzictwa. Krasicki pozostaje nadal czołowym poetą epoki, ale już nie jako reprezentant, ograniczonych choćby dążeń reformatorskich stronnictwa królewskiego, lecz jako mistrz stylu. Jednocześnie Monachomachia usunięta zostaje z kanonu szkolnego i przechodzi na półkę dzieł, do których zaglądają jedynie historycy literatury. Poezję barską natomiast spotyka nagły renesans, jest omawiana, wydawana i popularyzowana. „Uczucie i wyobraźnia" jako miary prawdziwej poezji oznaczają w praktyce badawczej nie tylko przykładanie do literatury stanisławowskiej wzorca liryki młodopolskiej, a więc jaskrawy metodologiczny ahistoryzm, ale również są maską dla określonych tendencji ideologicznych. Ze świeczką w ręku szuka się teraz w poezji Oświecenia objawów fideizmu, irracjonalizmu i pesymizmu. Stąd nagła kariera Kniaźnina, u którego Borowy ceni nade wszystko wewnętrzne rozdarcie, skomplikowanie osobowości, tragiczne pojmowanie życia i miłości.

Historia literatury Oświecenia przestaje być obrazem epoki, choćby nawet jak w czasach pozytywizmu ograniczonym jedynie do walki stronnictwa reformy z sarmatyzmem i zdradą magnacką; historia literatury staje się galerią portretów. Zmienia się konsekwentnie system ocen; nie ceni się już pisarza walczącego, społecznika, reformatora, działacza politycznego i krytyka, szuka się poetów serca, poetów zmysłów albo cyzelatorów formy.

Rozwijają się natomiast prace przyczynkarskie, rezygnujące z wszelkiej interpretacji, ale pracowicie gromadzące materiał. Bernacki zupełnie mechanicznie, ale wzorowo, jeśli chodzi o dokładność filologiczną, skatalogował teatralia stanisławowskie. Nowak-Dłużewski dokonał tej samej pracy w zakresie satyry i poezji politycznej. Panujące tendencje kosmopolityczne rozmnożyły wreszcie liczbę prac ustalających, często bezmyślnie, czasami trafnie, źródła obce wielu utworów stanisławowskich.

Nie przyniósł natomiast okres imperializmu krytycznych, czy choćby tylko pełnych wydań klasyków Oświecenia. Wydania krytyczne policzyć można na palcach jednej ręki. Teatr Bohomolca, Zabłockiego i Bogusławskiego jest praktycznie niedostępny, nawet w największych bibliotekach. Nie mamy pełnego wydania pism Kołłątaja, Jezierskiego, Staszica, wierszy Jasińskiego, Niemcewicza, Dmochowskiego. Ostatnie wydanie zbiorowe dzieł Krasickiego dokonane zostało przed przeszło siedemdziesięciu laty, pism Węgierskiego i Trembeckiego blisko siedemdziesiąt lat temu, poezji Zabłockiego przed pół wiekiem.

Wydania te są nie tylko bezkrytyczne, pełne rażących błędów i skażeń tekstu, ale jeszcze w dodatku niepełne, lekkomyślnie szafujące autorstwem i ocenzurowane. Zajmując się Trembeckim mogłem stwierdzić, jak teksty tego wielkiego poety uległy potrójnemu skażeniu: przez niechlujstwo edytorów, przez tendencje purystyczne warszawskich i wileńskich pseudoklasyków, usuwających skrzętnie dialektyzmy, archaizmy i neologizmy Trembeckiego i wreszcie przez świadome kastrowanie wierszy, z których usuwano z żelazną konsekwencją nie tylko libertyńską swawolę języka, ale całe ustępy antypapieskie i antyklerykalne.

* * *

Rozpoczęcie planowych i szerokich badań nad kulturą polskiego Oświecenia wymaga zarysowania wstępnej, choćby prowizorycznej syntezy, wydobycia naczelnych konfliktów, postawienia problematyki, określenia centralnych zagadnień. Musimy sobie jasno zdawać sprawę zarówno z ograniczenia, jak i z wielkości epoki. Nie wolno nam za wzorem nauki burżuazyjnej, nawet w jej najlepszym okresie, zapominać, że w swojej całości literatura polskiego Oświecenia jest wyrazem walki o szczepienie kapitalizmu na gruncie niezmienionego wyzysku feudalnego, że — mówiąc krótko — nie mieliśmy w Polsce Radiszczewa, tak jak nie mieliśmy wojny chłopskiej i buntu Pugaczowa. Żaden z polskich ideologów ani Kołłątaj, ani Jezierski, ani Staszic nie żądał jak Radiszczew rozdania między chłopów ziemi folwarcznej, nie stawiał na antyfeudalną rewolucję ludową. Polskie Oświecenie szło drogą feudalnych reform, kompromisu mieszczańsko-szlacheckiego i budowy państwa stanowego z pewnymi elementami burżuazyjnymi.

Ale podkreślając klasowe ograniczenie polskiego Oświecenia, którego wynikiem był zgniły kompromis, jaki zrodził konstytucję 3 maja, nie wolno nam przekreślać i lekceważyć trwałych i postępowych wartości, jakie czasy stanisławowskie wniosły w kulturę narodową. Walka o nową nadbudowę, która jest treścią polskiego Oświecenia, była historycznym wyrazem pierwszej fazy formowania się burżuazyjnego narodu, politycznej racji stanu i państwowej myśli. Polskie Oświecenie, tchórzliwe i kompromisowe w reformach, było wielkie w krytyce niesprawiedliwości feudalnych, w żywiołowym materializmie swoich najlepszych przedstawicieli, nieubłaganej i bezwzględnej walce z ciemnotą, zacofaniem i fanatyzmem religijnym, w wierze w postęp i w zaufaniu do rozumnej działalności człowieka. Literatura stanisławowska jest szkołą realizmu, społecznej odpowiedzialności, dyscypliny intelektualnej i nowatorstwa ideowego. W ostatnich wreszcie latach Oświecenia po raz pierwszy w naszej historii pieśń i poezja przemówiły rewolucyjnym językiem warszawskiego plebsu.

Aby wydobyć główne konflikty polskiego Oświecenia, ukazać jego wewnętrzne sprzeczności i dynamikę rozwoju literatury, trzeba postawić wewnętrzne cezury. Polskie Oświecenie dzieli się bowiem wyraźnie na trzy podokresy: od r. 1764 po ostateczne odrzucenie kodeksu Zamojskiego, od r. 1780 po konstytucję 3 maja i wreszcie od uformowania się Targowicy po upadek państwa polskiego. Każdy z tych trzech okresów ma swoją odrębną problematykę kulturalną i ideologiczną. Inni ludzie, inne środowiska literackie i polityczne odgrywają rolę czołową, gwałtownie zmieniają się uprawiane rodzaje literackie. W każdym z tych trzech okresów mamy inny typ realizmu osiemnastowiecznego, inaczej przebiega granica dzieląca siły postępu i wstecznictwa.

Oczywiście daty wewnętrznych cezur mają charakter przybliżony, stanowią punkty graniczne narodzin i wygasania konfliktów. Wewnętrzną periodyzację polskiego Oświecenia wesprzeć musi swymi argumentami historyk ustroju i historyk gospodarczy. Badacz kultury odpowiedzieć musi natomiast na pytanie, jaką rolę w walce ideologicznej spełniała literatura?

W okresie pierwszym, który obejmuje działalność Bohomolca, Naruszewicza i Krasickiego aż do jego rozejścia się z obozem królewskim, zagadnieniem, które dominuje w literaturze i publicystyce jest wychowanie klas rządzących do zreformowanego państwa feudalnego na wzór angielski, wychowanie magnatów i szlachcica do nowych warunków gospodarczych, w których decydującą rolę odgrywa pieniądz, w którym współistnieją ze sobą elementy kapitalistyczne i feudalne, w którym państwo, a nie każdy z feudałów prowadzi własną politykę zagraniczną i gospodarczą.

Okres ten nazwać możemy okresem Monitora i Zabaw Przyjemnych i Pożytecznych. Zwłaszcza Monitor odgrywa rolę decydującą w walce ideologicznej o nową nadbudowę. Niestety, nie mamy naukowej monografii Monitora, która by w pełni określiła zarówno jego odrębność jak i zależność od angielskiego Spectatora i licznych jego kopii w całej Europie. Monitor spełniał jednak niewątpliwie dwojaką rolę. Był wielką szkołą realizmu obyczajowego i dydaktyzmu, z której wyrosły satyry Naruszewicza i Krasickiego, obyczajowa komedia współczesna, a której wpływy dostrzegamy również na próbach powieści. Był wreszcie Monitor wielkim rozsadnikiem idei zachodniego Oświecenia, a przede wszystkim angielskiego kompromisu między wielkimi obszarnikami, monarchią i burżuazją, kompromisu, który był wzorem reform, do jakich zmierzała Familia i Stanisław August.

Historyk scharakteryzować musi swoistą recepcję merkantylizmu, jaki niewątpliwie daje się odczytać z kart Monitora i z wystąpień Mitzlera de Kolof. Monitor nie ma co prawda odwagi zaatakować wolności handlu, ale wzywa do opieki nad cudzoziemcami i do sprowadzania majstrów i rzemieślników, ukazuje znaczenie przemysłu, broni manufaktur, zachęca do zmiany renty odróbkowej na pieniężną. Czyż Colbert nie jest wzorem dla Stanisława Augusta w jego całym stosunku do Tyzenhauza?

Podkreślmy jeszcze od razu jedność ośrodka dyspozycyjnego, jakim przez te lata był dwór królewski i skupiona wokół Familii grupa wielkich feudałów. Możemy tutaj mówić o jedności obozu postępu i reformy. Warunkiem zwysięstwa grupy królewskiej jest wychowanie klasy rządzącej do nowego ustroju. Stąd zagadnienia szkoły, pedagogiki, walki o nowy typ nauczania, o nowe przyrodoznawstwo i nową filozofię odgrywają tak przemożną rolę. Wprowadzenie do szkół systemu kopernikańskiego, newtonowskiej fizyki, pedagogiki Locke'a, — oto etapy walki o nową nadbudowę.

Wychować trzeba magnatów i szlachtę. Stąd dwojaki adres czytelniczy publicystyki i poezji tych lat. Widać go z całą jasnością na satyrach Naruszewicza i Krasickiego. Już Chrzanowski zauważył, że uderzają one zarówno w sarmatyzm, ciemnotę, zacofanie i relikty epoki saskiej w masie szlacheckiej, jak i w kosmopolityczną kulturę magnacką i jaśniepańskie warcholstwo. Ale Chrzanowski nie rozszyfrował ideologii satyr do końca. Są one szkołą nowych cnót gospodarczych i państwowych dla ustroju, w którym samowładnego feudała, marnotrawnego fircyka i ciemnego szlachcica zastąpić musi mądry obszarnik, właściciel manufaktury i statysta. **Przypadki Doświadczyńskiego** i pierwszy tom

Ignacy Krasicki według portretu M. Bacciarellego.

A. K. Czartoryski myśli o pismach

Pana Podstolego są wypełnieniem tego samego zamówienia społecznego.

Wzorem dla Niemcewicza i Krasickiego jest Boileau, ale Boileau nie jako twórca poetyki klasycyzmu, ale jako autor listów i satyr, które przynoszą obraz i krytykę społeczeństwa feudalnego. Już przykład ten wystarczająco chyba dowodzi, że nie wolno nam pojęć klasycyzmu i Oświecenia używać wymiennie. Klasycyzm francuski przychodzi do Polski jednocześnie z krytyką feudalizmu. Stąd nie Malherbe i Racine, ale Boileau, Wolter i Monteskiusz stają się wzorami literackimi pierwszego okresu polskiego Oświecenia. Mamy już w tym okresie daleko posunięty rozkład poetyki klasycznej przez elementy realistyczne. W poezji następuje konkretyzacja portretu, uściślenie sytuacji społecznej, bogactwo rysów obyczajowych, pojawia się obrazek rodzajowy, dialog charakteryzujący postacie. Poezja ukazuje nam nie charaktery, nie postawy moralne, ale uogólnione realistyczne wzory obyczajów. Satyra ma w tym okresie charakter moralno-obyczajowy, ale jeszcze nie dojrzała do politycznego pamfletu.

Dodajmy teraz, że na te lata przypada właśnie przemiana Warszawy z zaniedbanego i brudnego miasteczka o 20 tysiącach mieszkańców, bez gmachów, bez wybrukowanych ulic, bez teatrów w wielkie, bogate i ruchliwe, nowoczesne miasto. Powiększenie się trzy albo nawet czterokrotne ludności Warszawy i całkowita zmiana życia w stolicy świadczy o poważnym wzroście elementów kapitalistycznych w gospodarce feudalnej. Warszawa za czasów stanisławowskich rośnie szybciej od Łodzi w okresie pozytywizmu. Taki wzrost, choćby nawet ludność Warszawy składała się w znacznej części ze służby wielkich panów, dowodzi zawsze o gwałtowności przemian społecznych.

Mnożą się w tych latach rozliczne manufaktury, które działają rozkładająco na system feudalny. Jednocześnie mamy największe nasilenie buntów i wrzenia wśród chłopstwa. Magnackie czynszowanie z r. 1777, któremu towarzyszyła szeroka kampania publicystyczna, a nawet i poetycka, było przede wszystkim objawem lęku i próbą zabezpieczenia się przed powstaniem chłopskim, a dopiero potem drogą do podniesienia dochodów przez przerzucenie ryzyka gospodarki na oczynszowanego chłopa i pozbycie się całej armii dzierżawców.

Dlatego też należy bardzo ostrożnie i subtelnie interpretować częste bardzo w publicystyce i w poezji tego okresu obrazy dobrego i złego pana, przyodziane w humanitarny kostium i broniące pracowitego kmiotka. Jest to znowu wychowanie szlachcica do nowego typu gospodarki, gdzie ekonoma z kańczugiem zastąpić musi pisarz prowentowy, obliczający dokładnie i sumiennie czynsze i dniówki. Literatura i publicystyka tych lat uczy szlachcica rachować, obliczać i kalkulować, chce, aby zamiast z szablą szedł w pole z ołówkiem w ręku.

* * *

Jakie były naczelne wartości obozu postępu i reformy w pierwszym okresie Oświecenia? Co pozostało trwałym dorobkiem polskiej kultury? Myślę, że zagadnieniem najistotniejszym, które dotychczas było albo pomijane, albo przynajmniej nie ukazane z dostateczną wyrazistością, jest walka obozu postępu o język narodowy. Zaświadczona jest ona w literaturze i publicystyce wielokrotnie. Wystarczy tutaj przypomnieć wystąpienia Konarskiego, a potem Bohomolca **De lingua polonica colloquium** z r. 1752 i przekład tego dzieła na język polski w r. 1756.

Oto Kochanowski, Twardowski i Makaroński dysputują o języku. Na propozycję Makarońskiego, aby starzy zachowali czystą polszczyznę, a młodzieży dozwolić na mieszanie łaciny, tak replikuje Kochanowski:

„Jako widzę chcesz, żeby dwa języki polskie były, jeden dla młodych, dla starych drugi. Pytam się, chwalisz czyli ganisz polszczyznę czystą, nie mieszaną; jeśli chwalisz, na cóż jej młodzi zabraniasz. Jeśli zaś ganisz, na cóż

zostawujesz młodym coś lepszego, a starym to, co jest mniej chwalebnego. Czemuż Francuzi jeden język i dla młodych i dla starych mają. Czemu u nich nawet młodym mieszać słów obcych nie wolno?"

Mamy w tym wystąpieniu Bohomolca jasną zupełnie świadomość znaczenia języka narodowego. Walka o polski język narodowy w pierwszym okresie polskiego Oświecenia ma niezmiernie szeroki zasięg. Obejmuje walkę z żargonem szlacheckim czasów saskich, z francuszczyzną, która wchodzi w użycie na dworach jaśniepańskich, z łaciną wreszcie, która powoli zostaje wyparta z naukowego piśmiennictwa. Cała twórczość Naruszewicza, powoli oczyszczającego swój język z barbaryzmów i baroku saskiego, pokazuje nam kierunek przemian. Język Krasickiego jest już językiem, którym dzisiaj mówimy.

Pisarze stanisławowscy w walce z żargonem szlacheckim sięgają do języka mówionego. Z niego rodzi się literacki język epoki. Świadczy o tym ogromna ilość słów technicznych, nazw ubiorów, sprzętów i wyrobów, terminów określających różnorakie zajęcia, terminów naukowych, słownictwa politycznego, przysłów i powiedzeń. Język literacki rodzi się z języka, którym mówią ludzie różnych stanów i zawodów. Jest to język nie tylko szlachty, ale kupców warszawskich i rzemieślników, język coraz liczniejszej rzeszy urzędników w różnych komisjach państwowych, język świeckich nauczycieli, uczonych i polityków.

Walce z żargonem szlacheckim czasów saskich i wzbogaceniem słownictwa o żywy język, jakim mówią w miastach, towarzyszy u wielu pisarzy stanisławowskich wzorowanie się na języku literackim czasów zygmuntowskich. Jest to tylko jeden, ale bardzo ważny przykład wpływu kultury polskiego renesansu na polskie Oświecenie. Oto ważny i nieopracowany dotąd temat przez historyków literatury.

U wielu pisarzy stanisławowskich, a przede wszystkim u Trembeckiego, Kniaźnina i Karpińskiego spotykamy wreszcie pierwsze, i bardzo charakterystyczne, próby naśladowania i obróbki słownictwa ludowego. Wzbogacają one i unaradawiają literacki język epoki.

Dla historii polskiego języka ogólnonarodowego okres Oświecenia ma znaczenie ogromne. Polski język ogólnonarodowy rodzi się w wielkim procesie formowania się burżuazyjnego narodu. Okres Oświecenia jest jeszcze jednym przykładem, że języka literackiego nie można przeciwstawiać językowi narodowemu, że rodzi on się z języka mówionego, jest jego naprzód uogólnieniem, a potem kodeksem.

Następnym kluczowym zagadnieniem dla specyfiki polskiego Oświecenia jest sprawa powieści. Pozwala nam ona jeszcze głębiej wydobyć zasadnicze przeciwieństwa między kulturą klasycyzmu a Oświecenia. Jeśli mówimy o recepcji w Polsce osiemnastowiecznej literatury Zachodu, musimy sobie jasno zdawać sprawę, jaka była zasada wyboru, jakich wzorów przede wszystkim szukano.

Zwróćmy uwagę na przekłady. W r. 1768 ukazuje się tłumaczenie bajek **Tysiąc nocy i jedna**, jednej z książek, która najsilniej zaważyła na kulturze Oświecenia przez ukazanie wzoru odmiennej cywilizacji i wzbogacenie techniki opowiadania. Mądry Chińczyk, przebiegły Arab, nawet okrutny Pers i namiętny Turek, podobnie jak przedtem dobry dzikus — tworzą galerię racjonalistycznych bohaterów walczących ironią, żartem i pozornie naiwnym rozumowaniem z wszystkimi przesądami feudalizmu. Rok 1769 przynosi przekłady: **Przypadków Robinsona Kruzoe**, wielkiej powieści, której bohaterem jest kupiec zakładający kapitalizm na bezludnej wyspie, **Idziego Blasa** Lesage'a i **Manon Lescaut** Prevosta. W r. 1777 ukazuje się **Diabeł Kulawy** Lesage'a i molierowski **Swiętoszek**, przystosowany do narodowych obyczajów. Żywym wzorem tego polskiego Tartufa, jak podaje przedmowa i motto, był głośny ksiądz Marek, karmelita. Ten szarlatan, cudotwórca i „prorok", który był małym Towiańskim konfederacji barskiej, zrobił potem wielką karierę literacką w mistycznym okresie polskiego romantyzmu. Polskie Oświecenie widziało w nim i słusznie, tylko świętoszka i obłudnika. W r. 1778 wychodzi tłumaczenie **Listów Perskich**. Od 1784 pojawiają się coraz liczniej przekłady powieści angielskiej. Ukazują się kolejno **Podróże Gulliwera** Swifta, **Random** Smolleta, powieści Fieldinga: **Amalia, Joseph Andews, Tom Jones.**

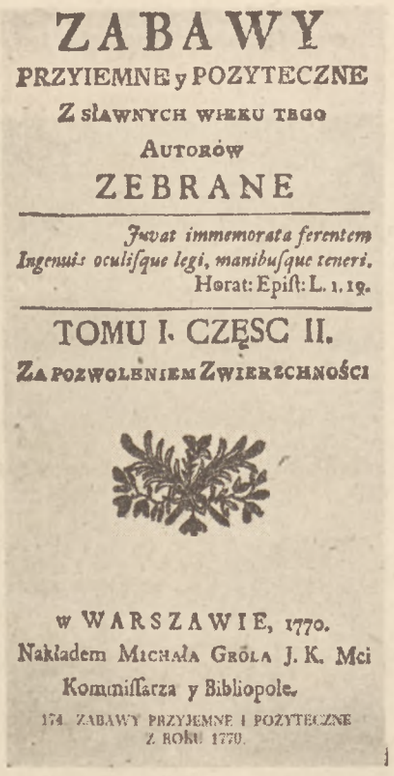
ZABAWY
PRZYIEMNE y POZYTECZNE
Z SŁAWNYCH WIEKU TEGO
AUTORÓW
ZEBRANE
Juvat immemorata ferentem
Ingenuis oculisque legi, manibusque teneri.
Horat: Epist: L. 1. 19.
TOMU I. CZĘSC II.
ZA POZWOLENIEM ZWIERZCHNOŚCI
w WARSZAWIE, 1770.
Nakładem MICHAŁA GRÖLA J. K. Mci
Kommissarza y Bibliopole.
174. ZABAWY PRZYJEMNE I POZYTECZNE Z ROKU 1770.

„Zabawy Przyjemne i Pożyteczne" z r. 1770

Przekłady te są wznawiane, wychodzą w paru wydaniach. Znajdowały widocznie czytelnika. Nikt z historyków literatury nie postawił dotąd pytania, dlaczego polskie Oświecenie nie stworzyło powieści? Dlaczego nie powstała u nas realistyczna nowoczesna powieść, która jest najbardziej charakterystycznym zjawiskiem burżuazyjnej kultury Oświecenia i jedną z największych rewolucji literackich?

Wzory istniały. Czytelnik na powieść tę czekał. Grunt był przygotowany. Monitor, który wychowywał naszych pisarzy, mógł stać się dla nich taką samą szkołą powieści jak angielski Spectator. Nowoczesna powieść realistyczna rodziła się z publicystyki i pamfletów, z pamiętników, życiorysów i dzienników, z satyry obyczajowej i dydaktycznego traktatu. Wszystkie te rodzaje istniały i u nas. Powieść realistyczna powstała w drodze skoku od autentycznej biografii do zmyślonego bohatera, od zbioru dokumentów do literackiej fikcji i świadomej konstrukcji losu. Tego ostatniego skoku od piśmiennictwa do powieści nie było w polskim Oświeceniu.

Musiało czegoś brakować. I rzeczywiście zabrakło bohatera polskiej powieści burżuazyjnej. Pierwsza część **Przypadków Doświadczyńskiego** opowiada nam o szlacheckiej edukacji, potem bohater wyjeżdża za granicę i oto zaczyna się realistyczna powieść. Co z tego? Kiedy Doświadczyński wraca do kraju, zostaje tylko Panem Podstolim. Z **Pana Podstolego** nie można skroić bohatera powieści burżuazyjnej.

Aby powieść taka powstała, musiałby Doświadczyński dostać się do miasta, obojętne jako lokaj, czy jako urzędnik Rady Nieustającej, mógłby również terminować u któregoś z facjendarzy warszawskich, odwiedzać ustronne dworki na Grzybowie czy na Nalewkach, bywać na redutach u księcia Michała Lubomirskiego i poprowadzić miłosną intrygę z którąś z aktorek trupy włoskiej albo pierwszego polskiego teatru. Pan Podstoli, niestety, nie bywał w Warszawie, a przynajmniej nie w takiej roli.

Kilkanaście pierwszych stron życiorysu Jarosza Kutasińskiego mogłoby być wspaniałym początkiem realistycznej powieści. Ale Kutasiński musiałby tak jak Franciszek Salezy Jezierski pójść do konwentu Pijarów, potem jako namiestnik złotej chorągwi husarskiej tłumić bunty chłopskie na Ukrainie, zostać kanonikiem, wizytatorem Szkoły Głównej i wreszcie jako pomocnik Kołłątaja stać się radykalnym publicystą, którego słusznie nazywano „wulkanem gromów Kuźnicy". To znowu nie była kariera poczciwego Pana Podstolego.

Wielkie powieści polskiego Oświecenia, w których indywidualny los bohatera ukazuje wszystkie sprzeczności wieku i jest pisany historią, to biografie Jezierskiego, Węgierskiego, Jasińskiego i Dmochowskiego. Ale biografie te nie zostały napisane. Nie powstała burżuazyjna powieść. Jej bohaterami byli tylko Doświadczyński i potomstwo Pana Podstolego.

Brak w kulturze polskiego Oświecenia burżuazyjnej powieści wytłumaczyć można jedynie słabością mieszczaństwa. Potwierdza to raz jeszcze klasowy rodowód nowoczesnej powieści realistycznej.

Jan Kott

Sesja naukowa polskiego Oświecenia

Zorganizowana przez Polskie Towarzystwo Historyczne i Instytut Badań Literackich w Warszawie w dniach od 3 do 5 marca sesja naukowa, poświęcona problematyce okresu polskiego Oświecenia, stanowiła istotne wydarzenie w dziedzinie naszej humanistyki ,poszukującej lub na niektórych odcinkach wkraczającej już na nowe tory rozwoju. Przyniosła ona plon ważny zarówno dla prac I Kongresu Nauki Polskiej, jak i — o czym mówi już sama nazwa sesji — dla obchodu, skrótowo określonego mianem „kołłątajowskiego". Skrótowo, bo obchód ten dotyczy, co jest zupełnie oczywiste, nie tylko jednego z najwybitniejszych pisarzy, działaczy i ludzi nauki polskiego Oświecenia i walki o przebudowę państwa, ale całości postępowych tradycji okresu. Trzeba stwierdzić, że sesja przyniosła konkretne wyniki, jakkolwiek nie dała jeszcze ostatecznej — i dać jej na obecnym etapie badań nie mogła — syntezy i całości obrazu przemian społecznych w najszerszym tego słowa znaczeniu, które wystąpiły na widowni dziejów Polski drugiej połowy XVIII wieku.

Stwierdzenie to uzasadnia już sam liczny udział w sesji naukowców reprezentujących wszystkie gałęzie nauki historycznej i literaturoznawstwa i wszystkie ośrodki naukowe, a także nauczycielstwa szkół średnich i kół naukowych młodzieży akademickiej w liczbie z górą 200-tu osób. Drugiego dowodu celowości urządzenia sesji, która doszła do skutku dzięki poparciu Prezydium I Kongresu Nauki Polskiej, dostarczyła żywa dyskusja.

Po wysłuchaniu pięknego przemówienia przewodniczącego Komitetu Obchodu Kołłątajowskiego, ministra A. Rapackiego i po wstępnym referacie płk. A. Korty o pracach politycznych Hugona Kołłątaja, potoczyła się dyskusja nad pięcioma referatami problemowymi: prof. U.W. E. Kipy o historiografii minionego pięćdziesięciolecia, prof. U.W. W. Kuli o początkach układu kapitalistycznego w Polsce, prof. U.J. C. Bobińskiej o społeczno-ekonomicznych ideach wieku i prof. U. Wrocł. J. Kotta o literaturze pięknej i publicystyce, wreszcie prof. U.W. B. Leśnodorskiego o przemianach reformatorskich w ustroju dawnej, szlacheckiej Rzeczypospolitej, jak i zaczątkach ruchu plebejsko-rewolucyjnego. W toku wymiany poglądów, zapytań i wątpliwości, które nasunęło zagadnienie stosunku do nauki burżuazyjnej, szereg mówców (m. inn. St. Arnold, C. Bobińska, B. Leśnodorski, W. Łukaszewicz, H. Mościcki, K. Opałek, J. Starzyński, S. Żółkiewski) przeprowadziło dość wielostronną, choć jeszcze nie zupełną i nie systematyczną krytykę historiografii dawnego autoramentu i jej pozycji feudalno-burżuazyjnych, jak w b. Galicji, czy nacjonalistyczno-burżuazyjnych. Wskazując na wiele jej zafałszowań, błędów i zaniedbań, podkreślono równocześnie wagę nieprzemijającego w dużej mierze znaczenia prac niektórych historyków, zwłaszcza warszawskich, z okresu pozytywizmu z Wł. Smoleńskim na czele.

W toku dyskusji nad referatem omawiającym elementy układu kapitalistycznego i siły feudalne które powstrzymywały i zniekształcały jego rozwój, szereg mówców naświetliło uzupełniająco niektóre problemy dotyczące rozmiarów uprzemysłowienia kraju i rozwoju manufaktur mieszczańskich, rozwoju Warszawy jako wyróżniającego się pod wszystkimi względami, jedynego ośrodka wielkomiejskiego, dalej roli ówczesnego „przemysłu ludowego" zorganizowanego w formie nakładu, kierunków i linii rozwojowych handlu (St. Arnold, B. Baranowski, N. Gąsiorowska, A. Grodek, S. Hoszowski, B. Leśnodorski, J. Pazdur i inn.); jako wyraźny brak należy natomiast wskazać niedostateczne uwzględnienie w dyskusji sprawy ruchów chłopskich. Ale też właśnie w tym punkcie obrad może najbardziej jaskrawo uwydatniły się dotychczasowe ciężkie zaniedbania i przewiny badawcze, zarysowały się też wobec tego pilne potrzeby nowych i pogłębionych studiów źródłowych i dociekań analitycznych. Prawda, że zniszczenia wojenne spowodowały na wielu odcinkach katastrofalne zwężenie bazy archiwalnej, równocześnie jednak, co podniesiono na sesji, udostępnienie dopiero teraz, nie rzadko po raz pierwszy, do swobodnych badań naukowych wielu archiwów magnackich (jak np. słynnego ze względu na swe znaczenie i niemniej słynnego przed ostatnią wojną z powodu całkowitego uniedostępnienia, archiwum Potockich) otwarło nowe możliwości.

W dyskusji nad referatami profesorów Bobińskiej i Kotta, które wywołały największe zainteresowanie i napływ słuchaczów także spoza grona stałych uczestników sesji, omówiono również wiele zagadnień z dziedziny badań sztuki, nauki i oświaty okresu (J. Baculewski, Ł. Kurdybacha, Z. Libera, St. Lorenz, B. Suchodolski, K. Wyka i inn.). Wreszcie dyskusja nad referatem z dziedziny ustroju i prawa, najściślej powiązanym z innymi także zagadnieniami, które wysunęły się w toku sesji do rzędu spraw najważniejszych, wniosła również nie mało nowych momentów i wykazała z jednej strony potrzebę, ale z drugiej i aktualne już podjęcie badań archiwalno-źródłowych (zabrali głos m. inn. J. Bardach, Z. Radwański, E. Rostworowski, St. Śreniowski, A. Vetulani). O potrzebie upowszechniania tradycji postępowych okresu mówił w szczególności prezes Zarz. Gł. T.W.P. dr Z. Młynarski.

Z pewnością sesja miała momenty żywsze i bardziej ciekawe oraz istotne w wynikach i miała momenty osłabienia dyskusji i jej ciężaru gatunkowego. Próba odbywania wyłącznie posiedzeń plenarnych i wymiany zdań pomiędzy przedstawicielami wszystkich, jak podkreślono na wstępie, gałęzi nauki historycznej i literaturoznawstwa nie zawsze była całkowicie zadowalająca, choć wiele razy przyniosła konkretne wyniki, jak w toku ustaleń związanych z przemianami gospodarczymi epoki czy nowego naświetlania różnych prądów w literaturze, sztuce i filozofii. I tak naszkicowana tu wymiana myśli pogłębiła u zebranych, co jest bezsporne, krytyczny stosunek do historiografii burżuazyjnej i wskazała dobitnie na ważkie, odkrywcze walory materializmu dialektycznego i historycznego. Co więcej, sesja wykazała, że spora liczba badaczy coraz pewniej, śmielej i pełniej zaczyna operować wytycznymi marksizmu uwalniając się od różnych obarczeń przeszłości, m. inn. od skłonności do przyczynkarstwa z jednej lub historiozoficznych uogólnień z drugiej strony. Oponenci marksizmu w ogóle na sesji nie wystąpili, przejawiła się tylko u niektórych jej uczestników raczej słaba jego znajomość, której ujawnienie podziałało jednak w sposób pozytywny, bo mobilizujący do dalszych wysiłków.

Sesja wskazała na liczne potrzeby naszej nauki zajmującej się okresem Oświecenia, okresem więc schyłku feudalizmu i początków układu kapitalistycznego, okresem spotęgowanej zdrady narodowej i kosmopolityzmu magnaterii, a równocześnie walki o niepodległość i narastania nurtu narodowo-wyzwoleńczego, cechującego początkowy etap formowania się nowoczesnego, burżuazyjnego narodu. Jako poważne osiągnięcie należy wymienić pogłębienie świadomości potrzeby badań planowanych i zespołowych; ich znaczenia dowiodło już samo pełniejsze opracowanie tych referatów, które jak w przypadku referatu dotyczącego literatury powstały w atmosferze i warunkach takich studiów, jak te, które zapewnia Instytut Badań Literackich. Stąd m. inn. płynęło jedno z końcowych stwierdzeń prof. St. Arnolda w ostatnim dniu obrad o tym, jak wielki i twórczy będzie pod tym względem także dla badań nad okresem polskiego Oświecenia nurt prac, który z pewnością rozwinie lub pogłębi Polska Akademia Nauk.

Wskazano konkretnie na potrzebę badań źródłowych, zwłaszcza w takich dziedzinach, jak sprawa chłopska i mieszczańska okresu i opór mas ludowych przeciw uciskowi i wyzyskowi feudalnemu, ruch plebejski w roku 1794 z takimi jego manifestacjami, jak w dziedzinie poezji ulotnej, anonimowej, polskie teksty do melodii francuskiej Marsylianki.

Parokrotnie podkreślono, w oparciu o prace klasyków marksizmu i w nawiązaniu do referatu Prezydenta B. Bieruta na VI zebraniu plenarnym Komitetu Centralnego P.Z.P.R. i Ministra J. Bermana na sesji teoretycznej poświęconej pracom J. Stalina o językoznawstwie, rolę szczytnych tradycji postępowych okresu. Droga do ich uwydatnienia prowadzi poprzez prawidłowe wyróżnienie w polskim Oświeceniu, które nie było jednolite, szeregu kierunków, nurtów i odmian. W toku sesji wskazano na wielkie znaczenie odrodzenia i rozwoju języka polskiego w tym czasie, na znaczenie dla formowania się nowoczesnego narodu obok tego elementu i innych, więc nowego układu ekonomicznego i wartości kulturalnych, które znalazły swój najświetniejszy wyraz w myśli ideowej, w wielu utworach literatury pięknej i politycznej, w teatrze czy satyrze. Ujawniono występujące u wielu pisarzy — najbardziej znanych i plejady mniej znanych, nie rzadko dotąd przemilczanych — elementy realizmu krytycznego, założeń materialistycznych, humanizmu i patriotyzmu.

B. Leśnodorski

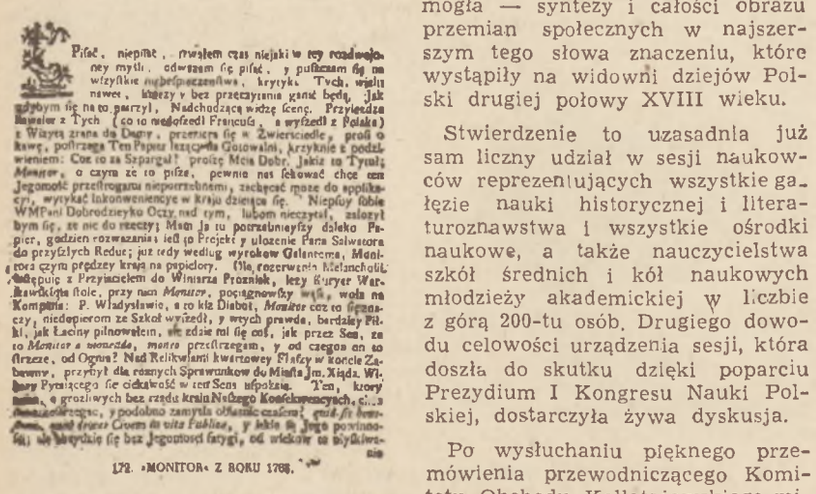
MONITOR.
No. I.
Quidquid dicere Verum quid vetat:
HORATIUS.
172. »MONITOR« Z ROKU 1763.

„Monitor" z r. 1763

ZBIGNIEW SZYMAŃSKI

DO TOWARZYSZA NIEMIECKIEGO

I.

Z kraju, gdzie każda grudka gleby
Przesiąkła krwią. I wiatr rozwiewa
Popioły zmarłych. Gdzie na niebie
Zastygły krwawe palce łuny,
Gdzie prawie każdy konar drzewa
Dźwigał wisielców — owoc zbrodni.
Gdzie jeszcze dotąd często grzebią
Przed laty zadręczonych ludzi.
Wyciągam dłoń. Niech poznam Ciebie
Nasz Towarzyszu, któryś zbudził
Z wiekowej śpiączki wielki naród —
Tyś jest sumieniem jego, karą
Dla faszystowskich czarnych zbirów.

Dymią kominy Twego kraju,
Nowy wykuwasz wiek — Twą siłą
Miliony prostych robotników
Co od dzieciństwa prawie znają
Pisma Lenina. Już przeminął
Morderczy czas. Nastaje pokój.
Turkot kombajnów chrzęst zagłuszy
Krwiożerczej broni. W białych blokach
Zamieszka nowy, wolny człowiek
Co się nie budzi nocą z krzykiem,
Gdy pamięć sen mu spędza z powiek.

Dziś nie oskarżam Twoich braci
Za śmierć milionów. Mój karabin
Nigdy nie będzie więcej mierzył
Oksydowaną czarną lufą
W zwarte szeregi Twych żołnierzy.

II

Ja komunistom Twego kraju
Poświęcam wiersz ten — słowa proste
Wysyłam z Gdańska, z ulic które
Dobrze krwiożerczą wojnę znają
I faszystowski „Drang nach Osten".

Już polski rzeźbiarz, Gdańska murom
Przywraca kształt ich, nowy blask
Nadaje ręka jego czuła.
W ruinach gdzie rdzewieje kask
I krzyż spróchniały w trawę wrasta
Powstają nowe domy miasta.
I bloki robotniczych dzielnic
Wyczarowuje z cegieł stosu
Murarz — srebrzystą stalą kielni.

III

Ty, który wznosisz nowe miasta
Siejesz pszenicę, orzesz pole
Znasz ten radosny nasz wysiłek,
Gdy z fundamentu dom wyrasta,
By dzieci mogły w nim za stołem
Usiąść i wieczór spędzić mile,
Przy elektrycznym lampy świetle
Czytając książki — zapatrzone
W barwne obrazki, w dawne dzieje
Które się do nich z kart jej śmieją.
Dzieci, dla których Tyś zwyciężył
Krwawych morderców. Dom nie spłonie
Gdy my podamy sobie dłonie
— I czas nastanie bez oręża.

Jest gdzieś ukryta ręka wroga
Która w krwiożerczym stygnąc geście
Cieniem się kładzie w poprzek drogi
I palcem, stena cyngiel pieści.
Wypuszcza fabrykantów broni,
Twórców obozów i cyklonu
Astronomiczną liczbę zgonów
Oblicza w sztabach na zachodzie
I trupim palcem w nasze skronie
Jak cień Himmlera nocą godzi.

Lecz miliard nas i z nami Stalin
Idee wielkie, myśli wzniosłe
Za nami partia ludzi prostych,
Którzy przez dziesięć lat socjalizm
Utrwalą w świecie, przed faszyzmem
Kładąc go tamą żelbetową —
Noc się za góry czarne chowa
I wschodzi słońce komunizmu.

Gdańsk, 5.III.51 r.

PAUL HOGARTH

Hiszpania po raz drugi

Paul Hogarth, malarz i rysownik angielski, były uczestnik Brygady Międzynarodowej w Hiszpanii, znany czytelnikom „Nowej Kultury" z kilku rysunków, które zamieściliśmy w związku z jego pobytem w Warszawie podczas Światowego Kongresu Pokoju („Nowa Kultura" nr 35), jest — jak informowaliśmy już wówczas w notatce pióra Jana Lenicy — jednym z niewielu byłych bojowników o wolność Hiszpanii, którym udało się w końcu roku 1949 odbyć jako turyście wycieczkę po Hiszpanii frankistowskiej. Owocem jego obserwacji jest — prócz teki szkiców rysunkowych — reportaż, którego obszerne fragmenty drukujemy poniżej.

KRAJ, który ponownie odwiedzamy nigdy nie przedstawia się tak, jak zachowaliśmy go w pamięci. Pomimo wspomnień, zdjęć fotograficznych i filmów — rzeczywistość zawsze okazuje się inna.

Potwierdziła to moja niedawna podróż do Hiszpanii, którą ujrzałem po jedenastoletniej przerwie. Wczorajsza rzeczywistość Hiszpanii przeminęła, a nowa faszystowska bardzo szybko dała mi się we znaki. Od chwili przekroczenia granicy, aż do momentu opuszczenia kraju, każdy ruch podróżnego jest skrupulatnie śledzony: przede wszystkim przybysz otrzymuje potrójne formularze, które wszędzie muszą być zaświadczane przez miejscową policję — w hotelu, w pensjonacie, czy też w prywatnym domu. Na tych formularzach wypełnia się najdokładniej datę przybycia — datę odjazdu — skąd się przyjeżdża i dokąd się jedzie. Dla turysty jest to tylko niewielkie utrudnienie, ale nawet gdy tajna policja Franco nie dokucza mu specjalnie to natychmiast uderza go wszechobecność stróżów prawa i

Robotnik, dawny towarzysz broni autora reportażu

porządku, uderza liczbą i różnorodnością. Wszędzie, na każdym kroku widzi się policję, umundurowanych i nieumundurowanych gwardzistów, strażników z rewolwerami u pasa, z karabinami lub „rozpylaczami" przewieszonymi przez ramię. Patrolują ulice, szosy i wsie, eskortują wszystkie pociągi, strzegą publicznych budynków i elektrowni, jak gdyby w kraju była ustawiczna wojna. Sami Hiszpanie mówią, że ilościowo ci urzędnicy porządku i bezpieczeństwa przewyższają liczbą żebraków w Hiszpanii, a takie powiedzonko coś znaczy.

W drodze do Bilbao przejeżdżałem przez Guernikę. Miasto zniszczone przez nazistowską Legię Kondora — opuszczone i pozostawione przez długie lata własnemu losowi, teraz odbudowuje się dopiero.

Wiele innych miast w kraju Baszków dotychczas nie powstało z gruzów, były one celem dla pilotów Luftwaffe z drugiej wojny światowej.

Miejscowy członek Falangi zwęszył moje zainteresowanie i uroczyście wyjaśnił mi, że zburzenia miasta dokonała cofająca się milicja anarchistów, podkładając dynamit pod domy, a każda inna wersja jest czerwoną propagandą.

Po krótkim pobycie na baskijskim wybrzeżu udałem się do Oviedo, stolicy prowincji Asturia, skąd czyniłem kilkakrotne wypady do miasteczek i osad pobliskiego zagłębia górniczego. Ażeby unikać oczu policji, zamierzałem większość mych rysunków wykonać z wnętrza samochodu, lecz jak później stwierdziłem, w wielu okolicznościach lepiej było używać publicznych środków komunikacji, ażeby móc rozmawiać z ludźmi bez zwrócenia uwagi.

Oviedo wyglądało, jak gdyby zamarł w nim nerw życia. Nikt nie wspominał o zniszczeniach wojennych, a to przecież przede wszystkim rzucało się w oczy. Piękna katedra XIV wieku stała rozbita z jedną już tylko ocalałą wieżą, jak raniona arystokratka u wylotu starego placu. Naprzeciw olbrzymie plakaty głosiły chwałę Mindszenty'ego i zapowiadały kongresy dla zwalczania marksizmu i wolnomularstwa. W całym kraju tego rodzaju działalność polityczna kościoła katolickiego była bardziej widoczna niż jakikolwiek wysiłek odbudowy skarbów architektonicznych narodu hiszpańskiego. Okazałe stare katedry rozpadają się w gruzy, ale walka przeciw „marksistowskiej tyranii" nie może ani na chwilę ustawać.

Sklepy są dobrze zaopatrzone we wszystko, co mogłoby się przydać robotniczej rodzinie, ale aby kupić chociażby najtańszy aparat radiowy trzeba by było wydać ośmiomiesięczny zarobek. Zarówno żywność jak i artykuły codziennego użytku są niezmiernie drogie.

Korzystna dla turysty wymiana waluty znacznie obniża koszty utrzymania zagranicznego przybysza, lecz wyraźnym wskaźnikiem poziomu życiowego jest fakt, że robotnik musi pracować cały dzień, aby zarobić na kilo białego chleba.

Księgarnie Oviedo, tak samo jak księgarnie innych miast hiszpańskich, z jednej strony są wypełnione masowymi powieścidłami z Dzikiego Zachodu i „comics'ów" sprzedawanych za parę centymów; z drugiej strony dobrze wydane powieści uznanych autorów, głównie sprowadzane z Argentyny i Brazylii, sprzedaje się po cenie nieosiągalnej dla inteligenta, a tym mniej dla przeciętnego czytelnika. Ponieważ nie ma bezpłatnych bibliotek, książki w Hiszpanii Franco są luksusem dostępnym tylko dla bogatych. Jest to typowa dla faszyzmu niechęć do kultury ludu. Większość najlepszych hiszpańskich pisarzy, artytów i muzyków, znajduje się na wygnaniu. Faszyzm nie tylko zniszczył narodową spuściznę kulturalną, ale jeszcze doprowadził do zupełnego wyjałowienia dzisiejsze życie kulturalne kraju. Gdzie są poeci, powieściopisarze, malarze, muzycy, naukowcy, artyści sceny?— To jest jedną z największych tragedii dzisiejszych czasów — żyją jako uchodźcy i wygnańcy na całym świecie, odcięci od narodowego środowiska, tak istotnego dla rozwoju ich sztuki.

W pobliżu mego hotelu stały ponure „baraki Santa Clara", które tak często szturmowali asturiańscy górnicy „dynamiteros". Wielkie, pochyłe mury są podziurawione od szrapneli i kul. Wysoko w górze nieskończone szeregi małych okien są pokryte zardzewiałymi kratami. W krużgankach oddziały szturmowe z karabinami maszynowymi wlepiają bojowniczy wzrok w przechodniów. Oviedo jest zapewne w Hiszpanii miastem o najsilniejszym garnizonie; gdzie spojrzeć uzbrojona policja, wojsko, miejska gwardia. Obok baraków wznosi się stara dzielnica — robotnicza — stłoczony labirynt nędzy i rozkładu.

Autobus do Pola de Lena odchodził co rano o ósmej z małego placu w pobliżu „baraków Santa Clara". Krótko przed odjazdem kierowca zaczynał ładować bagaże na dach. O ósmej, podczas gdy policjant przeszywał wzrokiem każdego pasażera, kierowca wywoływał z listy wszystkich posiadaczy biletów— wzywani wsiadali — górnicy, wieśniacy, kilka kobiet i żołnierzy w czerni ze zmęczonymi już twarzami; wtedy zapuszczano motor i autobus ruszał przez spokojne ulice.

Z Oviedo droga wznosiła się stale ku górze poprzez zniszczone

Żołnierz faszystowskiej gwardii cywilnej

przedmieścia. Minęliśmy szereg górniczych wiosek, w których warunki mieszkaniowe były wprost przerażające. Całe skupiska górników i ich rodzin żyją w półzniszczonych chałupach i skleconych budach. Trwa to tak od 1939 roku. Tutaj ma się wrażenie, że wojna zakończyła się dopiero dwa lata temu. Gdzie okiem rzucić wszędzie na murach upomnienia, nakazy i slogany z groteskowym wizerunkiem stereotypowo uśmiechającego się Franco, podobnego do zestarzałej gwiazdy filmowej sprzed 20 laty. Tu i ówdzie widzi się jeszcze dawne republikańskie hasła, a nad nimi późniejsze — z Maurami i generałem Mola. Plakaty na tych murach to ilustracja historii Hiszpanii.

Mieres jest jednym z największych ośrodków asturiańskiego zagłębia węglowego — górnicze miasto położone w dolinie wśród strzelistych gór przypomina osiedla Valii. Mieres jak większość miast i osad w Asturii ma piękne tradycje

Chłopka

rewolty i buntu przeciw faszyzmowi i reakcji. To z Mieres w 1934 roku wymaszerowało do Oviedo najwięcej zbrojnych górników, by wziąć udział w powstaniu asturyjskim. Oddziały górnicze, które pozostały na miejscu powstrzymywały generała Ochoa i jego maurytańskich najemników przez 5 dni.

Po zgnieceniu powstania Maurowie i Legia Cudzoziemska dopuścili się jednej z najkrwawszych represji w dziejach Hiszpanii, systematycznie paląc wszystkie miasta i wsie od przełęczy Kentabryjskiej do samego Oviedo. Przy stłumieniu Komuny Paryskiej popłynęło może więcej krwi, ale nigdzie nie użyto okrutniejszych metod i potworniejszego ucisku niż w Asturii. A dzisiaj? Maurowie okupują znowu miasta i wsie zagłębia węglowego: nie można się dziwić górnikom, którzy opuszczają natychmiast lokale publiczne, kawiarnie lub bary na widok wchodzącego tam maurytańskiego żołnierza. Tu nic się nie zmieniło w nienawiści. Pewnym jest, że w żadnej innej części kraju nie widać takiego zagęszczenia sił zbrojnych. Wszędzie w Asturii kopalnie, fabryki i elektrownie są pod ścisłą strażą. Franco nie chce narażać się na ryzyko, bo wie, że ta prowincja potrafi być bezwzględna w walce: dlatego ta część kraju wygląda jak zbrojownia. Górnicy odwzajemniają się na każdym kroku jak tylko mogą — oddziały partyzanckie w górach są w ścisłej łączności z tajnym związkiem w kopalniach i fabrykach. Skuteczność tej współpracy spowodowała konwojowanie pociągów przez zbrojne oddziały policji, zmusiła do pilnowania wszystkich mostów i do kontroli ruchu na drogach.

Autobus jechał dalej. Przejechaliśmy wąski mostek — szyny kolejowe szły równolegle do bystrej rzeczki — szare hałdy żużli odcinały się wyraźnie od stromych, gęsto zalesionych stoków górskich.

Po południu autobus dojechał do Pola de Lena. Siedząc w kawiarence obok końcowej stacji naszkicowałem sobie maurytańskiego oficera piechoty. Górnik w starszym wieku siedzący tuż obok nie chciał się zgodzić abym go narysował; kiedy jednak wytłumaczyłem mu, że nie jestem faszystą — stał się życzliwy i ofiarował mi skromnego papierosa. Spostrzegł, że patrzę na jego drewnianą nogę. — To było w trzydziestym czwartym — wyjaśnił.

— Czym może się wykazać Franco po dwunastu latach rządów? — zapytałem.

— Jeśli chodzi o górników to niczym — odrzekł. — Mury są pokryte płachtami głoszącymi Nową Hiszpanię — a gruzów wojennych jeszcze nie uprzątnięto — a przy tym ci **moros...** (maurytańskie wojsko). Czy ktokolwiek inny śmiałby ich przywołać jak nie faszyści? Nienawidzimy ich za to, co zrobili, co wciąż robią. Nie ma mężczyzny, kobiety ani dziecka w całej Asturii, które by ich nie nienawidziło.

Dotarłem do Leon zaraz po południu. Miasto tonące w zieleni wydało mi się rażącym kontrastem nieszczęsnej i niezłomnej Asturii. Elegancka główna ulica, fasady wytwornych domów, rzędy samochodów stojących przed klubami i hotelami — sprawiały wrażenie sytego bogactwa. Tylko na skraju miasta widoczne były blizny powojenne; spośród rozbitych murów opuszczonych fabryk dym wznosił się z improwizowanych kominów. Były to podziemne nory zamieszkałe przez rodziny robotnicze.

Hotel Davile nie był dla mnie przyjemnym miejscem pobytu, prowadziła go zadowolona z siebie drobnomieszczańska rodzina. Syn faszysta — arogancki, a jednocześnie podejrzliwy, ulegał wybuchom niepohamowanego entuzjazmu na temat „faszystowskiej odbudowy". Matka była wyraźnie zaniepokojona moją obecnością.

Z placu opodal płynęły z głośników płaczliwe tony „flamenco". W kawiarniach i barach bocznych ulic grupy robotników grały w domino i karty. Nie rozmawiali jednak. Nasunęło mi się porównanie nastroju z tamtych republikańskich czasów... tamte gorące, ożywione politycznie dyskusje.

Z drugiej strony miasta w starych kamienicach tuż obok katedry rozbłysły światła jak kandelabry. Noc zstępowała powoli na gwarne ulice.

Była niedziela. Wyjechałem za miasto i po pewnym czasie przybyłem do dużej wsi. Na ulicach przystawali grupami ludzie rozmawiając między sobą. Chciałem się dowiedzieć, gdzie mógłbym na wsi otrzymać benzynę, ale czułem, że tak obcesowe pytanie mogłoby się wydać niestosowne i wzbudziłoby niechęć. Niegdyś byłem bliski tym ludziom, żyłem z nimi, ale teraz widzieli we mnie obcego. Zagadnąłem wreszcie pierwszego z brzegu, jak się później okazało kowala; z początku odpowiadał powściągliwie, ale gdy mu się zwierzyłem, że brałem udział

(Dokończenie na str. 9)

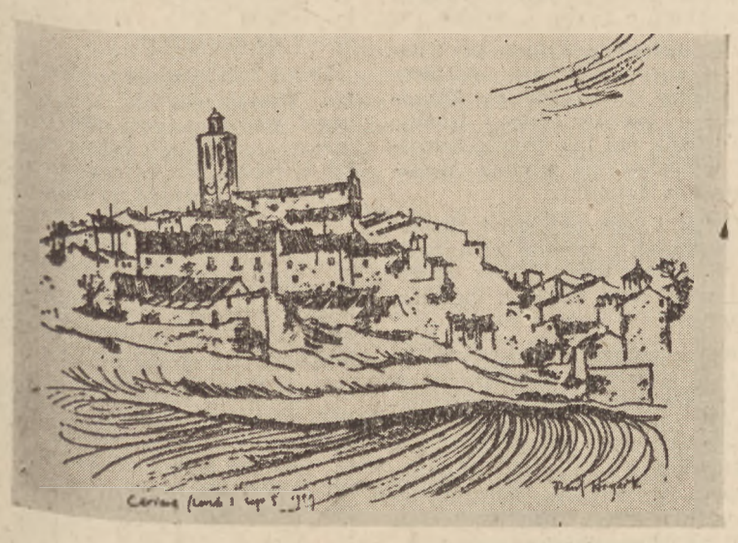

Pejzaż kataloński

EWA FISZER

ZA POKOJ

Upłynęło dwanaście lat.
Dwanaście razy można było zbierać kwiaty,
Dwanaście razy rzucać do góry śnieg,
Dwanaście razy pierwszy maj nieść w rękach.

Barcelona rozkwitła krwią,
Barcelona jak w śniegu w gołębiach,
W Barcelonie trzysta tysięcy ludzi
Woła: Nie!

Walczy za pracujące ręce robotników Warszawy,
Walczy za założone ręce dokerów Marsylii.
Śnieg się pali,
A od każdego słowa gazet
Serce jak pierwszomajowy sztandar
Przed trybuną honorową się chyli.

„Do Carlosa Pueblo i do tych, którzy jak on szukają drogi prawdy

Wielka przywódczyni ludu hiszpańskiego Dolores Ibarruri ogłosiła ostatnio w emigracyjnej prasie hiszpańskiej odpowiedź na list otrzymany z Hiszpanii od jednego z młodych poetów hiszpańskich ukrywającego się pod pseudonimem Carlos Pueblo. Piękną odpowiedź La Pasionarii, zawarte w niej uwagi o roli pisarza i płomienne wezwanie do walki w obecnej chwili, kiedy bohaterski naród hiszpański podjął trudną, wspaniałą walkę ze swymi ciemiężycielami, mają szczególną wymowę.

Oczekiwałam twego listu, nieznany przyjacielu. Czekałam nań. I nie dziw się memu wyczekiwaniu, bo my komuniści, w przeciwieństwie do tych mumii politycznych, które się wloką przez życie zostawiając za sobą ślady robaka, którego mają w sobie, pesymizm i rezygnację, my w przeciwieństwie do tych wstydliwych „Celestyn" — dyktatorów, wierzymy w lud. Wierzymy w siły twórcze mas. Wierzymy w kwitnące i wolne jutro naszej Ojczyzny. Nigdy nie pogodziliśmy się z myślą — i nie możemy się z nią pogodzić właśnie z powodu naszej wiary w masy — że banda rabusiów i podłych graczy, którzy niszczą Hiszpanię, zdoła zamurować żywe źródła twórczej i postępowej inspiracji intelektualnej młodzieży.

Nie omyliliśmy się w naszej ocenie, która wynika z ideologii inspirującej walkę i kierującej naszą walką, ze wspaniałej i rewolucyjnej koncepcji marksistowsko-leninowskiej historii. Lecz nie zapominaj, Carlos Pueblo, że ta młodzież intelektualna, której silne pędy wyłaniają się z gęstych cieni Hiszpanii rozdartej, upokorzonej, umniejszonej przez frankizm, tylko wtedy będzie mogła spełnić swą szlachetną misję inżynierów dusz, jak nazwał wielki Stalin intelektualistów, jeśli pójdzie razem z ludem, z masami. I nie tylko musi iść z nimi, i wyrażać w pięknej literaturze ich boleści i cierpienia, ich przygnębienie i nędzę, lecz przygotowywać je do walki o wyzwolenie, pomagając im poznać swą siłę i wielką przyszłość, które niepowstrzymany rozwój historii im zapewnia, musi kroczyć z nimi drogą walki aż do końca, aż do zwycięstwa.

Powiedz twym przyjaciołom, że dla nas komunistów liczą się nie nazwiska, lecz czyny. Liczy się postępowanie. I to nie w jednej przypadkowo wybranej chwili, lecz w godzinach próby, wtedy, gdy naród żąda i potrzebuje jasnego postępowania, wtedy, gdy miliony robotników, chłopów, pracowników, bitych i traktowanych jak psy i kryjących w swych duszach wulkan nienawiści, chcą wiedzieć, kto jest ich rzeczywistym przyjacielem a kto wrogiem.

Nie mylicie się w drodze, szukając w Partii Komunistycznej odpowiedzi na wasze niepokoje, jasności dla waszych horyzontów.

Jedynie Partia Komunistyczna jest w stanie rozwiązać całkowicie niepokojące problemy naszego kraju. Jedynie komunizm daje człowiekowi i ludom możność rośnięcia w całej swej wspaniałej wielkości, tworząc warunki, ażeby inteligencja ludzka rozwijała się bez przeszkód i kroczyła odważnie w poszukiwaniu sekretów życia i natury — które nie są niedostępne, jak twierdzą metafizycy — by stawić je do usług ludzi, ułatwiając i czyniąc weselszym życie ludzkości.

Partia Komunistyczna nie daje synekur, łatwych i dochodowych posad, lecz walkę, pracę, działalność, które podnoszą człowieka i go uszlachetniają, dając mu udział w najszlachetniejszej walce: w uwolnieniu siebie i uwolnieniu milionów innych ludzi.

W tej walce, którą komuniści kierują we wszystkich krajach, ludzie stają się olbrzymami, bo w każdym z nich tkwi siła wszystkich tych, którzy w świecie walczą dla tej samej sprawy, wszystkich tych, którzy pragną sprawiedliwości. A to uczucie braterstwa, solidarności i wspólnoty przeznaczenia czyni komunistów niedostępnymi dla upadku ducha.

Czy znasz poemat Pablo Nerudy „Do mojej Partii"? Posłuchaj go i zastanów się, gdyż głosem wielkiego poety hiszpańsko-amerykańskiego przemawiają komuniści wszystkich krajów:

DO MOJEJ PARTII

Ty dałaś mi poczucie braterstwa, którego dotąd nie znałem,
Ty obdarzyłaś mnie siłami wszystkich żywych ludzi,
Ty dałaś mi ojczyznę jak przy narodzinach,
Ty dałaś mi wolność nie zaznaną w samotności,
Ty nauczyłaś wzniecać dobroć tak jak ogień,
Ty dałaś mi prostotę jaka przystoi drzewu,
Ty nauczyłaś widzieć jedność ludzi i różnice,
Ty pokazałaś, jak ból człowieka zamiera w zwycięstwie ludzi,
Ty uczyniłaś mnie wrogiem zła i murem dla szaleńca,
Ty dałaś mi zobaczyć jasność świata i możliwość radości,
Ty sprawiłaś, że jestem niezniszczalny, z tobą nie kończę się w sobie.

przełożyła **Ewa Fiszer**

Nic więcej, mój przyjacielu. Obym pewnego dnia mogła cię nazwać towarzyszem. Jeśli mi pozwolisz, jako ostatnie ostrzeżenie: nigdy nie przypuszczaj najgorszego, jako możliwe. Bądź zawsze optymistą, bo my komuniści walczymy o życie a nie o śmierć.

Serdeczności — DOLORES IBARRURI

Kopalnia

TOLD ZALEWSKI

Ilustrował ALEKSANDER KOBZDEJ

U R O D Z A J

I

Co ty mi świecisz gazetą; jażem widział tymi ślepiami to, co mówię, mnie skóra swędziła od ich dobrego bytu...

Nie pierwszy raz tego ɜczoru przypominały się Więsywi wrogie słowa. Wracał z zeɪnia zasępiony, spłoszony troską ɔs kobiety i dzieci, o tę przyɔść, która czasem rysowała s ę ɔełnie jasno, a teraz — znów zagnięta czarną chmurą — pełna ɪa niepokoju.

Żona już spała, kiedy wszedł do eszkania. Przez małe okienko prórła mglista poświata. Więsyk zaął zrzucać ubranie, nie zapalając npy, żeby się dzieci nie pobuły. Ale przy zzuwaniu butów ta kająca go od zebrania myśl obnęła się ciężko, i czuł, jak mu zyciska pierś. Co robić, jeśli jest ɪ jak oni mówią i w miejsce czyɔch domów, pełnych komór, szkół, nów, kuszących urodzajną pszecą, rozpościera się chudy ogromugór. Jak teraz wspinać się po j stromej drodze, jeśli tamci przez le lat do niczego nie doszli.

Przesunął ku ścianie chłopaka. ɜżał wpatrzony w sufit. Sen przeɪdł, zagubił się gdzieś na zebrąu. Teraz przechodziły myśli; szybɔ, jedna wypychając drugą, pokawały się szeroko otwartym oczom znikały. Zapalił papierosa. Starał ę jakoś zatrzymać wspomnienia, yrównać je w szeregu i jeszcze ɪz przyjrzeć się przebytej przez ebie drodze.

Dopiero rok czterdziesty dziewiąɪ doprowadził Więsyka do decyi. Partia popchnęła go lekko na ɔj ścieżce, po której — co prawa — szedł, ale coraz to oglając się za siebie i niepewnie, jak a grząskim torfowisku, stawiając roki. Życie po wojnie tak jakby twarło przed nim zabitą żelazem ɪrtkę. Wyszedł z obejścia i od rau znalazł się na rozstajnych droach. Którędy iść? Od samego 44-go oku, kiedy dzielono dworską zienię, nowe życie zaczęło stawiać iężkie pytania.

W 45-tym namawiano Więsyka, eby wstąpił do partii. Bronisław ıamyślał się. Szalę przeważyła żoıa, która zaczęła rozpaczać, lamenować, że zostanie wdową, bo naychmiast zabiją go, jeżeli zapisze się do organizacji. Rzeczywiście partyjni gęsto padali w tym czasie. Więsyk nie widział jeszcze przed sobą drogi. Ta, którą wskazywała partia, niezupełnie wydawała mu się prosta i jasna. Niektórzy straszyli kołchozami; partyjnych najpierw zapędzą do wspólnego barłogu, partyjnym nie wolno się dorobić, mają poprzestać na jednej sztuce bydła. Namowy wkrótce ustały, Więsyk pozostał bezpartyjny...

Trudniej poszło mu za drugim razem. Żył w powiecie lubartowskim. Ubita ludźmi wieś Chudowola nie mogła wszystkich obdzielić ziemią. Reforma rolna dodała biedocie po jednym, po dwa hektary z sąsiedniego folwarku. Między nadzielonymi znalazł się Więsyk. Były to jednak tylko zagony, a na zagonach nie rodzi się lepsze życie. W 46-ym roku do Chudowoli trafił Państwowy Urząd Repatriacyjny. Pierwszy wyjechał na Mazury szwagier Więsyka z paroma ludźmi. Już po tygodniu pisał, namawiając do przyjazdu. Tym razem Więsyk długo się wahał. Trzymał go jałowy zagon, ciągnęła gospodarka na szerokim łanie. Kiedy wyjeżdżał z Chudowoli, zdawało mu się, że coś z niego zostało w rodzinnej wiosce. Praca na dziesięciohektarowym gospodarstwie pochłonęła go i szybko zagłuszyła wspomnienia. Wiodło mu się teraz lepiej, nie potrzebował wynajmować siebie ani żony bogaczom. Coraz szybciej zbliżał się do partii. Powoli odkrywały się przed nim korzenie zła. Szymonki, wieś, w której rozpoczął nowe życie, nie była wyspą sprawiedliwie rozdzielonego szczęścia. I tutaj zaczęli pęcznieć spryciarze - szakale, którzy przyszli w 45-ym roku śladami poległych żołnierzy, i obłowiwszy się wszelkim dobrem, zaczęli zagarniać hektary. I tutaj byli ich wieczyści dłużnicy, mniej sprytni, ci co ściągnęli później, bez inwentarza, bez gotówki. Więsyk ze swoim jednym koniem, z parą bydła, bliżej miał do biedoty, aniżeli do tych rozpartych na wysokości. Zresztą nie umiał się wspinać. Ciężko pracował; tylko dzięki pracy utrzymywał się na powierzchni. Ale przecież miał się bez żadnego porównania lepiej, niż za dawnych lat nędzy. To mu się dobrze zapisało w myśli. Dzieci były okryte, kobieta nie labiedziła nad pustymi garnkami. Więsyk rozumiał, kto go podparł i pomógł podciągnąć się w górę. Przejmował się hasłami partii, rzetelnie przykładał się do tego, żeby inni przyjmowali je za swoje. Kiedy w 48-ym roku dano znak do zakładania spółdzielni produkcyjnych i we wsi poszedł pomruk, a najbardziej przedsiębiorcza grupa kułaków i podkułaków zaczęła perswazją, obietnicą, a na dodatek groźbą, szachować chwiejnych, Więsyk nie dał się sprowadzić ze swojej drogi. Nie dał się zepchnąć, ale też przez długi czas nie zrobił śmielszego kroku. I znów dopomogła mu partia. Uwierzył matematycznym obliczeniom sekretarza powiatowego, z których wynikało, że średniak w każdym razie nic na kolektywie nie straci.

Zebranie założycielskie obwołało go przewodniczącym spółdzielni. Tak daleko zaszedł już na tej drodze, i cel, który się nazywa socjalizm, zaczął się przed nim przecierać coraz wyraźniej. Warto się go było dobijać. Więsyk czuł przecież, jak sam rośnie razem z tą Ludową Polską, jak sprawiedliwość, której łaknął w swojej pokrzywdzonej młodości, teraz zaczyna coraz śmielej wkraczać w życie i rozdawać co komu należy. Podatki spadały na tłuste karki, młodzi szli do szkół, robotnicy mieli pełne ręce roboty, zakładali elektryczność, budowali drogi. Jeżeli się dobrze rozpatrzyć, to można żyć w tej Polsce Ludowej. Ale często jeszcze chwytała Więsyka słabość. Pokonywał ją z pomocą towarzyszy, a i samo życie wiele nauczyło. Jedna tylko drzazga tkwiła w tym wszystkim i do tej pory nie znalazł na nią skutecznego sposobu. Zaczęło się to z pierwszym obowiązkiem, pasaniem gęsi u bogatego stryja. Stryjna była jałowa jako kobieta; dokuczyło jej bezpłodne życie, w sercu kwasiła się miłość do Chrystusa i nienawiść do wrogów kościoła; toteż wychowanie chłopca zaczęła od nastraszenia go diabłem. Szatan siedział w książce, a pilnowała go na okładce błękitna Matka Boska, depcząca węża. Szatan miał na głowie śpiczastą czapkę z czerwoną gwiazdą. Stryjna kazała małemu powtórzyć, że ten najgorszy z diabłów nazywa się — bolszewik. Odtąd z różnych stron co pewien czas straszono Więsyka bolszewikiem. Ksiądz proboszcz na lekcjach religii, oboje stryjostwo, organista, któremu chłopcy kalikowali na chórze. Kiedy podrósł, przestał się bać diabłów w ogóle. Jego pospolita, chłopska natura, obciążona cechami wyzyskiwanych i okrutnie oszukiwanych ojców, nieskora była do przyjmowania czegokolwiek na wiarę. Wszystkie zasady i różne prawdy życiowe, które Więsykowi wmawiano, musiały zostać najpierw sprawdzone, wypróbowane jak żelazo w ogniu; dopiero potem zaczynał się do nich stosować. Dlatego, podrósłszy, nie wierzył już w piekło bolszewickie; przed oczami miał rzeczywisty czyściec, nędzę, w której — beznadziejniej niż w smole — cierpiała przeszło połowa wsi. Czasem, kiedy mu dokuczył tydzień roboty, i gdy słyszał, stojąc w przedsionku kościoła, jak ksiądz pomstuje na bolszewizm, błyskała myśl, że w tym kazaniu i we wszystkich stryjowskich pogwarkach kryje się tęgie szachrajstwo. Myśl gasła, ale żar po niej zostawał. Gdyby miał kto podsycić wtedy tę iskrę buntu, może już w 35-ym roku Więsyk odnalazłby drogę, na którą wstąpił dopiero dziesięć lat później. Ale takiego człowieka nie było w Chudowoli.

Przez dwa lata Więsyk obracał się w kole wiciowców. Radykalizm społeczny łączył się u tych chłopców z maskowaną niechęcią do klasy robotniczej i jawną nieufnością wobec Związku Radzieckiego. Prowodyr kółka, którego uważali za najmądrzejszego, bo przeczytał najwięcej książek a przy tym sam już prowadził ładną gospodarkę, rozsiewał swoją nienawiść. „Tam panuje czarny komunizm; dziedzica zastąpił urzędnik, chłop wpadł w tę samą nędzę — teraz musi robić na komisarzy". A kiedy któryś nie chciał się pogodzić z upadkiem swojej nieśmiało powstającej nadziei, prowodyr rozwijał — jak pawi ogon — oszałamiającą mądrość. „Tam uczynili boga z maszyny. Miasto ciągnie wszystkie soki ze wsi. Oderwali się od ziemi i teraz ziemia mści się. Niezadługo wyjałowieje... Już teraz urodzaje u nich spadają. Chłop przestał interesować się ziemią, skoro nie należy ona do niego na własność. Maszyna wzięła człowieka w niewolę".

Trudno było Więsykowi odeprzeć takie racje. Ale jakiś instynkt kazał mu chwytać czujnie wszystko, co bez wściekłości mówiono o kraju, w którym biedni ludzie zrobili porządek z panami. Cała prawda dotycząca tej ojczyzny wielkiej przemiany była zakryta przed ludzkim okiem. Skoro jednak był taki kraj, w którym prosty człowiek potrafił odebrać władzę panom, to znaczy, że i w każdym innym mogło się to samo dokonać. Nic więc dziwnego, że panowie chcą Związek Radziecki oczernić. Jak kruki krążą plotki.

We wrześniu 39-go roku bateria, w której służył Więsyk została rozbita podczas przeprawy przez Wisłę. Bez dział, bez koni, maszerowali do zbawczego Bugu. Noce zaciskały dokoła ognistą pętlę. Paliły się lubelskie wsie i miasteczka. Za dnia pod czystym jak opłatek niebem jęczały bombowce, leżało się z głową zakrytą rękami; powietrze cięły szybkie świsty, ziemia stękała niczym ochwacony koń, w górę wzbijały się czarne słupy dymu i kurzu. Żołnierze nie mieli czym się bronić, w bezsilnej wściekłości naciskali spusty karabinów. Najczęściej ściągało to na oddział dodatkową serię bomb. W kartoflach zostawali zabici z oczyma pełnymi ziemi. Żywi maszerowali dalej. Ale mimo, że zdzierali nogi do krwi, motory niemieckich zagonów pancernych były szybsze. Nocami mijali oddział cywile zrywający kłusa. Krzyczeli: „Uciekajcie — czołgi!" Niemiecka szpica zagrodziła im drogę niedaleko Janowa Lubelskiego. Dziesięć godzin oddział złożony ze 150 niedobitków stawiał czoło batalionowi niemieckiej piechoty i czołgom. Trzy razy podrywali się do ataku i za każdym razem Niemcy ustępowali z pola. Bateria stopniała do jednej trzeciej stanu. Kiedy już zaczęło się ściemniać, od tyłu, od strony lasu, który stanowił ich zaplecze, nadleciały z ognistym sykiem pierwsze pociski i padły na skrzydło tyraliery, łamiąc je od razu. Żołnierze porwali się do ucieczki. Więsyk leżał w środku linii. Od chwili, kiedy huknęły pierwsze granaty, przez cały czas ognia, mieszającego ziemię z niebem, co chwila to z tyłu, to z przodu tryskającego czerwonymi jęzorami, leżał wczepiony w bruzdę, stężały i drętwy. Z przerażenia ocknęło go tępe uderzenie w ramię. Ziemia zaczęła się szybko zabarwiać krwią. Niedobitków ocaliła noc, osłoniwszy ich ucieczkę przed wrogiem. Więsyk ranny w ramię, z obdartymi do krwi stopami, wlókł się za oddziałem. W jego głowie spierały się dwie myśli: jedna o żonie i dzieciach — żeby jak najszybciej znaleźć się w domu i przekonać się, że wszystko jest tak jak było, nieruszone; druga powracała wciąż na pozór wbrew jego woli — nienawiść za to wszystko, co się dookoła działo, obejmująca nie tylko te żelazne maszyny na ziemi i w powietrzu, które pozabijały mu tylu kolegów, i nie tylko tych wrogów, których twarzy nawet nie widział, ale także tych co uciekali w taksówkach załadowanych walizami, powracających we wspomnieniu dziedzica, urzędnika i policjanta, cały porządek świata doprowadzający do takiej mordowni.

Następnego dnia, o świcie, na rogatkach miasteczka zostali zatrzymani przez polski uzbrojony patrol. Sprawdzono ich papiery i przez opustoszałe uliczki zaprowadzono

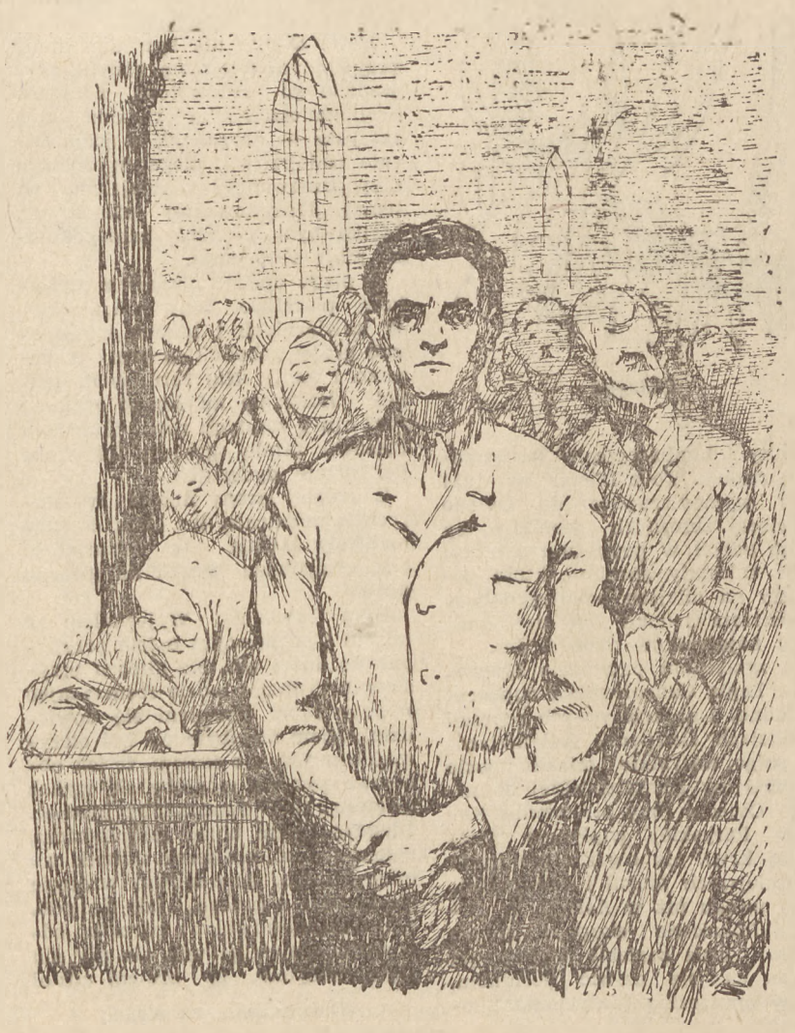

do owocowego sadu na tyłach plebanii. Tu już leżało pod drzewami kilkudziesięciu żołnierzy. Co chwila któryś spoglądał w górę. Ale niebo było tego dnia spokojne, ciche jak w domu. Padła komenda i żołnierze niechętnie podnieśli się. Przed ganek wyszedł łysy major w płaszczu narzuconym na ramiona. „Nasz największy wróg wypełzł ze swojej jaskini" — w myśli Więsyka błysnęły rogi znajomego diabła — „idzie na nas z tamtej strony..." major wskazał urękawicznioną dłonią na wschód; głos poderwał mu się histerycznie: „Wzywam was do obrony żołnierskiego honoru...".

Więsyka ogarnęło wzburzenie. Co się tu dzieje? Do czego ich nawołują? Obandażowane ramię przypomniało się szczypiącym bólem. Obok Więsyka stał jego kolega z baterii, bombardier Mucha. Pochodził on z miasta Łodzi. Teraz pociągnął nosem, skrzywił się i szarpnął Więsyka za rękaw. Odeszli na bok, skryli się za obwieszoną owocami jabłonką. „Sowieci wkroczyli, bo tu i tak jest po wojnie — kasza, no nie?" — gadał szybko podniecony Mucha. „Jak im tłumaczyli jak ludziom, żeby łupnąć razem Hitlera, to się draniom nie udawało, kombinowali inaczej..." Mucha zatrzymał się na chwilę. Jego wychudła, zmordowana twarz skurczyła się, ściągnęła ją jakaś ważna myśl. „Armia Czerwona nie daruje faszystom. Spróbuję przejść za Bug..." Więsyk nie poszedł z Muchą, chociaż Mucha mu to wtedy zaproponował. Górę wzięły nad nim ciężkie zmęczenie, obudzony pod Janowem strach i ostry niepokój o rodzinę. Dopiero później, po ucieczce z niemieckiego transportu, gdy znalazł się w domu i — przekonawszy się, że wojna przeleciała nad Chudowolą jak chmura bez piorunów — wprzągł się w spóźnioną jesienną orkę, wtedy dopiero przyszły chwile zastanowienia nad słowami Muchy. Było ich we wsi kilku, dzielących się podobnymi myślami. Rzadko docierało do nich ze świata coś: jakieś pismo czy słowo, które przyjmowali jak swoje. Słowo to musiało być proste i rzeczowe: wolność, która przyjdzie po trupie hitlerowca, musi przepędzić z kraju dziedziców i zaprowadzić sprawiedliwość.

Żadnych kontaktów z organizacją, stawiającą sprawę tak jasno, nie udało im się nawiązać. W 41-ym Hitler skierował swoje czołgi na wschód. Nadzieje Więsyka i jego przyjaciół wybuchły nagle i przez kilka dni aż kipiały w nich, podsycane hukiem dział na Bugu. Była to gorączkowa radość oczekiwania na coś, co wreszcie odwróci kartę złego losu i zupełnie odmieni tak niedobrze urządzone życie. Ale namysłu zawierało się w tym niewiele. Po prostu czas nie pozwolił.

Nadzieje zaczęły szybko odpływać, bo na cóż można było liczyć, skoro Armia Radziecka cofała się? Fanfary otrąbiły zwycięstwo i w komunikatach niemieckich Armia Czerwona przestała już właściwie istnieć.

Jednocześnie i życiowe sprawy Więsyka układają się niepomyślnie. Po suchej wiośnie na jałowym piasku urodziło się tyle zboża, że w ciągu trzech dni Więsyk jest gotów ze żniwami. Próbuje pierwszy raz zarobić na bimbrze; ponosi stratę nakryty przez granatowych policjantów. Ratując się idzie na dniówkę do dworu.

W czysty sierpniowy dzień pojechał do sterty po słomę. Kiedy załadował wóz do wysokości drabinek, nagle coś się poruszyło w stogu i jeden za drugim, ciężko jak worki żyta, spadli na rżysko dwaj ludzie. Byli tak przeźroczyście chudzi, że strach szarpnął Więsyka do tyłu; ale jednocześnie ścisnęło mu się gardło nad okropnością ludzkiej nędzy. Najpierw błysnęło w myśli: Żydzi! Spojrzał jednak przytomnie i serce uderzyło silnie: to byli sowieci!.. W strzępach mundurów, spod których przeświecały obciągnięte siniejącą skórą żebra, stali nieruchomo, a rozszerzone oczy patrzyły badawczo z żółtych jak glina i zapadniętych twarzy. Więsyka zaczął ogarniać wzbierający żal: tak wyglądała jego nadzieja, część siły, w którą zaczynał wierzyć i liczył, że odmieni chłopskie życie. W tej chwili czuł się jeszcze raz haniebnie oszukany.

Stali tak naprzeciwko siebie, w milczeniu jakby próbując przeniknąć swoje zamiary. Wreszcie jeden z jeńców wychrypiał:

— Ty raboczyj?

Więsyk powoli, z namysłem, kiwnął głową.

— My udrali z łagiera, tawariszcz... kuszat'daj — chleba...

Wyższy nie mówił nic. Patrzył teraz przed siebie nieruchomym, przepalonym gorączką wzrokiem.

Żal Więsyka stopniał nagle i zaczęło w nim powoli krzepnąć niejasne, ale twarde poczucie solidarności z tymi ludźmi.

Wieczorem, nikomu nie mówiąc o swojej tajemnicy, przyniósł do sterty chleba, słoniny, tytoniu.

Jeńcy spędzili w kryjówce pięć dni. Więsyk odkarmił ich; wysoki Witia przemógł jakąś złośliwą słabość, obaj odzyskali sprężystość ruchów, krew zabarwiła chude twarze. Długo w noc, siedząc pod stertą przy mdłym księżycu, poznawali swoje życie i układali plany. Witia był w wojsku sierżantem-czołgistą, z cywila — tokarz z Charkowa. Kola był kołchoźnikiem. Witia, skoro tylko odzyskał bystrość umysłu, pewnym głosem odpowiedział na biadolenie Więsyka: „My wojnę wygramy. Faszyzm musi być zniszczony". I — dziwna rzecz — wcale to Więsyka nie zaskoczyło; przypomniał mu się w tym momencie Mucha, robociarz łódzki, i jego słowa, kiedy się wybierał za Bug: „Związek Radziecki nie daruje faszystom". Witia miał już ułożony plan dalszej ucieczki: „Byle do Bugu, tam nasi partyzanci. Będziemy płacić germańcom za niewolę"...

Więsyk, który wiele słyszał o partyzantach w lasach parczewskich, zaczął uciekinierów namawiać, żeby się tam przedostali. Do dalszego marszu brakowało im jednak dwóch rzeczy. Przede wszystkim trudno było posuwać się w strzępach mundurów opadających z ciała. Więsyk walczył z sobą; sam miał na zbyciu waciak; powiedział kobiecie, że trafia mu się kupiec na ten znoszony łach; wieczorem przyniósł zdobycz i oddał Witi. Brakowało jeszcze okrycia dla Koli, przydałyby się też jakieś spodnie... Wreszcie, po długim namyśle, Więsyk zdecydował się i dopuścił do tajemnicy „najlepszego kolegę ze swej paczki. Razem wyspekulowali okrycie dla sowietów. Była jeszcze druga sprawa, o której Witia mówił z zapalonymi pragnieniem oczyma. „Rużio... broń może u was jest?"

Po powrocie z wojny Więsyk ukrył w poszyciu stodoły porzucony przez żołnierza karabin, ładownicę z nabojami i bagnet. Kiedy Witia pierwszy raz wspomniał o broni, Więsyk nawet nie mrugnął okiem. To co przechowywał z narażeniem życia stanowiło jego ukrytą siłę i pogróżkę wobec świata; miał nadzieję, że przecież będzie mógł wydobyć ją w końcu na światło księżyca. Nie odpowiedział ruskiemu. Wzruszył tylko ramionami. Ale za drugim razem już się zaniepokoił. Jeszcze ta myśl, żeby się wyzbyć karabinu, wydała mu się obca i natrętna. Ale — mimo że usiłował ją od siebie odpędzić — wracała wciąż uparcie przez całą drogę powrotną od sterty do domu. Potem przeszły jeszcze trzy noce, podczas których Witia i Kola, popiwszy trochę, opowiadali na przemian o swoim życiu w Związku Radzieckim, o pracy, o wojnie.

— W kołchozie żyjesz po ludzku... — wspominał Kola. — Jedzenia starczy dla wszystkich. Zapracujesz — będziesz syty i bogaty. Nikt ciebie nie ma prawa tarmosić. Wyzyskiwaczy myśmy wykastrowali z majątku...

Więsyk i jego przyjaciel słuchali opowiadań i surowo wpatrywali się w twarze ludzi, którzy odsłaniali przed nimi skrawek męczącej tajemnicy.

Księżyc mętnym pyłem prószył na szerokie ściernisko, rechotały żaby, sierpniowa noc dyszała ciepłolubinowym oddechem. W cieniu sterty czterej ludzie przyrzekali sobie pamięć. Witia zarzucił na ramię karabin — dar Więsyka. Uścisnęli się ostatni raz. Odtąd Kola i Witia zniknęli na dziewięć miesięcy z horyzontu Więsykowego życia.

A jego sprawy potoczyły się teraz kulawo i zdradnie. Zimowy tyfus prawie trzecią część wsi odprowadził na cmentarz. Niemcy zaczęli wywozić hurtem do Prus. Palec kułaków i ich pociotków z urzędów wskazywał co biedniejszych a bardziej wstrętnych gospodarzom na te wyjazdy pod bomby angielskie. Także coraz cięższy kontyngent przygniatał do ziemi plecy biedaków. Ratowali się pędzeniem bimbru. Wieść zaczęła dublować pierwsze strzały po lasach i już Niemcy zatruli cały powiat odorem trupów i pogorzelisk. Na wiosnę partyzanci stali się widoczni tu i ówdzie. Razem z młodym zbożem rosły siły oporu. W czerwcu wyleciał w powietrze most kolejowy, spalili papiery w kilku gminach, rozbili mleczarnię. Żywili się przede wszystkim kosztem dziedziców. Ci co mają, niech płacą! We dworach zapanował stan oblężenia. Kuto żelazne sztaby, ryglowano drzwi i dębowymi okiennicami odgradzano się od płonącego świata. Do chudowolskiego pałacu przyszli w biały dzień, a ponieważ jeden z nich miał bose, obtarte do krwi nogi, kazali dziedzicowi ściągnąć błyszczące oficerki. Gniew uderzył staremu do głowy. Na odchodnym zagrozili mu, żeby się poprawił dla ludzi; to go jeszcze bardziej rozjątrzyło i nienawiść wgryzła się w serce. Pokojówka opowiadała potem, że kiedy wreszcie partyzanci zabrali się, pan chudowolski zaczął szaleć po pokojach jak raniony odyniec. Nie minął jednak tydzień i ugasił pragnienie zemsty.

Nastał lipiec. Pora było zaczynać żniwa. Więsyk szedł na swoje pólko zobaczyć, czy nazajutrz warto już wychodzić z kosą. Kiedy mijał podwórze dworskie, w powietrzu zawibrował warkot motorów samochodowych. Niepokój kolnął go, a ponieważ tylko na dworskim podwórzu czuł się człowiek jako tako bezpiecznie, Więsyk minął bramę i skręcił w stronę kuźni. Po szerokim majdanie snuł się stary dziedzic, wlokąc za sobą ciężką laskę. Dziedzic nie lubił, żeby mu się ktoś obijał po majątku. Toteż Więsyk starał się niepostrzeżenie prześliznąć do kuźni. Drogą przejechało kilka samochodów załadowanych żandarmerią i granatowymi policjantami. Przeszło może piętnaście minut i już znacznie powiększyła się grupka chłopów rozmawiających przed warsztatami, kiedy nagle od strony Zagajek sypnęły się pierwsze strzały. Ludzie znieruchomieli czujnie jak wystraszone konie. Co to może być? Ani chybi — łapią. Nawet dziedzic zatrzymał się na środku podwórza i bystro podniósł głowę. Pojedyncze eksplozje raz po raz rwały napiętą ciszę, chwilami wpadały w rzęsistą kanonadę.

„To już nie łapanka..." Chłopi zbili się w stadko koło kuźni.

Pierwszą wiadomość przyniósł pastuch, który uciekł z zagajskich łąk. Niemcy bili się z partyzantami. Otoczyli śpiących w stodole u wdowy Byliny na uboczu. Leśnych było podobno czterech — trzech ruskich i jeden Polak; przyszli do wdowy przed wschodem słońca, zjedli śniadanie, popili trochę, po czym pokładli się w stodole do snu. Kto ich wydał, nie wiedziano z całą pewnością, ale podejrzenie wskazywało na młynarza, u którego zatrzymali się oficerowie. Młynarz ten, nazwiskiem Flis, został przed miesiącem napadnięty, ograbiony i ciężko pobity; jak mówiono we wsi, ktoś mu zapłacił za zdzierstwa. Powoli palba ucichła; jeszcze od czasu do czasu trzaskał pojedynczy strzał. Nadbiegli ludzie z Zagajek, wystraszeni, bo Niemcy skończywszy z partyzantami zaczęli grasować po wsi. Od zagajskich dowiedziano się, jaki był przebieg i wynik potyczki. W każdym razie dwóch partyzantów uciekło. Widziano ich, jak wpadli do olszyny, a stamtąd mieli już bezpieczne przejście do lasów czemierskich. Za to dwaj inni dostali się w ręce Niemców. Kryli oni ucieczkę towarzyszy. Wyskoczywszy z podpalonej stodoły, długo ostrzeliwali się, ukryci za obalonymi pniami. Nie wiadomo, czy kula dosięgła któregoś, czy też zwyczajnie zabrakło im amunicji i takim sposobem wpadli w niemieckie sieci. Ktoś podpatrzył, jak pobitych na kościelnym placu załadowali żandarmi do samochodu.

Przed kuźnią zapanowało ożywienie. Więsyk odpręża się, już nie czuje gniotącej ręki strachu; ale zarazem coś mu się ściska we środku, podobnie jak podczas wrześniowej wojny. I wtedy po każdej masakrze ulga ogarniała człowieka, przecież żyło się; szybko jednak zwłoki pozabijanych kolegów, rany innych, mąciły ukojenie i gdzieś z samego środka sączył się niepokój, przykrość, dręczące wrażenie bezpowrotnej straty i klęski.

Nagle przed bramą coś się zakręciło, zdradliwie warknął motor i już zielona ciężarówka pełznie wolno po kopnym piachu podwórza. Kto nie zdążył skryć się w warsztacie, dla tego jest już za późno na ucieczkę. Więsyk znieruchomiał. Na aucie paru żandarmów waruje przysiedzących z opuszczonymi głowami dwóch ludziach. Ciężarówka zahamowała, z szoferki wysiada żandarm, za nim wysoki komendant granatowej policji. Naprzeciwko podąża dziedzic. Stoją teraz razem i naradzają się. Po chwili wszyscy trzej podeszli do ciężarówki. Niemiec krzyczy coś do swoich kamratów. Dziedzic przysunął się zupełnie blisko auta, niemiłosiernie wbija jastrzębie ślepia w jeńców; Jakby w odpowiedzi, żandarm w furażerce chwyta za czuprynę jednego i zadziera mu głowę. „Aha", myśli Więsyk, „rozpoznaje tych, co mu zabrali buty". Krew cieknąca po twarzy rozmazuje rysy partyzanta. Dziedzic kuca, żeby lepiej widzieć od dołu, dłońmi pokazuje Niemcowi — „wyżej! wyżej!..." Jego twarz

zaostrza się w starczym uśmiechu. Żandarm łapie za włosy drugiego i szarpie. Więsyk chwilę patrzy, nogi miękną pod nim, po plecach przebiega mrowie, jakby ktoś przejechał drapakiem, podmuch strachu wymiata z głowy inne myśli. Witia!... Jest inny niż pod stertą. Usta i nos rozbite — pewno dostał kolbą — jedna rana, blady jest jeszcze bardziej niż wtedy. Ale to jego wzrost, jego jasne włosy, jego oczy. Odzywa się wątpliwość: może to jednak nie on; w takim stanie trudno rozpoznać człowieka... Jest ranny. Prawe ramię zwisa martwo, krew spływa po nim jak żywica po nadrąbanej gałęzi. Wzrok nieruchomy, pociemniały, nie patrzy ani na dziedzica ani na żandarmów, tylko gdzieś w pole. Teraz prześlizguje się po twarzach ludzi znieruchomiałych przed kuźnią. Strach ogarnia nagle Więsyka. A jeżeli go wyda? Jeżeli zdradzi, że się znają? Skąd miał broń? Czuje, że spojrzenie partyzanta utknęło teraz na nim. Zmusza się do podniesienia wzroku. Spotykają się ich oczy. Ale Witia patrzy nie na niego, a jakby przez niego gdzieś dalej. Nie wyróżnia go nawet drgnieniem powieki; nie wiadomo, czy go poznał, tak samo patrzał na każdego innego. Więsyk pragnie teraz jakiegoś znaku, chce coś zrozumieć, chce coś wiedzieć. Ale Witia już na niego nie patrzy. Żandarm puścił czuprynę jeńca, głowa jakby ścięta opadła na piersi. Dziedzic machnął ręką, uśmiechając się, uchylił czapki i odwrócił się plecami do ciężarówki.

Więsyk pamiętał dokładnie ten dzień. Leżał on na dnie jego pamięci jak kamień w czystej rzece. Wiele zdarzeń przepływało; szybki prąd wojennego czasu unosił je w zapomnienie, ale zakrwawiona twarz i otwarte szeroko oczy Witi, uśmiech dziedzica, żandarmi kręcący się koło ciężarówki — to się nie zatarło we wspomnieniach. Wtedy, w 42-im roku, sam własnym rozumem doszedł Więsyk do przekonania, że linia podziału nie biegnie tak jak wielu tłumaczy: Polak — Niemiec, ruski czy jakiś inny. Witia i jego nieznany towarzysz Polak zostali rozstrzelani na Piaskowej Górce pod Lubartowem.

Wkrótce Hitler otrzymał pierwsze uderzenie. W zimie front jego zgiął się pod stalingradzkim ciosem. Latem wzrósł terror i zaostrzyła się walka. Więsyk przez dwa miesiące pomagał partyzantom, ale potem oddział Sowy rozpłynął się i niewidocznie wsiąkł w teren. Następowały obławy, aresztowania, egzekucje. Zaczęły krążyć chmary SS-manów. Ludzie spędzali dnie w kryjówkach albo po lasach. Więsyk wpadł w ręce żandarmów i pobity do nieprzytomności dostał się na zamek lubelski. Przesiedział tam trzy miesiące, gotowy na najgorsze, wypierając się wszystkiego (na śledztwie zarzucali mu, że przechowywał Żydów), stracił tylko parę zębów i niespodziewanie dla siebie samego powrócił do domu. Opanowało go teraz dokuczliwe bo niedające się ugasić pragnienie odegrania się, to znaczy poprawienia swojego życia. Jego kurza gospodarka była zupełnie roztrzęsiona. Wziął się z furią do łatania dziur. Znów spróbował bimbrarstwa i tym razem udało się. Udało się jeszcze drugi raz, a potem trzeci i czwarty. Więsyk odkuł się. Żona sprawiła sobie miejską bieliznę, dzieci miały zabawki. Ale co z tego? Więsyk dobrze rozumiał, że takimi sposobami nie poderwie się, nie rozwinie życia, ciągle będzie się szarpał w sidłach swego morgowego majątku.

Nadszedł front. Szeroką falą przeszli sowieci. Wiele urządzeń starego świata poszło na dno. Spłynął gdzieś dziedzic chudowolski, polsko-niemieccy urzędnicy, granatowa policja. Z natarczywą ciekawością obserwował Więsyk czerwonoarmistów. Byli zdarci, ale przejęci i szczęśliwi jedną myślą: my pabiedili... Ludzie szeroko otwierali oczy na potężne czołgi, działa, katiusze. Oddział, który zatrzymał się w Chudowoli, szybko pomaszerował dalej „na Berlin"... Teraz gdzieniegdzie podniosły się syki — „jak nie wojsko idą, gromadami, Hitlerniech tupnie, to się jeszcze zawrócą, karabiny na sznurkach, tylko patrzą co złapać...".

Tymczasem za Czerwoną Armią przyszła reforma. Ziemia chłopom...

Więsyk ocknął się. Za oknem psy zachłystywały się gwałtownym ujadaniem. Chwilę nadsłuchiwał, potem ciężko usiadł na łóżku. Psy nacierały na kogoś koło stajni. Coraz ostrzej. Więsyk spuścił nogi. Kubić, znając go, mógł wcale nie wyjść na stróżę. Więsyk wstał. Rozpoznawał zajadły, rozwścieczony bas Bukieta. Kiedy ten pies napadł na kogoś, to — już nie bez przyczyny. Nagle Bukiet zaskowyczał jakby uderzony i zaniósł się jazgotliwym lamentem. Więsyk poderwał się. „Swojego to strzegli, nawet kołka z płota nie dali wyjąć, a teraz niech ginie!" Namacał w kącie karabin. Byle koni nie wyprowadzili...

Psy pewnie rozpędzone ujadały w różnych stronach podwórza. W sieni chwilę mocował się z zasuwką. Teraz nie ma żartów. Na tym zebraniu przekonał się, że potrafią skoczyć do gardła...

Noc już się przecierała, siwa wata mgły wyłaziła z dziur, ciągnęło chłodem, niebo rozgwieżdżone w górze liniało od dołu.

Więsyk głośno szczęknął zamkiem, repetując karabin. W mglistych oparach wszystko się rozmazywało; sunął prosto na stajnię, której cień czerniał w przedrannym popiele. Nagle koło węgła błysnął płomień. Więsyk zdrętwiał. Na moment spętało mu nogi. Płomień zakołysał się na wietrze i poruszył w znaku krzyża. Więsyk krzyknął: „Stój, stój, bo strzelam". Skoczył naprzód. Płomyk zgasł jakby zdmuchnięty od jego wrzasku.

Więsyk poderwał karabin do oka. Ale nic nie widział. Tamtego kryła stodoła... Za późno było na pościg. Gruba opona mglistego powietrza przesłaniała świat. Psy znów zaczęły jazgotać. Po chwili przybiegł do Więsyka Bukiet, skamlał, zaczął się łasić, cicho poszczekując. Utykał. Więsyk przeszedł dookoła stodoły; wszystko było w porządku, żadnego śladu, nie zdążyli zaprószyć ognia. Stanął. Dreszcze zatrzęsły ciałem; nie mógł opanować drżenia łydek. Przysiadł na ogromnym kamieniu. Mimo że ciągnęło chłodem, czuł jeszcze na skórze obsychającą wilgoć. Powoli ochłonął z przerażenia; strach zaczął krzepnąć w nienawiść, zacisnął pięści, myśli burzyły się... Ścierwa, złapać takiego... Nic się ich nie bał teraz. To tylko tam czuł przed nimi lęk. Ciągle jeszcze na zebraniach nie potrafił zrzucić z siebie przewagi wroga; zdawało mu się, że racja ich, mimo że dla niego zła, jest jakaś wyższa, namaszczona starym porządkiem życia. Życie to nie było dobrze urządzone, ale znowu to, o co on się z nimi kłócił, zostawało jeszcze w dużej części zakryte przed ludzkim okiem. Nikt nie znał spółdzielczego bytu; a skoro człowiek szedł już do tej wspólnoty i było wiadomo, że nie może myśleć o odwrocie, to chciał widzieć jasno, co go czeka. Kiedy przychodziło Więsykowi bronić przed całą wsią sprawy, do której sam był zasadniczo przekonany, tak bardzo brakowało mu jakichś przykładów; jakby to było dobrze, gdyby miał przed oczami wyraźny znajomy sobie obraz. Za to oni wyciągali na zawołanie straszydła. Zawsze wypychali naprzód Sejnika.

„Sparzyłem się już raz, ludzie, nie namawiajcie mnie więcej...."

Więsyk dobrze wiedział, co warte są te słowa. Skoro Sejnik należał do sitwy Mianowskiego, musiał razem z nim motać pajęczynę dookoła Szymonek. Mimo to Więsyk nie potrafił rozdeptać kłamstwa. Kiedy próbował sprzeciwiać się, zamykali mu usta jednym: „Jażem widział tymi ślepiami, to co mówię...".

Więsyk był bezradny. Och, za to teraz mógł im zapłacić. Ich ręka skrzesała ten ogień! Podniosła go nagła złość na Kubicia, przez którego omal nie stało się nieszczęście. Skierował się w stronę stajni. Psy węszyły dookoła. Ogromne podwórze folwarczne pełne było ruchliwych cieni przemykających koło wozów i między rozrzuconymi narzędziami. W stajni otuliło Więsyka miękkie ciepło. Lubił ostry zapach koński, pobrzękiwanie łańcuchów, tłumione parskanie w żłoby. Noc skryta w czterech ścianach wypełniała szczelnie całe wnętrze, tylko małe okienka szarzały w gęstej ciemności. Nagle ostre światło oślepiło Więsyka:

— Czeguj ty? — zachrypiał rozespany głos Kubicia. Latarka zgasła. Więsyk w ciemności dotarł do pryczy.

— Tak pilnujesz, niby nie twoje, co? Głupi człowieku... — Więsyk krztusił się słowami. — Z sakiewką pójdziemy... Nie bój się, nie będzie tego. Tylko co, o włos nas nie spaliły.

— Jak? Gdzie? — Kubić szarpnął się.

— Ano; pod stodołę podkładały... Alem ich przegnał.

— Rozeznałeś kogo?

— Nie. Oćma jest. Tylko ogień widziałem, jak krzesały.

— Zwidziało ci się. Tak bywa...

— Pleciesz. Cóż to, ja nie wiem, co to ogień? Tylko jak wyskoczyłem, krzyknąłem: stój, bo strzelam! i uciekły. Przecie wiadomo czyja to sprawka.

— Myślisz?

— Pewnie. Sami to może nie przyszli, ale nasłali swoich z kolonii.

Kubić zajęczał cicho:

— Mówiułem, tyle razym mówił: ludzie, nie róbta tego, na co wam szarpać się, zdrowie zdzierać; albo trza sie było od raz na ten PGR zdać. A teraz na moje wyszło. Co będzie? Sprawilim się trochę z robotą, to teraz tamci nie dadzą żyć, zadławią.

— I co sie ślamtasz, człowieku — przerwał mu Więsyk — Wychodź na stróże, niech każdy robi tak jak potrza, to nas mogą w tył pocałować... Jakbyś pilnował, to by nie podeszły z ogniem...

— Nie mogłem bez spania. Taki mnie sen chwycił. Swoją dniówkę odrobiłem za dnia.

— Jak bierzesz na się, to rób. Dla siebie robisz, a ty wciąż jak u dziedzica.

— Dziedzica mi nie wytykaj...

— Bo i prawda; z wami idzie jak po grudzie; zrozum, człowieku, spółdzielnia nie folwark, na siebie robisz.

— Ale — mruknął Kubić — tak to się mówi...

„Cholerne dworusy..." — myślał Więsyk, wracając do domu. Ciężko szła z nimi robota. Na czternastu członków było jedenastu dawnych fornali chudowolskich, osiedlonych w Szymonkach równocześnie z Więsykiem. Razem siedzieli w dworskich czworakach i razem zajmowali budynki pomajątkowe. Po długich namysłach przystali na wspólnotę, bo indywidualne życie nie układało im się dobrze. Paru chciało zdać się Państwowym Gospodarstwom Rolnym, przeważyła jednak myśl o spółdzielni. Do roboty szli niechętnie, tylko dwom leżała na sercu sprawa wspólnoty i oni razem z Więsykiem stanowili trzon zespołu. Cała duża wieś Szymonki siedziała obok. Byli tutaj osadnicy z Lubelszczyzny i od Grajewa, paru przesiedleńców zza Bugu i gromada mazurskich autochtonów. Przyglądali się pilnie gospodarce młodej spółdzielni. Dookoła wsi i dookoła folwarku rozsypała się tyralierka kułackich kolonii. Ściągnęli na Mazury najwcześniej, obrośli w dostatki, nazgarniali nieużytków, przychowali bydła; teraz trudno było namacać im żebra. Ze swoich majątków motali pajęczynę dookoła wioski. Na spółdzielnię patrzyli niby to obojętnie, a gdzie się dało, podstawiali jej nogę. Tutaj znów nie wszystko szło tak jak powinno iść. Więsyk nie mógł sypiać po nocach, zmizerniał. Kiedy w połowie 49-go roku dał się przekonać i postanowił wejść na drogę spółdzielczą, zaczął się dla niego czas ciężkiej walki. Rzetelnie starał się o założenie spółdzielni. Udało się. Zespół powstał, ale wraz z nim w duszy Więsyka zaczął rosnąć niepokój... Czy wywiąże się ze swojego zadania? Został powołany na przewodniczącego, bo ludzie uważali go za uczciwego, sumiennego człowieka, dobrego gospodarza. A czy on podoła? To była jedna wątpliwość. Druga odnosiła się do słuszności obranej drogi. Często nie dawały mu zasnąć słowa Sejnika. Przeciwstawiał im jakie tylko mógł argumenty, ale nie miał lekarstwa na to najgorsze: „Jażem widział własnymi ślepiami.." Tutaj w grę wchodziła cała przyszłość rodziny. Zasadniczo Więsyk wierzył rządowi; ale wątpliwości rodziły jedna drugą; odpowiedzi, które dostawał, nie zawsze zadowalały. Tymczasem wobec ludzi nie wolno mu było pokazać słabości. Był przewodniczącym i dlatego sam jeszcze musiał ludzi zachęcać do nowego.

Witold Zalewski

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

DANUTA ZABŁOCKA-SKUPIEŃSKA

O pełną likwidację analfabetyzmu

Trudno jest, pisząc o akcji zwalczania analfabetyzmu, nie odtworzyć kilku bodaj historycznych momentów, oświetlających warunki, które przyczyniły się do powstania i trwania rzeszy analfabetów.

Nie sięgajmy do zbyt odległych czasów. Rok 1921: Polska liczy 27,2 miliona mieszkańców. W tym 8,9 miliona, tj. 33,1 procent — to analfabeci.

Rok 1931, 13 lat istnienia Państwa Polskiego: na 32,1 miliona ludności mamy 7,4 mil., czyli 23,1 proc. analfabetów. Danych, dotyczących lat następnych nie publikowano już w Roczniku Statystycznym. Wiemy jednak skądinąd, że w tych latach milion dzieci proletariatu wiejskiego i miejskiego znalazł się poza wszelkimi możliwościami dostania się do jakiejkolwiek szkoły. Ówczesny minister oświaty Janusz Jędrzejewicz na posiedzeniu Sejmu w marcu 1932 r. wygłaszał: „Sądzę, że panowie przyjmą z zadowoleniem do wiadomości to, że według naszych obliczeń statystycznych istniejący stan rzeczy nie powinien się w przyszłym roku pogorszyć. To znaczy: powinniśmy objąć przyrost szkolny dzieci w wieku szkolnym i **liczba dzieci, które pozostaną poza szkołą nie będzie się nadmiernie różnić** od tej liczby, która dziś jest w tej sprawie decydującą". (podkr. moje).

Do roku 1939 budżet oświatowy Polski spadł o 35 procent. Liczba nauczycieli - bezrobotnych osiągnęła cyfrę 25-u tysięcy. Z tym wiąże się gwałtowny wzrost analfabetyzmu, zwłaszcza wtórnego. Zmniejszenie liczby etatów powoduje, że nauczyciel, aby przynajmniej formalnie móc objąć przyrost dzieci, rezygnuje z jakości swojej pracy. Po wsiach, zwłaszcza na kresach, mnożą się jednoklasówki. Czyż można się wobec tego dziwić, że w 1939 roku wśród poborowych, którzy uczęszczali kiedyś do szkoły powszechnej odkryto aż 26 procent wtórnych analfabetów?

W świetle tych cyfr rozumiemy wystąpienie następnego ministra oświaty, Wacława Jędrzejewicza, na posiedzeniu Państwowej Rady Oświecenia Publicznego: „...stwierdzam, że mimo wszelkich trudności i braków frontu kulturalnego Polski, **komunikat z walki o polskie mocarstwo kultury brzmi krótko: Idziemy naprzód!"** (podkr. moje). Rozumiemy już, czyich to dzieci sytuację brano pod uwagę, mówiąc o postępującym „mocarstwie" kultury. Rozumiemy cynizm burżuazyjnej teorii, uzasadniającej wyższość własnej klasy nad innymi tym, że — przytaczano dane statystyczne — aczkolwiek najmniej liczna spośród istniejących, wydaje rocznie X-razy więcej naukowców, pisarzy, artystów itp. „wielkich ludzi", niż robotnicy i chłopi, kilkanaście razy liczniejsi.

Świadomość tragicznie bezmyślnej i pełnej złej woli bufonady sanacyjnych pajaców, obrazującej całe lekceważenie i pogardliwe nieliczenie się z poniżeniem i uciskiem milionów, pamięć wojny i okupacji, świadomość całego historycznego procesu, który analfabetów stworzył i utrzymywał jest niezbędna, aby akcję likwidacji analfabetyzmu prowadzić z pełnym oddaniem.

Dnia 7-go kwietnia 1949 roku, w piątym roku niepodległości, Sejm Polski wydał ustawę o zniesieniu analfabetyzmu. Nowe warunki ustrojowe, nowy styl pracy, rozsadzający stare podziały na pracę „fizyczną" i „umysłową" — stawia każdego obywatela wobec konieczności myślenia, liczenia, ciągłego dokształcania się. A gdzież tu miejsce dla nie umiejących czytać ani pisać? „Z analfabetami nie można budować socjalizmu" — stwierdził Lenin.

Termin zakończenia akcji kilkakrotnie ulegał przesunięciu. Jak wynika z ostatnich danych, na dzień 1.V.51 r. zobowiązały się 4 województwa, oraz miasto Łódź. Poza tym uchwałą Sekretariatu CRZZ z dn. 25.X.50 r. ustalono dzień 1-go maja jako termin całkowitej likwidacji analfabetyzmu w zakładach pracy całej Polski. Na 22.VII.1951 zobowiązały się 4 województwa oraz miasto Warszawa; na 7.XI.51 — 8 województw. Termin do 21.XII.51 r. ma być przeznaczony na uzupełnienie braków. Podpisano szereg umów o współzawodnictwie (np. między województwami warsz. i lubelskim, Warszawą — Łodzią), które obejmuje: 1) ilość otworzonych i pracujących kursów, 2) ilość uczniów na kursach, 3) bezwzględną walkę z bumelanctwem i fikcyjną sprawozdawczością.

Akcja obejmuje czasokres od 26-u do 32-u miesięcy na różnych terenach. We wszystkich więc województwach i zakładach pracy dawno już przekroczono połowę przeznaczonego na nią czasu. A jej zaawansowanie od strony merytorycznej? Jakie są jej braki, trudności, i co należy uczynić, aby ją maksymalnie usprawnić?

NIESPISANE I NIEROZPOWSZECHNIONE DOŚWIADCZENIA I USPRAWNIENIA TERENOWE.

Sądząc na podstawie czasu — akcja dobija końca. Ci jednak, którzy mają z nią styczność, wiedzą, że teraz dopiero zaczyna się zasadnicza i najpoważniejsza jej część.

Sprawa likwidacji analfabetyzmu na najniższych szczeblach nie jest prosta. Jednym z poważnych utrudnień jest to, że w większości wypadków kierownik poszczególnego kursu musi sam od początku dochodzić pewnych wniosków w praktyce, a usprawnienia racjonalizatorskie w tej dziedzinie pozostają własnością jednej lub kilku blisko siebie położonych placówek. Do dziś dnia nie znalazła się jeszcze instytucja, która by te usprawnienia spisała, uogólniła i spopularyzowała. Brak takiego wydawnictwa odczuwa dotkliwie zwłaszcza wieś.

Ujmując ogólnie możemy stwierdzić, że kierownictwo placówek i terenowe komitety do walki z analfabetyzmem napotykają na opory i trudności idące z dwu kierunków: od samych analfabetów i od władz, które formalnie są zobowiązane do współdziałania i pomocy. Ustalmy ich proporcje.

MIT „OPORNOŚCI".

— tymi słowy min. St. Matuszewski, Pełnomocnik Rządu do Spraw Likwidacji Analfabetyzmu określił trafnie sytuację, w której odpowiedzialność za ilość zgłoszeń, frekwencję na kursach, poziom nauki zrzuca się na postawę analfabetów. „Sprawa obecnie jest najtrudniejsza, ponieważ zostali sami oporni" — mówią często kierownicy kursów. Kto to są t. zw. „oporni"? Są to w przeważającej większości ludzie, którzy natrafiają na jakieś obiektywne przeszkody, nie pozwalające im uczęszczać na kursy. Czy każdy kierownik kursu, przedstawiciel komitetu, Rady Zakładowej i innych uprawnionych instytucji przeprowadził rozmowę z zarejestrowanym a nie zgłaszającym się analfabetą, czy zbadał jego warunki, określił trudności i czy walczył o ich usunięcie? Bezpośrednie zetknięcia z akcją oraz dane z prasy pozwalają ustalić kilka typowych przeszkód, które kryją się za ową opornością.

Pierwszą jest złe rozplanowanie godzin kursu w stosunku do zmian w zakładach pracy. Kurs wypada w godzinach, przeznaczonych na odpoczynek po nocnej zmianie. Jeżeli odbywa się na terenie zakładów, robotnik musi dwa razy w ciągu doby przybywać do miejsca pracy, co jest niedogodne zwłaszcza dla mieszkających w większych odległościach.

Drugą — niezorganizowanie posiłków. Żeby móc zatrzymywać ludzi na kursy zaraz po zmianie, trzeba im dać jeść. Dotyczy to zwłaszcza zakładów, w których nie ma stołówek.

Trzecią — jest na wsiach utrudnione dojście do lokalu, w którym się kurs odbywa, w dni mroźne i słotne. Dotyczy to osób starszych, albo nie posiadających należytego obuwia i odzienia.

Czwartą — sytuacja domowa. Zdarza się, że pracujące kobiety niepiśmienne, mają w domu kogoś chorego albo małe dzieci, którymi nie ma się kto zaopiekować w czasie trwania kursu.

Do **piątej** należą trudności lokalowe, trudności z uzyskaniem książek, okularów itp.

Oczywiście, nie możemy przemilczać faktu psychicznego podłoża oporów: fałszywego wstydu, obojętności, pogodzenia się z pozycją społeczną wyznaczoną przez kapitalistyczne rządy... Analfabecie trzeba uświadomić jego własną wartość, wartość uprawnionego i odpowiedzialnego, powołanego do współrządzenia obywatela. Innego nieco odcienia nabiera świadomościowy motyw „oporów" na wsi. Nie wchodzi tu w grę poczucie upośledzenia — normalny dzień pracy nie daje ku temu tylu powodów co dzień przepracowany w mieście i ciągłe obcowanie z drukiem. Spotykamy tu raczej traktowanie kursów jako niepotrzebne marnowanie czasu, niekiedy nawet jako dziecinadę. W takich wypadkach jedynym wyjściem z sytuacji jest wprzęgnięcie do akcji miejscowych autorytetów: — sołtysa, wójta, sekretarza partii, którzy powinni przekonywać w osobistej rozmowie. W kilku wypadkach jako powód uchylania się od nauki podawano alkoholizm.

Kiedy jednak zestawimy stosunek przyczyn obiektywnych do świadomościowych, stwierdzimy, że rozwiązanie problemu rzekomej oporności, sprowadzenie tych ludzi na kursy i przeszkolenie zależy w decydującej mierze od organizacji kursów, że przesuwa się na drugą stronę, — na stronę władz i instytucji, zobowiązanych do współdziałania i pomocy.

NADBUDOWA OPIEKUJĄCYCH SIĘ INSTYTUCJI.

Dnia 20.XI.1950 zostało wydane zarządzenie przewodniczącego P.K.P.G., nakazujące dyrektorom fabryk zatrudniać analfabetów tylko na zmianach dziennych i umożliwiać im środki lokomocji. O czym jednak komunikują dzienniki? Pomijam już fakt, że dzienniki w ogóle zbyt mało dają komunikatów z frontu likwidacji analfabetyzmu, że nie zawsze jeszcze zrozumiały swoją aktualną rolę: konsultanta i opiekuna akcji. Z nielicznych artykułów dowiadujemy się, że np. w ZPB im. Marchlewskiego w Łodzi dyrektor administracyjny odmówił przeniesienia analfabetów ze zmian nocnych na dzienne (Dziennik Łódzki nr 32—2012). Wypadek nie jest sporadyczny.

Z drugiej strony dowiadujemy się np. o zakazie zatrudniania analfabetów w godzinach nadliczbowych, wprowadzonym z inicjatywy kierownictwa świetlicy na terenie Zakładów im. Feliksa Dzierżyńskiego w Łodzi, ponieważ zdarzało się, że — zwłaszcza w dziale gospodarczym — przetrzymywano robotników, jeżeli nadszedł towar. Oto przykład realizacji dobrze zrozumianego zarządzenia.

Sprawa przeniesień ze zmian nocnych na dzienne jest do przeprowadzenia i musi być przeprowadzona. Umożliwi organizowanie kursów zaraz po skończonej zmianie, co w decydujący sposób zaważy na zgłoszeniach i frekwencji. Kierownicy kursów, kierownicy świetlic mają obowiązek domagać się przeniesień od dyrekcji zakładów. A jeżeli sprawa nazbyt długo tkwi w papierkach i na konferencjach, w sukurs kierownictwu ma przyjść dziennikarz i korespondent. Nie wolno im zapominać o tym obowiązku w najgorętszym okresie akcji.

Jakże trudno i ociężale posuwa się naprzód usuwanie przeszkody!

W n-rze 146(160) r. II „Trybuny Ludu" z dnia 29.V.1949 znajdujemy pod reportażem z kursu dla analfabetów w zakładach im. Strzelczyka w Łodzi następujące pytanie: „...pod adresem OKZZ w Łodzi i CRZZ w Warszawie... Robotnicy przychodzą uczyć się po ośmiogodzinnej ciężkiej pracy. Otrzymują więc podwieczorek: 2 bułki i kawę. Związki Zawodowe odmówiły pokrywania kosztów za te podwieczorki. Czy nie można znaleźć na to funduszów? — pytają kursiści z załogi „Strzelczyka".

W cytowanym numerze „Dziennika Łódzkiego" z dnia 1.II.1951 czytamy: „Sprawa zorganizowania posiłków dla analfabetów na terenie Zakładów im. Marchlewskiego jest tak dawna, jak i same kursy. Robotnik analfabeta pracuje od 5.30 rano do 14.00. Od 14 do 16 ma kurs. 10 godzin bez ciepłej strawy... Toteż mnożą się skargi, że są głodni, że robi im się niedobrze, że w takim stanie trudno jest im się uczyć. Kierownicy kursu... o zorganizowanie posiłków zaczęli walczyć we wrześniu 1950 roku. A więc najpierw zgłosili się do dyrektora administracyjnego. Powiedział, że nie ma na to pieniędzy. Poinformował się jeszcze w innych zakładach i uspokoił wiadomością, że tam również posiłków analfabetom nie dają. Wobec tego interweniowali u przewodniczącego Rady Zakładowej. Z takim samym skutkiem. **Związki Zawodowe odmówiły** (podkr. moje) Podstawowa Organizacja Partyjna zreferowała sprawę w Dzielnicy, gdzie ją częściowo zaakceptowano. Jak na tak krótki okres czasu od września do stycznia lwią część dzieła dokonano: wniosek po przejściu wszystkich instancji został częściowo przyjęty..."

Wśród instytucji, które odmówiły lub zdały na inne subwencjonowanie posiłków dla kursów przy zakładach F. Dzierżyńskiego, R. Luksemburg i K. Liebknechta poza dyrekcją, Radą Narodową, Radą Zakładową wymieniono także Związki Zawodowe. Zarówno prowadzącemu kursy, jak i przeżywającemu tę akcję z zewnątrz nasuwa się konkretne pytanie: — kto i kiedyż wreszcie podejmie się pokrywania kosztów za żywienie na kursach?

O sposobach rozwiązania trzeciej z kolei trudności, o rozwiązaniach, które stwarzają najszersze i najwdzięczniejsze bodaj pole do działania wiemy aż nazbyt mało. Wiemy, że w PGR-ach akcja rozwija się w większości wypadków pomyślnie. A na wsi? Dopomóc, doradzić przez spopularyzowanie wzorów dobrych rozwiązań trudności — to sprawa bardzo pilna. Tym bardziej, że wiemy: trzeba do ostatniego dnia wykorzystać na wsi zimę, bo wiosna wyciągnie ludzi w pole!

Okólnik Ministerstwa Oświaty z października 50 r. mówi o włącze-

niu młodzieży szkolnej do współdziałania z akcją. Na wielu terenach nie wiedzą jeszcze w jaki sposób zabrać się do realizacji i tego okólnika. Okazuje się jednak, że wprowadzając go w życie można znaleźć rozwiązanie dla czwartej z kolei trudności, jaką jest objęcie nauczaniem osób, zmuszonych do przebywania w domu: matek małych dzieci, którymi nie ma się kto zaopiekować, chorych itp. Artykuł o indywidualnym nauczaniu analfabetów, zamieszczony w 5 n-rze „Głosu Nauczycielskiego" z dn. 4.II.51 podaje jeden z mało jeszcze znanych sposobów dotarcia do takich osób i rezultaty: „W Domaszewicach uczniowie V kl. szk. podstawowej, Stanisław Mojecki i Stanisława Sobaś, uczyli w ścisłym porozumieniu z nauczycielami swoje matki — zdały z wynikiem dobrym. Ob. Jadwiga Bednarska ze Skarżyska pisze: „Mnie uczy czytać i pisać córka, która chodzi do szkoły. Umiem już się podpisać, a niedługo będziemy razem czytały książki". Oczywiście, podany sposób nie wyczerpuje zapotrzebowania, może się jednak w poważny sposób do tego przyczynić. W pozostałych wypadkach kierownik kursu, u którego jest dany analfabeta zarejestrowany powinien skontaktować się z Ligą Kobiet, która wyznaczy osobę bądź do zaopiekowania się dziećmi w godzinach trwania kursu, bądź do indywidualnego nauczania. ZMP, pomimo zobowiązań, nie wnosi jeszcze takiego wkładu, jakiego można by po nim oczekiwać. Słyszy się skargi na brak współpracy kół ZMP z kursami przy łódzkich fabrykach (np. Harnama, Szymańskiego). Indywidualne nauczanie jako metoda zdaje gzamin i powinno być, za pośrednictwem młodzieży i masowych organizacji, jak najszerzej stosowane, powinno objąć tych wszystkich, którzy rzeczywiście nie mogą na kursy uczęszczać.

Sprawa ostatnia — trudności z okularami, lokalami, podręcznikami itp. Okulary — to prawie zawsze pretekst, a nie realna przeszkoda. Okularów w Polsce nie brak, trzeba się tylko o nie wystarać. Trudności lokalowe — to przypadki tak indywidualne, że trudno mówić o uniwersalnych rozwiązaniach. To samo dotyczy dostawy materiałów piśmiennych i książek. W każdym zaś z tych przypadków trudności są do rozwiązania a zasłanianie się nimi świadczy tylko o organizatorach.

Jak więc widzimy — wzrastanie instytucji opiekujących się ruchem nie zawsze jest wprost proporcjonalne do wzrostu opieki. Pewnym ludziom w pewnych instytucjach należałoby życzyć takich okularów, dzięki którym mogliby zwrócić uwagę bardziej na skutek, niż na samo działanie.

O PEŁNĄ LIKWIDACJĘ ANALFABETYZMU

W naszym ustroju powstała nowa i znamienna grupa — grupa korespondentów terenowych. Ją właśnie musimy wezwać do współpracy w akcji likwidacji analfabetyzmu. Chodzi nie tylko o to, aby korespondenci zapoznali się z programem i obowiązkami określonych instytucji i śledzili pracę kursu, konfrontowali i sygnalizowali w prasie zarówno niedociągnięcia, jak i osiągnięcia, zwłaszcza w zakresie metody. To zadanie jest bardzo aktualne, zwłaszcza, że w wielu przedsiębiorstwach budowlanych, zatrudniających robotników sezonowych nie organizowano kursów, a ponieważ ci ludzie pracowali i mieszkali poza miejscem zamieszkania, bardzo często wymykali się wszelkiemu nauczaniu. Ba — jeszcze w styczniu br. dowiadywaliśmy się z prasy, że są zakłady, w których nie sporządzono ostatecznych list analfabetów! Chodzi jednak o coś więcej — chodzi o ostateczne, bezpowrotne zniesienie analfabetyzmu. Zdarzają się często wypadki, że analfabeta, który kiedyś ukończył kurs 1-go stopnia, po paru miesiącach wraca na ten sam kurs, ponieważ boi się zapomnieć, a organizatorzy kursu nie umożliwili mu w międzyczasie dalszego ugruntowania nabytej umiejętności. Nie wszyscy jednak wracają. Nie przesadzę wcale, jeżeli stwierdzę, że co najmniej w 33 proc. grozić będzie wtórny analfabetyzm, o ile (zwłaszcza na wsiach) nie będzie iść w parze z kursami 1-go stopnia zakładanie bibliotek, o ile te biblioteki nie będą posiadały odpowiedniego — atrakcyjnego i łatwego — materiału, o ile bibliotekarz świetlicowy przy zakładach pracy nie wejdzie w kontakt i nie będzie czuwać nad każdym, kto ukończył kurs, o ile nie będą powstawać kursy II-go stopnia, tzw. „koła samokształceniowe" (dawniej „dobrego czytania"), o ile nie skontaktuje się ich następnie z Wszechnicą Radiową. Te postulaty wcale nie są trudne do zrealizowania, gdyż możemy stwierdzić z całą pewnością: analfabeta, który zdecydował się przejść przez kurs 1-go stopnia i włożył w to niejednokrotnie dużo wysiłku **chce** się dalej uczyć, chce dokładnie i pewnie przyswoić sobie umiejętność czytania i pisania.

Danuta Zabłocka-Skupieńska

Z SEKCJI PROZY Z.L.

Dyskusja nad książką Marii Jarochowskiej

REFERAT L. SOBIERAJSKIEGO

„Buraczane liście" Marii Jarochowskiej to świadectwo bolesnych pomyłek autorki i zarazem pomyślnych zapowiedzi przemian w jej twórczości. Stanowi ona kliniczny przykład utworu, gdzie splot nieporozumień jest szczególnie zawikłany tak w swoich przesłankach ideologicznych jak i w ich wyrazie artystycznym. Dlatego warto poświęcić „Buraczanym liściom" nieco więcej uwagi.

Książka składa się z dwóch szeroko zakrojonych opowiadań. Pierwsze z nich „Niemiłosierni" pochodzi z roku 1945-7, drugie — „Buraczane liście" z lat 1949-50. Odmienność tych dwóch opowiadań daje pomyślną prognozę dla ewolucji naszego pisarstwa.

Jarochowska w swoim pierwszym opowiadaniu przywołuje wspomnienia okupacyjne. Uwagę pisarską autorka koncentruje na dość egzotycznym środowisku, przedstawia mianowicie szpital w jednym z powiatowych miast na Podkarpaciu. Może to być Nowy Sącz, może Przemyśl. Miasteczko w jej opowiadaniu nazywa się Ludziska. Czas opowiadania — to rok 1940. Podkreślamy tradycyjną egzotykę tego tematu po to, aby zwrócić uwagę na pewne filiacje literackie opowiadania. Zaznaczymy je z potrzeby zebrania tych wszystkich punktów, które określiły autorce „Niemiłosiernych" jej pole widzenia, podsunęły jej rozwiązanie artystyczne.

Odnotujmy więc na początku „Zazdrość i medycynę" Choromańskiego, by określić jedną z cech naszej „awangardowej" powieści okresu międzywojennego. Znamienną dla niej była pozahistoryczność. Nie budowała ona wizji aktualnej rzeczywistości w jej istotnych konfliktach, a uciekała na peryferie procesu społecznego, w poszukiwaniu... egzotyki. Prowincja z jej dziwactwami, wynaturzeniami — to teren jej pisarskiej obserwacji.

Wyrazu „prowincja" używamy tu w metaforycznym znaczeniu. Chcemy podkreślić tematyczne zainteresowania, problematykę jednego z dekadenckich nurtów prozy międzywojennej. Chcemy zwrócić uwagę na to, że proza ta uchylała się od podstawowego konfliktu: proletariat — burżuazja; że sferą jej zainteresowań było raczej drobnomieszczaństwo, dwór obszarniczy (ale nie ten „wielkoprzemysłowy"), oglądany pod kątem jego obyczajowości a nie funkcji gospodarczej i społecznej. Na tej platformie pisarskiej znalazł się Bruno Schulz ze swoimi „Sklepami cynamonowymi" i „Sanatorium pod klepsydrą", tu mieścił się Gombrowicz ze swoim „Ferdydurke". Rzeczywistość w ich pisarstwie przełamywała się przez pryzmat groteski i ironii. Twórczość wspomnianych pisarzy wyrastała z naturalistycznej, burżuazyjnej koncepcji życia. Była pozbawiona humanistycznego stosunku do człowieka, do jego walki o lepszy świat.

Autorka „Niemiłosiernych" pragnęła dać obraz czasu historycznego, chociażby na zwężonym odcinku, pragnęła mówić o okupacji z perspektywy „prowincji". Czasy okupacji wydały jej się nieludzkie, ale przede wszystkim — absurdalne. Temat opowiadania osadza w Ludziskach, prowincjonalnym miasteczku. Czy na tym polega jednak błąd perspektywiczny książki? Nie. Pisarkę urzekła właściwie prowincja w ogóle, z jej klimatem, atmosferą, z całą galerią postaci drobnomieszczańskiego środowiska. Autorka na swój sposób pragnie temu właśnie światu „oddać sprawiedliwość" — zamknąć go w wyczerpującym obrazie literackim, wycyzelować jego bohaterów. Różni się od Gombrowicza i Schulza pragnieniem obiektywnego spojrzenia na płaskich ludzi o ograniczonych zainteresowaniach, drobnych pasjach, nawykach i ambicjach. Jest więc i drobny realizm Boguszewskiej, czy Gojawiczyńskiej w „wymierzaniu sprawiedliwości" drobnomieszczaństwu. Ale jest i znacznie coś gorszego. Jest naturalizm nawet nie tyle w rodzaju Zoli, który burżuazyjną rzeczywistość przypalał gorącym żelazem, że „swąd" z tego szedł na czytelnika, ale swąd, jak mówi krytyk z lat osiemdziesiątych zeszłego wieku — Sygietyński, nie był winą narzędza, lecz przypalanego, gnijącego ciała kapitalistycznego społeczeństwa. W beznamiętnej postawie Jarochowskiej w „Niemiłosiernych" czujemy zimny, artystowski obiektywizm typu braci Goncourtów, którzy mieli zainteresowania dla świata służących, sióstr zakonnych, personelu szpitalnego, domów publicznych, ale właśnie, jako przedmiotu interesujących obserwacji. Cały ich powieściowy świat nie był odniesiony do stosunków społecznych, był ciekawy dla jego cech bio-psychicznych.

Czy właśnie nie te tradycje literackie wpłynęły na skrzywienie „Niemiłosiernych"? Autorka chciała mówić o okupacji, ale cóż ją pociągało? Pociągała ją chęć stworzenia powieści środowiskowej, środowiskowej w bardzo wąskim tego słowa znaczeniu.

Przypatrzmy się teraz, jak Jarochowska konstruuje obraz prowincji, nie zapominając przy tym, że mówi o rzeczywistości historycznej — o okupacji, o jej pierwszym okresie.

Jarochowską zainteresowali ludzie umieszczeni w dość hermetycznych warunkach — w szpitalu prowincjonalnego miasta. Wciąga ona na karty książki dziesiątki postaci: sióstr zakonnych, posługaczek, personelu lekarskiego, wreszcie pacjentów. Z książki wynika, że uwiódł ją podwójny zamiar: oddać klimat tego środowiska, pokazać jego bohaterów w tym, co przynoszą oni z zewnątrz i w tym, co już w nich jest produktem życia szpitalnego.

Przypatrzmy się więc, jak Jarochowska „stawia" postaci, o jakich ludziach mówi i jaką wiedzę nam o nich przekazuje. „Sama postać przełożonej była imponująca. Wzrost olbrzymki powiększał jeszcze olbrzymi kornet. Rozmiar stóp, na których przesuwała się po korytarzach... musiał wprawiać w kłopot ekspedientki miejscowych sklepów

Foto Sławny
Maria Jarochowska

z obuwiem. Jej atletyczne, barczyste plecy parły w sposób widoczny na szwy habitu, tego stroju, jaki noszą siostry miłosierdzia, o dziwnym, wciętym w pasie staro-dawnym kroju, o rękawach rozszerzających się niby dzwon od łokcia ku dłoni. Rysy jej twarzy robiły wrażenie czegoś prowizorycznego, jakby jeszcze do końca nie wyciosane, kanciaste i wymagające ostatecznego modelunku. Ale żywy blask lśnił w oczach tak niewielkich, iż chętniej nazwałoby się je oczkami. A czarne punkty wągrów między brwiami, nad nozdrzami, w zagłębieniach brody świadczyły, że kształt tego oblicza jest ustalony zdecydowanie w tej właśnie formie. Konserwowała je warstewka połyskliwego tłuszczu, wydzielana przez łojotoki skóry".

Do tego naturalistycznego portretu autorka dodaje kilka cech wewnętrznych, indywidualizujących postać od „strony psychologicznej", by później „sprzątnąć" tę postać sprzed oczu czytelnika, a dać miejsce następnemu portretowi.

Takie „portrety" ciągną się przez dwieście prawie stron książki, która miała być nowelą, a wyrosła — jak wyznaje autorka — na powieść. Czytelnik ogląda od „strony prywatnej" zespół lekarzy: d-ra Cajdę, Ludwikowskiego, Milczarka. Rozpatrywani oni są jako indywidualności, ale mają również w jakiś sposób reprezentować drobnomieszczańską inteligencję. Autorka pokazuje nam również handlowy „patrycjat" małych miasteczek — kapitalistyczny produkt prowincji, zmieniający się w drugim roku okupacji w bandę spekulantów-kolaboracjonistów. I to jest chyba najlepsza partia „Niemiłosiernych". Tu po raz pierwszy zadrgało klasowe pióro Jarochowskiej. Nad całością opowiadania zaciążyła maniera „wydobywania" egzotycznej atmosfery środowiska szpitalnego w duchu „choromańszczyzny".

Przy konstruowaniu postaci zaciążyła i maniera Schulza z jego „techniką" wydobywania oryginalnych, zaskakujących cech w kreowanych przez siebie „bohaterach". Jarochowska idzie o krok dalej, „obiektywizuje" swoje postacie, ale jest to tylko obiektywizm kolekcjonera.

Z lokaja Orłowskiego autorka robi viveura, przeżywającego rozkosze „cichych wtajemniczeń" w życie feudalno - burżuazyjnego świata, przeżywającego rozkosze pańskiego żywota przez „wiedzenie". Tak samo rozwiązuje autorka postać prostytutki Fifi, Szyi Nenbenzahla, Wasyla, sióstr zakonnych, personelu, pacjentów szpitalnych. Wyrasta przed naszymi oczami jakieś panopticum ludzkie, obraz ludzi spoza czasu historycznego, ludzi — wiązek cech psychicznych.

W zakończeniu opowiadania Jarochowska mówi:

„Dziś, gdy dotarłam do ostatniej z tych stronic, naraz dzieje tak bardzo mi przez tyle lat bliskie, w jednej sekundzie stają się obce. Obce, miałkie i jakież odległe od mych wspomnień, od opowiadań, od podsłuchanych rozmów, od dociekań, od rozważań dni minionych, od nagłych olśnień prawdy, a więc tego wszystkiego, czym były, nim oblekły się w kształt rzuconych na papier". (str. 212).

A więc autorka odczuwa świat przez siebie wymodelowanych ludzi jako „obcy i miałki". Pytamy się, dlaczego taki właśnie świat stworzyła?

Tu wyrasta problem postawy pisarskiej, funkcji „pięknej sztuki pisania". Autorka w swym wcześniejszym opowiadaniu zeszła na peryferie historycznej rzeczywistości. Nie przezwyciężyła tej postawy, która charakteryzowała naszą międzywojenną powieść spod znaku Choromańskich, Schulzów i Gombrowiczów. O pielęgniarce Ferdynandzie, która całą swoją ambicję życiową ulokowała w miłości do ograniczonego, płaskiego, tępego tchórza d-ra Cajdy — nic więcej ponad to, co powiedziała Jarochowska, nie można było powiedzieć. Klęska pisarki polega tu na tym, że pochyla się czule nad ludźmi i sprawami, które nie warte były wysiłku, nie były warte, by dawać im literackie życie.

Autorka nie zsolidaryzowała się z przedstawionym środowiskiem. Na najsympatyczniejszą ze swych postaci — d-ra Ludwikowskiego patrzy ostro, kpi sobie z jego liberalizmu mieszczańskiego, ironizuje tego małomiasteczkowego „króla życia" — z Ludzisk.

Konieczne było odcięcie się od przedstawionego świata, jeżeli już ten właśnie drobnomieszczański, płaski światek chciało się pokazać. Ale z dobrodziejstwem tematu Jarochowska wzięła od burżuazyjnych ironistów i kpiarzy sposoby odmalowywania świata.

„Niemiłosierni" skłaniają do zastanowienia się, jakie niebezpieczeństwa płyną z przyjęcia konwencji literackiej, gdy się niedostatecznie przemyślało, czyjej ideologii ona służy. Gdy zgodzimy się na te wnioski, będziemy musieli odrzucić obronę autorki, sformułowaną w słowach zamykających „Niemiłosiernych". Autorka nie ma słuszności, gdy mówi:

„A jeśli ktoś uzna je (kartki „Niemiłosiernych") za zbyt ponure, za zbyt gorzkie i odarte z nadziei, niech wspomni, że entuzjazm nie zawsze rodzi się z radości. Gdyż niektórzy w siłę ludzkości mogą uwierzyć wtedy, gdy poznają słabość człowieka" (str. 213).

Myli się autorka i jako pisarz i jako człowiek walczący o nowy ład społeczny. Bo przecież stwierdziła, że świat przez nią stworzony stał się „obcy i miałki". Jarochowska jako autorka „Buraczanych liści" sama zrozumiała, że lepiej pomaga towarzyszom obrazem ich walki, niż wizją rozkładającego się świata. Jarochowska — człowiek nowej rzeczywistości — wie, że pisarstwo nie jest aktem samooczyszczenia (bo taki mandat literaci otrzymali od burżuazji), ale jest uczestnictwem w walce tych, którzy świat przemieniają na lepszy.

Jarochowska do pisania „Buraczanych liści" przystąpiła już z innym kapitałem ideologicznym, bez fałszywego przekonania, że „uwierzyć w siłę ludzkości można dopiero wtedy, gdy się pozna słabość człowieka". U podstaw jej nowego pisarstwa leży przesłanka, że motorem ludzkiego postępu jest walka uciemiężonych z ciemiężycielami. I dlatego autorka pewną ręką zarysowała konflikt. I dlatego jej opowiadanie ma dynamiczną akcję, ma ostro, wypukle zarysowane postacie. W „Buraczanych liściach" są inne narzędzia, inny warsztat, bo Jarochowska i jako pisarz ideologicznie dojrzała, i to uwarunkowało jej nową postawę pisarską.

W „Buraczanych liściach" nie mamy już jedynie popisu pisarskiej wirtuozerii, bo autorka ma coś do powiedzenia. Dostrzeżona przez nią prawda o walce proletaryzowanego chłopstwa przybiera w opowiadaniu przekonywający kształt artystyczny. Pokazani są w tej książce drobnorolni chłopi, pokazana służba folwarczna w starciu z obszarnictwem. Walczącym z wyzyskiem burżuazyjnym masom chłopskim — autorka spłaciła się tu pełną ręką dlatego, że dojrzała podstawowy konflikt lat przedwojennych.

I w tym opowiadaniu uderza niezwykle cenna dla pisarza umiejętność trafnego portretowania postaci, ale jakżeż inną funkcję tutaj spełnia. Przypatrzmy się świetnie zarysowanym sylwetkom dziewczyny kuchennej Helki, Władka, syna kucharki, czy fornala Słupka, przypatrzmy się znakomicie skreślonym postaciom dziedziczki i dziedzica— państwa Karskich, czy też przyjeżdżającego z policją dla spacyfikowania strajku starosty, a spostrzeżemy łatwo, jak wielkiej przemianie uległ warsztat pisarski Jarochowskiej właśnie dzięki poszerzeniu jej spojrzenia na świat o perspektywy ideowe, których brakowało w „Niemiłosiernych". Weźmy postać lokaja Piotra, bliźniaczo podobną do Orłowskiego z „Niemiłosiernych" a przy tym jakże inną. Orłowskiego autorka czyni obiektem taniej litości. Piotr jest już tylko nędznym łajdakiem i konfidentem policji.

Gorące uczucia pisarki zyskują postacie ludzi skrzywdzonych i walczących. Sceny takie jak sobotnia wypłata dworskiej dniówki w Modrzewiu, jak „Protokół" z zebrania związku ziemian w sprawie akcji ziemniaczanej, czy też przyjazd sanacyjnego starosty z policją na pacyfikację, w czasie której właściciele majątku rozgrywają w najlepsze partię brydża — utrwalają się na długo w pamięci czytelnika.

I w „Buraczanych liściach" Jarochowska nie całkiem jeszcze wyzwoliła się z pewnych skłonności do wyrafinowania formalnego. Wyrobiony czytelnik zrozumie grę kilku naświetleń przedstawionych wypadków. Zrozumie funkcję próbek powieściowych obszarniczki Karskiej. Ze zrozumieniem odczyta on te literackie próbki jako najzdradliwsze oskarżenie klasy panującej. Wytrawny czytelnik będzie podziwiał chwyt kontrastu, czy literackiego kontrapunktu, jeżeli to tak można nazwać. Natomiast obawiam się, że jeżeliby chodziło o czytelnika ze świetlic robotniczych i chłopskich, to wyrafinowanie konstrukcyjne utrudni mu nieco percepcję dzieła. Czy to pokrywa się z żądaniem uproszczonej formy? Nic podobnego. Właśnie trudniejszej, bo pozbawionej ułatwień. A to wszystko, co do swojego warsztatu autorka wprowadziła, należy niewątpliwie do technicznej sztukaterii, pozwalającej na skróty, na aluzje, na niedomówienia. Niezależnie od tych usterek podkreślić jednak należy raz jeszcze, że wnikliwość rysunku psychologicznego, plastyka postaci i sytuacji odmalowanych w „Buraczanych liściach" czyni z nich jedną z najcelniejszych artystycznie opowiadań, jakie ostatnio czytaliśmy.

Dla całości oceny książki należy stwierdzić, że słowo wstępne J. A. Szczepańskiego — jest kompletnym nieporozumieniem, które utrudnia czytelnikowi właściwe ustosunkowanie się do pełnego pomyłek, ale również pomyślnych zapowiedzi, tomu Marii Jarochowskiej.

NIEKTÓRE WYPOWIEDZI DYSKUSYJNE

JERZY PUTRAMENT

Nie zgodziłbym się z rodowodem, który kol. Sobierajski usiłował dać książce Jarochowskiej. Mnie się wydaje, że książka ta nie wywodzi się z twórczości takich autorów, jak Schulz, czy Gombrowicz. Inaczej określiłbym tradycje tego rodzaju prozy. W drugiej połowie okresu międzywojennego, a zwłaszcza w jego ostatniej ćwierci, powieści, które można by nazwać środowiskowymi, to były Worcela „Zaklęte rewiry", czy Ukniewskiej „Strachy" i cały szereg innych. Co było charakterystyczne dla tego typu powieści? To były powieści, które w przeciwieństwie do Gombrowicza i w przeciwieństwie do Schulza — nie miały za zadanie deformowania, powiedzmy — fundamentalnego deformowania rzeczywistości, to nie były powieści formalistyczne. Powieść środowiskowa była swoistym surogatem powieści realistycznej.

„Zaklęte rewiry" Worcela przedstawiają środowisko kelnerów z ukazaniem pewnych sprzeczności klasowych w tym środowisku, buntu społecznego, wprawdzie łagodnego, ale buntu. W jakim celu? W celu zatarcia istotnej linii walki, która toczyła się w ówczesnym społeczeństwie, w celu przesłonięcia istotnej nędzy.

Wydaje mi się, że tego rodzaju środowisko jest bliższe „Niemiłosiernym". W książce jest wprawdzie jakieś udziwnienie, udziwnienie aż do załamania szablonu realistycznego, który w naszej klasycznej powieści egzystował. Jarochowska też „udziwnia" postaci, ale na drodze doprowadzenia do absurdu. Innymi słowy: nie formalistyczna powieść okresu międzywojennego jest rodowodem powieści Jarochowskiej, a po prostu powieść Jarochowskiej jest klasycznym przykładem zjawiska, które się nazywa naturalizmem. To znaczy wierne w szczegółach, czasami przesadzone i nie dające obrazu rzeczywistości, dające obrazy wypaczone, odpychające, obrzydliwe chwilami i chwilami mające zacięcie satyryczne.

„Buraczane liście" zasługują natomiast na dokładniejszą analizę. Istotne jest, że autorka umiała pokazać — choć we fragmentaryczny sposób — ostrość ucisku kapitalistycznego na wsi polskiej, tej specjalnej formy ucisku naszego obszarnictwa przedwojennego, kapitalistycznego i feudalnego zarazem.

MELANIA KIERCZYŃSKA

Pierwszym utworem Jarochowskiej, który przeczytałam, była mała książeczka p.t. „Ludzie, którym nie stawia się pomników" (o przodownikach pracy). Książeczka ta zbudziła we mnie ciepły sentyment dla autorki. Kiedy teraz przeczytałam „Niemiłosiernych" — nie umiałam powiązać tych dwóch postaci: autorki tamtej książeczki i autorki „Niemiłosiernych".

Sądzę, że kol. Sobierajski w referacie swoim niesłusznie pewne cechy „Niemiłosiernych" tłumaczy, chce warsztatem pisarskim, inspiracjami literackimi z Schulzem, Gombrowiczem itd. Warsztat pisarski jest rzeczą wtórną, nie pierwotną, mającą korzenie w pozaliterackich zjawiskach, u podstaw literackich filiacji leży zawsze pewna wspólnota autorskiej postawy.

To co w „Niemiłosiernych" jest najbardziej obce i przykre, to właśnie ahumanistyczna postawa autorki w tym opowiadaniu. Nie zgadzam się z referentem, że autorka nie mogła nic więcej powiedzieć o ludziach tego środowiska. Nie wszystkie środowiska czy postaci, które mogłyby być potraktowane tak czy inaczej, zależnie od tego, co w nich autor dostrzega. Jeśli ktoś widzi godzi pracy — ciężkiej pracy fizycznej, ludzi społecznie upośledzonych, wyłącznie od strony jakichś ich anomalii, nagromadzenia wynaturzeń fizycznych czy psychicznych, nie dostrzegając w nich na ogół człowieka ludzkich, nie próbując nawet odsłonić przyczyn, które te wynaturzenia zrodziły — jest to sprawa nie opisywanego środowiska, ale autorskiego spojrzenia. Jeśli możemy mówić o pewnej satyrze społecznej w traktowaniu zakonnic, w traktowaniu posługaczek szpitalnych — które u Jarochowskiej są jeszcze daleko przeraźliwszym konglomeratem wynaturzeń, niż u konnice, nie ma, rzecz jasna, satyry, lecz tylko naturalistyczna pasja. W książce tej są wybitnie aspołeczne rozmieszczenia akcentów: tam gdzie oczekiwalibyśmy pewnego ciepła, pewnego nasycenia postaci pierwiastkiem ludzkimi, tam tego jest najmniej.

A teraz: czy jest to powieść środowiskowa? Worcel w „Zaklętych rewirach" nie umiał wprawdzie ukazać pracy kelnerów na tło szerszych spraw, ale ich tak nie odczłowieczył, jak to uczyniła Jarochowska z większością bohaterów swoich opowiadania. Możemy nazwać powieść powieścią środowiskową tedy, kiedy daje charakterystyczny obraz środowiska, nie umiejąc tylko poradzić z powiązaniem spraw tego środowiska ze sprawami szerszymi. W „Niemiłosiernych" obraz środowiska jest zbyt skrzywiony na to, by mógł być charakterystyczny. Rzecz dzieje się przecież podczas okupacji — ten „biazg" nie znalazł w opowiadaniu niemal żadnego oddźwięku, i to świadczy przeciwko realistycznemu — albo węziej — środowiskowemu charakterowi opowiadania.

„Buraczane liście" są pozycją całkowicie odmienną. Ich najdziej wartościowym jądrem jest skonała scena brutalnego zgnicia fornalskiego strajku. Nie ma wcale cechującej poprzednie prawiadanie dehumanizacji w traktowaniu przedmiotu, przeciwnie, pasja społeczna i szereg realistycznie trafnych i mocnych momentów.

LUCJAN RUDNICKI

Chciałbym podkreślić walory językowe opowiadań Jarochowskiej. Jest to książka napisana doskonałym stylem. Jarochowska chciała przedstawić w sposób jaskrawy zgniliznę świata kapitalistycznego, pokazać jak wyglądała pewna część społeczeństwa ulegająca całkowicie rozkładowi moralnemu podczas hitlerowskiej okupacji. Gdyby pisarka tej zgniliźnie przedstawiła jednocześnie nurt pozytywny, który temu rozkładowi przeciwstawiał dążenie ku nowemu, całość wyglądałaby inaczej. Główny błąd książki to brak określonej postawy autorskiej i wynikająca stąd obiektywnie fałszywa ideologia utworu.

TEOFIL WOJEŃSKI

Zdaje się, że nie miał racji referent, że „Niemiłosierni" są twórczością Gombrowicza, Schulza czy Choromańskiego, a nie z powieścią środowiskową. Uważam, że „Zaklęte rewiry" są mniej szkodliwe niż „Niemiłosierni" — dlatego, że w „Niemiłosiernych" deformacja człowieka występuje w daleko większym stopniu niż w tamtej powieści. Ta deformacja polega na tym, że tu autorka przedstawia człowieka tylko od strony ujemnej. Referent wspomniał, o ile mi się zdaje, o wpływie Kadena, nie zechciał jednak powiedzieć, czy odbiło się to na „Niemiłosiernych". W tej deformacji człowieka tkwi największa siła „Niemiłosiernych". Książka pokazuje same łajdactwa i sugeruje, że musimy wszelkie łajdactwa rozgrzeszać. Nie uważam bynajmniej, że takie były tendencje autorki — chodzi o to, że wszelkiego ujęcia tematu taką obiektywna treść ideologiczna książki. Ta powieść nie jest realistyczną powieścią. Powołam się tu na

(Dokończenie na str. 10)

DYSKUSJA O CZYTELNICTWIE

Bibliotekarz jest wychowawcą

W ZWIĄZKU z korespondencją, która ukazała się w 47 numerze „Nowej Kultury" pt. „Bibliotekarz oświatowy prosi o głos" pragnąłbym zabrać głos w dyskusji, która się prawdopodobnie pod wpływem w-w artykułu wywiąże.

Idąc śladami ob. Łączyńskiej muszę się również wylegitymować — jestem związkowym pracownikiem kulturalno-oświatowym, w zakresie moich zainteresowań służbowych (a osobistych) wchodzi praca biblioteczno-czytelnicza.

Piszę „biblioteczno-czytelnicza", ponieważ dwa te zagadnienia nie dadzą się rozdzielić—zagadnienie biblioteki jako zbioru książek przeznaczonego dla najszerszych mas społeczeństwa i zagadnienie czytelnictwa, co znaczy: kto czyta, co czyta i co my (pracownicy oświatowi) robimy na ustawienia tych problemów na właściwych torach.

Wydaje mi się, że ob. Łączyńska bagatelizowała zasadnicze zagadnienie — polityczno-wychowawczą funkcję książki. Tylko tym mogę sobie wytłumaczyć przebijające we wspomnianym artykule życzenie zapokojenia wszystkich gustów czytelnika.

Dlaczego? Czyżby nieprawdą było, że większość czytelników ma pewne zdecydowane „gusta"?

To jest prawdą. I to prawdą o tyle smutną, że w znacznym procencie wypadków upodobania czytelnika są wypaczone, jego smak jest zdeprawowany — odnosi się to specjalnie do starszego pokolenia. Jest to prawda tym smutniejsza, że znaczna część naszych pracowników biblioteczno - czytelniczych nie może lub nie chce zdać sobie z tego faktu sprawy i nastawia się na zwykłą usługowość.

Przyczyny wypaczenia gustów czytelnika są proste. W interesie klasowym burżuazji leżało odwracanie uwagi klasy robotniczej od toczącej się walki z nieludzkim wyzyskiem i uciskiem, z rządami nędzy i terroru, leżało stworzenie pewnego rodzaju upustu dla kłębiących się pragnień, ukazanie mglistych możliwości „kariery" w ramach ustroju kapitalistycznego.

Książka ta, która docierała do robotnika, miała go ogłupiać i demoralizować klasowo. Stąd nawał książek o bzdurnej tematyce fantastycznej, rewolwerowych „Mordgeschichte", a wreszcie różnych Courts-Mahler i Mniszkówien, nie mówiąc już o literaturze pornograficznej. Stąd prawie całkowity brak książek o tematyce robotniczej, przedstawiających realistycznie byt i walkę klasy robotniczej, książek pisanych dla robotnika, wyrażających jego myśli i dążenia, będących słusznym klasowo drogowskazem postępowania. I skądżeby mogły ukazać się takie książki legalnie na rynku księgarskim, w bibliotece czy też czytelni Polski przedwrześniowej, Polski obszarników i kapitalistów? Wyraźnie klasowy charakter literatury można udowodnić na najbardziej popularnym przykładzie — na Sienkiewiczu. Pomijając doskonałość sienkiewiczowskiej narracji — przecież takie „Ogniem i mieczem" to klasyczny przykład fałszowania historii, nagинania faktów historycznych stosownie do interesów klasy posiadającej (szlachty — ziemiaństwa), apoteozowania postaci, które na kartach naszej historii zapisały się czarnymi, a może raczej krwawo-czerwonymi zgłoskami, zacierania istotnej walki klasowej i stawiania w jej miejsce mitu „obrony zachodniej kultury i cywilizacji". Jednym słowem — Głos Ameryki. I ten właśnie Sienkiewicz jest u ob. Łączyńskiej „górą". Chciałbym przypuszczać, że idzie tu raczej o sienkiewiczowskie nowele, o „Janka Muzykanta" czy „Michałka".

Czasy się zmieniły. I jeśli stwierdziliśmy, że literatura służy z reguły interesom klasy rządzącej, to musimy wyciągnąć z tego logiczny wniosek: współczesna literatura, biblioteki, cała praca na odcinku czytelniczym muszą służyć interesom klasy robotniczej, muszą realizować jej cele ideologiczne.

Niestety, czytając artykuł ob. Łączyńskiej odczuwa się coś wręcz przeciwnego. Oparłszy się o burżuazyjne reguły psychologiczne dochodzi ona do wniosku, że klasa robotnicza potrzebuje przede wszystkim książki zaspokajającej głód wyobraźni, pozwalającej uciec od codzienności (ach, jakżeż szara jest ta codzienność drugiego roku Planu 6-letniego!), umożliwiającej „zaczerpnięcie powietrza na innej płaszczyźnie".

Ta „inna płaszczyzna" zmusza do poważniejszego zastanowienia. „Inna" to znaczy jaka? Szukajmy daleko — no tak, jesteśmy w domu i to tak zwanym „dobrym domu" — „środowisku burżujów-bogaczy, szlacheckiego domu, pałacu, salonu lub królewskiego dworu z pompą i ceremoniałem..." — to, co ob. Łączyńska nazywa „egzotyką środowiska".

Prościuteńko do Mniszkówny, czy innej Vicki Baum. Czy to jest potrzebne klasie robotniczej?

Przypuszczam, że te wywody zaaprobowałby każdy przedwojenny dygnitarz „od oświaty". Dlaczego? Dlatego, że o ile burżuazja przez lata pracowała nad wypaczeniem gustów robotnika, wtykając mu do ręki szmiry, o tyle dziś ob. Łączyńska widząc niezaprzeczalne skutki tej zbrodniczej pracy dorabia oto teoretyczny wywodzik na temat „psychologicznie uzasadnionych" potrzeb klasy robotniczej.

Nastawienie pracy bibliotecznej na prostą usługowość, na zaspokajanie wszelkich gustów i upodobań czytelnika musi logicznie doprowadzić do takich wniosków.

A nasze zadanie jest inne. Nasze zadanie to walka o zmianę świadomości społecznej poprzez odpowiednio dobraną, odpowiednio skomentowaną książkę. Nasze zadanie to walka z upodobaniem do szmiry, ohydną spuścizną „kultury" kapitalistycznej, to popularyzacja wielkich pozycyj literatury światowej, otwieranie przed klasą robotniczą drzwi wiodących do dorobku kulturalnego myśli postępowej.

Ob. Łączyńska ma rację — różne są upodobania czytelnika. Zadanie, jakie spełniać będzie biblioteka zależy od umiejętności podania książki, z jednej strony odpowiadającej jego wymaganiom, z drugiej zaś spełniającej właściwą funkcję społeczną. Czy np. czytelnikowi „polującemu" na sensację, czytelnikowi o smaku częściowo wypaczonym różnymi „dziełami" Wallace'a itp. nie można i nie należy podać Łagina „Patent AV" czy innej tego rodzaju książki? Czy nie mamy książek historycznych oświetlających w sposób przystępny i interesujący właściwe, klasowe oblicze dziejów? Czy zamiast burżuazyjnej „egzotyki", „historii o Murzynach, Zulusach, polowaniach na słonie..." — jak mówi ob. Łączyńska — nie możemy i nie powinniśmy podać czytelnikowi takiej książki jak „Chiny bez maski" Kischa, czy „Paschale" Kalinczenki? Ze wspomnianymi „historiami o Murzynach" należałoby się rozprawić specjalnie — na marginesie powyższego. Wszyscy wiemy jaki jest polityczny sens tych niewinnych „egzotycznych" powieści, produkowanych masowo przed 1939 rokiem na użytek młodzieży. Głupi, ciemny, złośliwy Negr i mądry, nieustraszony Biały Człowiek, niosący w dżungle Afryki światło cywilizacji — oto w błyskawicznym ujęciu przeciętna „powieść egzotyczna". Nawoływaniom ob. Łączyńskiej na temat „gdzież się to wszystko podziało" dodaje pewnej pikanterii fakt, że 47 numer „Nowej Kultury" ukazał się akurat na trzy dni przed Dniem Solidarności z Młodzieżą Krajów Kolonialnych.

Nie, książek o Murzynach i Zulusach, takich jakimi kiedyś nas karmiono, nie będziemy dziś, w okresie walki narodów kolonialnych o wyzwolenie narodowe i społeczne, podawać polskiemu czytelnikowi!

Następny problem — „egzotyka środowiska". I znów pytania — czy poczytność książek typu Curwooda czy Vicki Baum nie jest dowodem słabej pracy na odcinku czytelniczym? Czy nie należy zachęcić czytelnika do zapoznania się z „egzotycznym" środowiskiem wielkich kapitalistów, rekinów bussinesu, tak doskonale oświetlonym np. przez Sinclaira (Nafta) czy innych postępowych pisarzy? Czy będziemy pokazywać polskiemu robotnikowi świetlaną postać „panienki z białego dworku", czy też ukażemy mu zgniliznę ziemiaństwa w powieści Jarochowskiej?

Odpowiedzi na te pytania zależne są od założenia — jaką ma być funkcja biblioteki. Wydaje mi się, że zostanie mi wybaczone, jeśli znów powtórzę, że w drugim roku Planu 6-letniego biblioteka spełniać musi zadanie wyraźnie społeczno-polityczne, że jest ważnym odcinkiem rewolucji kulturalnej, że winna rozszerzać i umacniać światopogląd, mobilizować masy, walczyć z obskurantyzmem i ciemnotą — smętnymi pozostałościami okresu kapitalistycznego.

I tu dochodzimy do olbrzymiego zagadnienia popularyzacji. Nie będę zajmował się oddzielnym zupełnie problemem czytelnika początkującego, biorącego do ręki być może pierwszą w swym życiu książkę. Idzie mi o tych czytelników, dla których książka jest czymś bliskim, którzy jednak z wymienionych wyżej przyczyn obracali się dotychczas w kręgu literatury mniej lub więcej bezwartościowej.

Pragnąłbym stwierdzić, że wbrew zdaniu ob. Łączyńskiej dużym zainteresowaniem wśród robotników cieszą się książki współczesnych pisarzy. Tak np. miałem kiedyś sposobność obserwować, jak grupa robotników z cukrownictwa podawała sobie „z ręki do ręki" książkę Kowalewskiego „Kampania znaczy walka". Jest to zresztą zupełnie zrozumiałe. Książka omawiająca to, co się samemu przeżywa, odzwierciedlająca problemy nurtujące czytelnika, będąca wyrazicielem jego myśli i odczuć, kroniką jego codziennych walk, trudności i zwycięstw — „bierze". Książka taka równocześnie stosunkowo łatwo oddziaływuje, uwypuklając pewne momenty czy odczucia przeżywane przecież niejednokrotnie przez czytelnika, wyprowadzając z losów bohatera pewne logiczne wnioski, aktualne również dla czytelnika, o którym i dla którego jest napisana. I znów pytanie — jak tego rodzaju pozycje literackie, jak w ogóle książkę wartościową do czytelnika doprowadzić?

Sposobów i metod jest wiele. Nie będę mówił o podstawowym czynniku jakim jest bezpośredni kontakt bibliotekarza z czytelnikiem — porada biblioteczna. Poza tym zasadniczym sposobem mamy takie metody oddziaływania jak np. propaganda wzrokowa. Nie suche hasła „przez książkę do wiedzy" itp. — to nie „chwyta" — plansza, oto pole olbrzymich możliwości!

Plansza biblioteczna musi odpowiadać kilku warunkom. Przede wszystkim winna przyciągać uwagę swym interesującym i estetycznym wyglądem. Następnie musi być odpowiedzią na pytanie „jaką dziś wziąć książkę?". Plansze należy opracowywać wg zagadnień, wg podziału na pewne zasadnicze grupy upodobań czytelniczych.

Tak np. możemy wywiesić planszę z napisem: „Interesuje Cię życie w USA? Przeczytaj..." a poniżej okładki kolorowe z książek Fasta, Hemmingwaya, Sinclaira i innych. Względnie: „Szukasz sensacji? A czy czytałeś już..." i tu pozycje autorów radzieckich łączących mistrzowsko sensacyjną fabułę z wychowawczym sensem.

Możliwości na tym odcinku są bardzo duże i przy właściwym wykorzystaniu dają dobre rezultaty.

Drugim sposobem jest wystawa książek. Wystawy także można urządzać okolicznościowo, dostosowując tematykę wystawionych dzieł do aktualnej daty, rocznicy itp. Czytelnik musi mieć dostęp do książki, możność obejrzenia jej, przerzucenia kartek, pobieżnego zapoznania się z treścią. To pobudza zainteresowanie książką, wzmaga natychmiast jej poczytność.

Ponadto należy zastosować w bibliotece katalogi okładkowe, a raczej okładkowo-recenzyjne. Robi się je z kolorowych okładek, które pozostają po oprawieniu książki jako rzecz zbyteczna, a zszyte z naklejonymi na odwrocie krótkimi streszczeniami - recenzjami oddają bibliotekarzowi duże usługi, interesując mało wyrobionego czytelnika bardziej niż normalny, suchy katalog, w którym niejednokrotnie nie może się on zorientować.

Wspomnę jeszcze o katalogach zagadnieniowych, których brak w większości naszych bibliotek, a które ułatwiają czytelnikowi wybór książki, odpowiadającej jego zainteresowaniom.

A teraz wyjdźmy trochę poza ramy szablonowej działalności bibliotekarza, zwłaszcza jeśli nazywa on się bibliotekarzem oświatowym i zorganizujmy wieczór „Spotkanie bibliotekarza z czytelnikami". Co czytelnicy chcieliby znaleźć w bibliotece? Jakie proponowaliby zmiany? Jakie dzieła im najbardziej odpowiadają?

Udzielając wyjaśnień będziemy równocześnie zwracali uwagę na książki odpowiadające zainteresowaniom, a dotychczas mało czytane. W wyniku takiego spotkania pogłębimy swą znajomość czytelnika, a tym samym będziemy mogli ulepszyć swą pracę.

Należałoby również, aby bibliotekarz nawiązał ścisły kontakt z miejscowym Domem Kultury, z istniejącymi w terenie świetlicami.

Trzeba prowadzić narady z kierownikami świetlic, dążąc do wprowadzenia w pracy świetlicowej na zakładach zagadnień popularyzacji czytelnictwa. Bibliotekarz oświatowy winien roztoczyć opiekę nad nieetatowymi bibilotekarzami zakładowymi, służyć im radą i pomocą i odwrotnie — uczyć się na podstawie ich doświadczeń.

Z konieczności operuję skrótami, raczej tylko szkicując problemy. Wydaje mi się nie ulegać kwestii, że należą one — specjalnie dziś, w dobie rewolucji kulturalnej — do niezwykle ważnych i warto byłoby rozszerzyć i pogłębić dyskusję na tematy biblioteczno - czytelnicze, które dotychczas wobec wagi zagadnień twórczości literackiej traktowane były nieco marginesowo. Ta „marginesowość" jest o tyle niewłaściwa, że nawet najlepsze dzieło literackie, o ile nie doprowadzimy go do czytelnika nie spełni swej funkcji artystycznej i społecznej.

Na zakończenie podaję do wiadomości ob. Łączyńskiej, że ukazuje się regularnie miesięcznik „Poradnik bibliotekarza" oraz wydawnictwo „Czytelnika" — „Dobra książka" podające recenzje i streszczenia wartościowych pozycji literackich.

Jan Kowalski
Jelenia Góra

HARRY POLLIT
Autobiografia
str. 278 zł 8,50
*
JEAN FREVILLE
Spotkanie z Thorezem
str. 109 zł 4,—
„CZYTELNIK"
Do nabycia we wszystkich księgarniach
„DOMU KSIĄŻKI"

Z TYGODNIA

W dniu 19 marca rozpoczął swoje obrady III Krajowy Zjazd Związku Nauczycielstwa Polskiego. Zjazd zaszczycił swoją obecnością Prezydent Rzeczypospolitej. Prezydent Bierut wygłosił na Zjeździe przemówienie, w którym nakreślił obraz wielkich i odpowiedzialnych zadań stojących przed nauczycielstwem, jego odpowiedzialność za patriotyczną postawę młodego pokolenia.

* * *

W dniach 17 i 18 marca odbyło się w salach Zachęty rozszerzone plenum Zarządu Głównego Związku polskich Artystów Plastyków. Plenum poświęcone było omówieniu aktualnych zagadnień twórczych w oparciu o wnioski z dwóch dotychczasowych wystaw ogólnopolskich oraz zagadnieniom organizacyjnym. Referat ideowo-programowy wygłosił Włodzimierz Zakrzewski, referat dotyczący spraw organizacyjnych — sekretarz generalny ZPAP — Leon Michalski. W ożywionej dyskusji nad obu referatami poruszono przede wszystkim sprawę jak najbardziej czynnego udziału plastyków w walce o pokój i plan 6-letni, ścisłego i szerokiego powiązania z nowym odbiorcą, szkolenia kadr, usprawnienia i ożywienia prac poszczególnych sekcji, stworzenia bazy materialnej i organizacyjnej dla realizacji projektowanych prac. Na zakończenie plenum uchwaliło rezolucję ideowo-polityczną oraz rezolucję w sprawie rozwoju twórczości, które stanowić będą dalsze wytyczne w pracy.

* * *

Na ekrany kin Związku Radzieckiego wchodzi obecnie polski film „Dwie brygady".

W czasie Dni Polskich, odbywających się w ciągu marca w Niemieckiej Republice Demokratycznej, wyświetlane są na ekranach NRD filmy polskie — „Warszawska premiera", „Pierwszy start", „Pokój zdobędzie świat", oraz krótkometrażówki „Wilhelm Pieck w Polsce", „Nowa sztuka" i inne.

* * *

Został rozstrzygnięty, ogłoszony przez ministerstwo kultury i sztuki, konkurs na sztukę dla teatru lalek. Pierwszej nagrody sąd konkursowy nie przyznał. Dwie równorzędne drugie nagrody otrzymali: Maria Kownacka za sztukę „Wawrzyńcowy sad" oraz Władysław Jarema i Kornel Filipowicz, autorzy sztuki „Nowy Guliwer". Ponadto nagrodzono adaptację baśni Andersena „Brzydkie kaczątko" pióra Kazimiery Jeżewskiej i opracowanie baśni ludowej „Dwie Marysie", dokonane przez Jadwigę Korczakowską.

* * *

W teatrze Narodowym w Pradze odbyła się uroczysta premiera „Halki" Moniuszki. Przy wystawieniu opery współpracowali ze strony polskiej — reżyser Merunowicz oraz baletmistrz E. Papliński. Kostiumy projektował artysta-malarz Cybulski z Krakowa.

* * *

Państwowa Opera Śląska w Bytomiu wystawiła po raz pierwszy w Polsce słynny balet Borysa Asafiewa „Fontanna Bachczysaraju", którego libretto oparte jest na poemacie Puszkina. Przedstawienie przygotował młody choreograf polski — Jerzy Gogół, stypendysta rządu polskiego, absolwent Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej im. Łunaczarskiego w Moskwie.

* * *

W Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych prócz sztuk, wymienionych w spisie, zawartym w rubryce „Z tygodnia" („Nowa Kultura" Nr. 10 z dnia 11.III.1951 r.) zakwalifikowano do wystawienia sztuki L. Rybarskiego „W stoczni" oraz Jerzego Pomianowskiego „Nożyce się odezwą" i „Faryzeusze i grzesznik".

Obok ostatniej komedii, dopuszczono też do Festiwalu — ze sztuk napisanych przed konkursem — „Wodewil Warszawski" Zdzisława Gozdawy i Wacława Stępnia.

* * *

Dwa teatry łódzkie, „Muzyczny" (dotychczas „Lutnia") i „Mały" (dotychczas „Osa") objęte zostały wspólną dyrekcją (dyr. Kazimierz Pawłowski, kier lit. Jan Rojewski).

Teatr „Muzyczny" pozostanie nadal przy repertuarze operetkowym, wystawiając w najbliższym czasie „Czardaszkę" Kalmana, a następnie m. in. „Orfeusza w piekle" Offenbacha w opracowaniu K. Gałczyńskiego, „Palestranta" Mileckiego w opracowaniu i reżyserii L. Schillera, „Piękną Helenę" Offenbacha w opracowaniu J. Tuwima oraz kilka operetek radzieckich.

„Teatr Mały" poza rewiami satyryczno - politycznymi wystawi „Wesoły pojedynek" (komedia z życia robotników „Pafawagu" we Wrocławiu) Anny Gorczyckiej i „Milionowe jajko" Marka Domańskiego.

* * *

W dniu 27 stycznia zmarł na Dolnym Śląsku wybitny historyk sztuki, profesor Uniwersytetu Łódzkiego dr Wacław Husarski, autor licznych monografii artystycznych oraz prac naukowych i popularyzatorskich, takich jak „Malarstwo nowoczesne" (Warszawa 1924), „Karykatura w Polsce" (Warszawa 1923), „Le style romantique" (Paryż 1931), „Attyka polska i jej wpływ na kraje sąsiednie" (Warszawa 1936), „Malarstwo włoskie" itp.

* * *

W Kwidzyniu (woj. gdańskie) przystąpiono do organizowania muzeum regionalnego. Siedzibą muzeum będzie zabytkowy zamek kwidzyński. Muzeum zgromadzi eksponaty, ilustrujące dorobek kulturalny ludu polskiego na Pomorzu Gdańskim, Żuławach i Warmii, m. in. ciekawe zabytki kultury materialnej ludności wiejskiej, narzędzia pracy chłopów, stare naczynia, rzeźby, obrazy i ubiory.

* * *

W Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie urządzona została wystawa pt. „Karykatura polityczna w walce o pokój", która obejmowała 35 prac czołowych polskich karykaturzystów politycznych.

W domu Plastyki w Krakowie otwarto wystawę prac malarskich Carlotty Bologna, S. Daniel-Kosowskiej i J. Stabrowskiej.

We Włocławku zorganizowano wystawę prac członków tamtejszego oddziału Związku Pol. Art. Plastyków — H. Królikowskiej, J. Kuczyńskiej, J. Majchrowicza, J. Stępnia i innych.

W Muzeum Pomorskim w Gdańsku otwarta została wystawa pt. „Ochrona pomników kultury w Polsce", która obrazuje dotychczasowe wyniki prac konserwatorskich przeprowadzonych w całym kraju.

Hiszpania po raz drugi

(Dokończenie ze str. 5)

w minionych walkach powiedział: „tak, tu był front" i po chwili dodał — „i jest front". A potem rozmowa wartko potoczyła się dalej. Owładnęły nami wspomnienia wojny. Walki toczyły się o tę wieś i o tamtą też. Jednostki Brygad Międzynarodowych kwaterowały i tu i tam. W tej właśnie kwaterowali „Garibaldczycy" i „Tjadmanowie" — a w tamtej „Dąbrowszczaki" i „Lincolny". Z wielką serdecznością mówił o „Rusos". Wszyscy wokoło słuchali ze wzruszeniem, gdy stary chłop zaczął mówić o przekroczeniu po raz pierwszy rzeki Ebro przed powtórnym wzięciem miasta Gandese — akcja nad Ebro była częścią ofensywy republikanów w lipcu 1938 r.

Siedzieliśmy w kuźni, gdzie nas zaprosił kowal i oddawaliśmy się wspomnieniom, które żyły w nas tak mocno, jak gdyby te sceny rozegrały się wczoraj — trudno nam było wrócić do rzeczywistości i uświadomić sobie, że jednak wypadki potoczyły się innym biegiem.

Nagle nastrój prysł. Do kuźni wpadł młody chłopiec ostrzegając, że „Civile" (gwardia miejska) zbliżają się.

Znamiennym jest dla siły oporu hiszpańskiego fakt, że mimo nieustannej propagandy faszystowskiej w szkołach — dzieci i młodzież nienawidzą na równi ze starszymi Franco i jego ideologii. Wyjeżdżając ze wsi ujrzałem na tle zburzonego domu drogowskaz, który wskazywał odległość do miasta Quinto — przypomniałem sobie, jak miasto to zostało odbite przy pomocy Brytyjskiego Batalionu. Przednie pozycje faszystów znajdowały się poza szosą, a na prawym brzegu Ebro ciągnęły się republikańskie linie. Wzdłuż brzegów rzeki ciągną się całe szeregi mogił. Faszyści na drugi dzień po ukończeniu wojny sprofanowali te groby, ale miejscowi chłopi wykopali zwłoki i pogrzebali je w innym miejscu. Przechadzałem się drogą do Lerida, na skręcie zauważyłem bunkier — częściowo był zburzony, częściowo pokryty ponurymi plakatami. Przypomniałem sobie, co mówił kowal o odcinku między Saragossą a Lezidą — ta część kraju ku południowi do Belchite i Gandesa jest jednym z najruchliwszych terenów obecnej partyzantki w Hiszpanii.

Za partyzantkę płacą chłopi. Z szosy Saragossa — Lezida oglądałem ruiny ich domostw, spalone gospodarstwa i opustoszałe pola. Chłopi nie zapomnieli reform rolnych Republiki i dlatego popierają w całym kraju partyzantów „guerilleros" prowadzących walkę dalej. Pomimo sporów w obozie republikańskim wojna trwa nadal rok za rokiem.

Pomyślcie — jedenaście lat! — mówią Hiszpanie — jedenaście lat wytrzymać w tych górach!! — Wytrzymują, czerpiąc swe siły z powszechnej w narodzie wrogości do reżimu generała Franco.

Po ulicach Lezidy przejeżdżały wspaniałe limuzyny turystów, wokoło nich kręcili się starzy mężczyźni, starając się nakłonić cudzoziemców do skorzystania z usług tego czy innego hotelu lub restauracji — lokale te wypłacały naganiaczom skromny procent. Często jednak ich rozpaczliwe wysiłki nie odnosiły skutku, mimo że biegli za maszyną sto albo i dwieście metrów.

Przy kolacji wszedłem w komitywę z usługującym mi kelnerem; po pewnym czasie zwierzył się, że chciałby opuścić Hiszpanię, ale jeszcze nie ma dostatecznej ilości pieniędzy na „zakup" paszportu zagranicznego. Opowiedział mi historię swego życia. Walczył po stronie republikanów, potem uciekł do Francji, schwytano go tam i przesłano do obozu koncentracyjnego w Le Vernet. W 1942 został zwolniony, pracę znalazł w Bordeaux, potem w Marsylii i po ogłoszonej w roku 1946 tak zwanej „amnestii" powrócił do Hiszpanii. Ale tu wsadzono go jeszcze na rok do więzienia, zanim pozwolono mu podjąć dawną pracę. Potwierdził wiadomości o żywej działalności partyzantów w terenie i popierał całym sercem ich nieugięty opór. Oczywistym było, że sam już zaniechał walki — lata obozu koncentracyjnego i więzienia sprawiły bowiem, że załamał się duchowo. Zgorzkniały i zniechęcony marzył o wyemigrowaniu do Meksyku, do Wielkiej Brytanii, obojętne dokąd — byle daleko stąd... daleko od reżimu Franco. Zarabiał 20 pesetów dziennie — miał rodzinę: żonę i dzieci. Opowiadałem mu o Asturii. Nie wiedział, że maurytańskie wojska (moros) wróciły i znowu pełnią straż tej prowincji. Skonstatowałem przy tym typowe zjawisko w Hiszpanii, mianowicie: jak mało ludziom jest wiadomo o tym, co dzieje się w innych częściach kraju.

Następnego dnia opuściłem Lezidę — krótko potem przekroczyłem granicę Francji.

W ciągu krótkich czterech tygodni tej podróży doznałem wielu wrażeń i wielu rzeczy doświadczyłem, mogłem więc wyciągnąć z tego parę prostych wniosków.

Przede wszystkim oczywistość tego, że „Falandze" po jedenastu latach władzy nie udało się stworzyć „nowej Hiszpanii", przeciwnie „Falanga" sprawiła to, że nigdy kraj ten nie był tak biedny i zniszczony. Cztery różne rodzaje policji — tajnej policji, uzbrojonych oddziałów, gwardii miejskiej itp. węszą, śledzą i terroryzują naród.

Podróżowanie w Hiszpanii Franco jest możliwe tylko za zezwoleniem policji.

Stan nieogłoszonego stanu wojennego istnieje w rejonach, w których działają partyzanci. Od 1939 roku trzy miliony mężczyzn i kobiet przeszło przez obozy koncentracyjne i więzienia. Faszystowskie represje uniemożliwiają jakąkolwiek odbudowę Hiszpanii. W całym kraju tysiące rodzin żyje w nieopisanych warunkach nędzy — istnieją całe miasta bud skleconych z desek. Natomiast budowa lotnisk, wojskowych domów, luksusowych dzielnic willowych i hoteli odbywa się w przyśpieszonym tempie.

Pomimo terroru naród na ulicach, po kawiarniach i tawernach jak i w prywatnym zaciszu wypowiada swoją nienawiść i niechęć do reżimu Franco.

Terror faszystowski nie może narzucić milczenia całemu narodowi, gdyż jest niemożliwością aresztować całą ludność.

Hiszpania obecna stała się faktycznie amerykańską bazą wojenną.

Oficjalne wprzęgnięcie Hiszpanii Franco do wojennych planów anglo - amerykańskich imperialistów potwierdziła ostatnia decyzja ONZ. Decyzja domagająca się wznowienia dyplomatycznych stosunków z tym krajem. Działalność podżegaczy wojennych idzie teraz według trzech głównych dyrektyw:

Wzmocnienie reakcji z Franco lub bez niego, złamanie Ruchu Oporu i wprowadzenie jednocześnie w błąd opinię publiczną co do jego istnienia.

Hiszpańscy wygnańcy i uchodźcy poza granicami kraju stworzyli zjednoczony Ruch Pokojowy, na jego czele stoi dr Giral, były premier Republiki Hiszpańskiej.

Ruch ten łączy walka o pokój i o zjednoczenie wszystkich prawdziwych patriotów hiszpańskich, którzy się buntują przeciw amerykańskim imperialistom, oraz walka o prawdziwą demokratyczną republikę jako jedyną drogę do zabezpieczenia pokoju.

Opowiadając się za poparciem reżimu Franco imperialiści demaskują się całkowicie; nastręcza to sposobności dla wszystkich przyjaciół hiszpańskiego narodu, aby jeszcze wyraźniej i dobitniej wysunąć sprawę Hiszpanii ,ażeby osiągnąć tym większe poparcie sprawy pokoju.

Niedostępna wysokość łańcuchów górskich, która była przyczyną tak długiego trwania feudalizmu — dzisiaj właśnie stać się może fundamentem jutrzejszego wyzwolenia kraju.

Paul Hogarth
przełożyła **Stefania Czajka**

JERZY PIÓRKOWSKI

Kilka problemów jednego filmu

I

Na ekrany naszych kin wszedł nowy film produkcji „Defy" pt. „Rada Bogów" (scenariusz F. Wolf i F. Gecht, reżyseria K. Maetzig). Film ten jest niewątpliwie wydarzeniem dużej miary nie tylko w niemieckiej ale również i w światowej, postępowej kinematografii. Przemawia za tym nie tylko jego tematyka i sposób jej rozwiązania, nie tylko znakomita po prostu strona formalna. Przemawia tutaj również, i to w sposób zasadniczy, jego wielka aktualność polityczna oraz ideologiczna dojrzałość. „Rada Bogów" obrazuje w syntetycznym skrócie dzieje wielkiego koncernu niemieckiego I. G. Farben. Są to dzieje zbrodni imperializmu niemieckiego i jego głównego kontrahenta — imperializmu amerykańskiego w okresie ostatnich osiemnastu lat. Jest to twardy, sprawiedliwy rozrachunek i z przeszłością narodową. Uczciwość tego rozrachunku, zrodzona z głębokiej świadomości ideologicznej, z poczucia odpowiedzialności artysty jako wychowawcy, jest poważnym wkładem do dzisiejszej walki o pokój, do uświadomienia ludzkości całej istoty tego krwawego zła, jakim jest wojna imperialistyczna.

II

W filmie „Rada Bogów" jeden z dyrektorów I. G. Farben w kilka chwil po odbyciu historycznej narady przedstawicieli niemieckiego wielkiego kapitału z Hitlerem stwierdza z cynizmem: „Gdyby Hitlera nie było, po prostu należałoby go stworzyć..."

Zdanie to dobitnie określa funkcję społeczną niemieckiego faszyzmu, który, jak każdy inny, był niczym innym jak — dyktaturą burżuazji. Ale owa dyktatura — to jednocześnie dowód słabości kapitalizmu, to świadectwo jego rozkładu. Przyzna to sam radca Mauch, główna figura koncernu, stwierdzając: „Możemy wybierać tylko między wzbierającym, czerwonym nurtem i milionami bezrobotnych, a Hitlerem i jego nowym porządkiem".

W okresie, gdy padały cytowane powyżej słowa, sytuacja polityczna w Niemczech była szczególnie dramatyczna. Charakteryzuje ją dobitnie Wilhelm Pieck (cytuję według pracy pt. „Z dziejów Komunistycznej Partii Niemiec", wydanie polskie, str. 31—32):

„Przy ponownych wyborach do Reichstagu w dniu 6 listopada (1932 roku — dopisek mój) narodowi socjaliści ponieśli dotkliwą porażkę. Stracili ponad 2 miliony głosów i 33 mandaty. Również SPD straciła znów 700 tys. głosów i 11 mandatów, gdy tymczasem KPD mogła zapisać na swym koncie zysk 700 tys. głosów i 11 mandatów. Padło na jej listę 5,9 miliona głosów, co oznaczało 100 mandatów.

Ujawniona w tych wyborach zmiana w nastrojach mas ludowych spowodowana była pewnym otrzeźwieniem w stosunku do polityki narodowych socjalistów, oburzeniem robotników na ataki kapitału monopolistycznego oraz tym, że masy ludowe były rozczarowane uchylaniem się przywódców socjaldemokratycznych od rozprawy z wrogiem robotników. W partii narodowo - socjalistycznej utrata 2 milionów głosów wywołała poważny kryzys w kierownictwie, pogłębiony jeszcze ciężkim stanem finansowym stronnictwa..."

Goebbels w pamiętnikach swoich z grudnia 1932 roku opisuje ten stan szczegółowiej i dość plastycznie (cytuję za pracą R. Sassuly'ego pt. „I. G. Farben"):

„Wielka depresja w całej organizacji. Odczuwa się zupełne znużenie; niczego więcej się nie pragnie, jak tylko uciec, choćby na parę tygodni, z tego całego interesu". I dalej: „Wódz godzinami przemierza pokój hotelowy... Nagle zatrzymuje się i powiada: Jeśli partia rozleci się, zastrzelę się po prostu..."

Ale Hitler nie potrzebuje strzelać do siebie. Znajdują się ludzie, którzy galwanizują tego, zdawałoby się, politycznego trupa. Tajemnicę owej galwanizacji wyjaśnia Wilhelm Pieck:

„Po przyjęciu przez Hitlera zobowiązania, że utworzy nowy rząd z partią niemiecko - narodową, magnaci ciężkiego przemysłu wyratowali partię hitlerowską od bankructwa finansowego. Te nowe, poważne środki pieniężne uaktywniły ponownie partię narodowo-socjalistyczną tak, że była zdolna rozszerzyć swoje bojówki terrorystyczne przeznaczone do gromienia robotników, oraz przygotować się do bezpośredniego ustanowienia dyktatury hitlerowskiej".

W roku 1945 radziecki sierżant Kantaria, wdzierający się do kancelarii Rzeszy, znowu przyprawi Hitlera o samobójcze myśli. Tym razem— za myślą pójdzie i czyn. Ale między tymi dwoma bliźniaczymi zdawałoby się stanami imperialistycznej kukły leży okres długich 13 lat, które kosztowały ludzkość ogółem około 100 milionów ofiar II-giej wojny światowej. Jakżeż wobec tej liczby bledną hekatomby Verdun i Ypres, jakże niepozorne są spustoszenia i zgliszcza wojny trzydziestoletniej!

A przecież w najlepsze jeszcze będą grały działa, gdy w centralnej Szwajcarii podobna rozmowa potoczy się między wysłannikiem I. G. Farben — Tilgnerem a Lawsonem, rzecznikiem Wall-Street, który otwarcie powie mającemu niewesołe horoskopy przed sobą Niemcowi:

„— Bylibyśmy partnerami, potem przeciwnikami, ale dzisiaj nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy byli znowu partnerami. Mamy przecież jednego wspólnego wroga: Rosjan".

Tak to, nim jeszcze umilkły wystrzały drugiej, rozpoczęły się przygotowania do trzeciej wojny światowej.

Wkrótce po tym zresztą nastąpiły i czyny. Jeden z czołowych ludzi

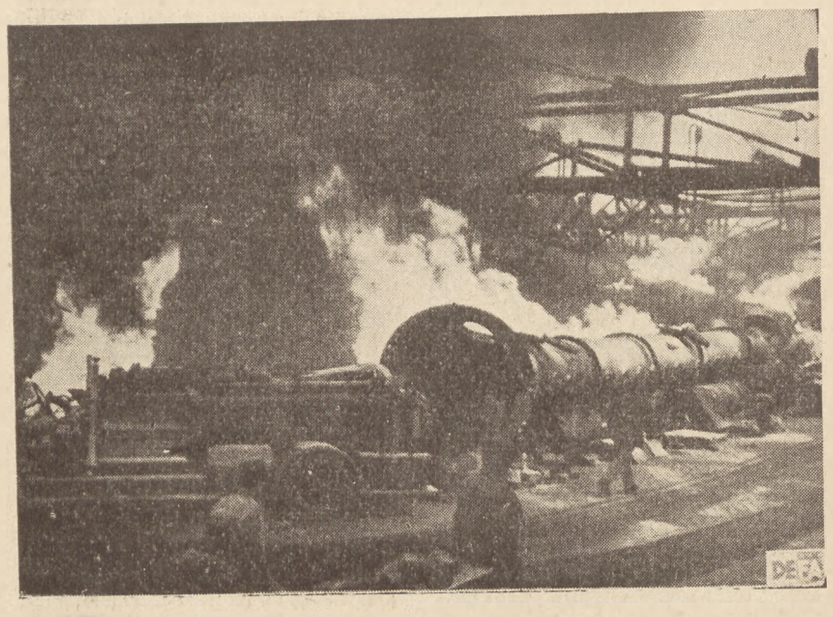

Scena z filmu „Rada Bogów"

Ameryki w Niemczech oświadczył oficjalnie, zaraz po Poczdamie (cytuję za Sassuly'm): „Jak możecie oczekiwać od nas karania Niemców za to, co sami zrobilibyśmy na ich miejscu".

A więc już i kierunek działania i wzory tego działania zostały sprecyzowane. W tym okresie czasu wiele się jednak na świecie zmieniło: A przede wszystkim w samych Niemczech ludzie poczęli rozumieć, gdzie tkwią prawdziwe korzenie wojen niosących śmierć setkom milionów istnień ludzkich. Radca Mauch i mr. Lawson zostają zaatakowani we własnym gnieździe przez ludzi, którzy nauczyli się rozumieć historię.

III

Tak wyglądają charakterystyczne węzłowe momenty filmu na tle dokumentów historii. Co jest jego główną zaletą? Jego siła demaskatorska, jego wielka wymowa oskarżycielska. Film ten nie tylko wzrusza, nie tylko zaciekawia. Przede wszystkim uczy rozumieć istotę zła. Film ukazuje tę prawdę. Na przykładzie dziejów I. G. Farben odsłania cały mechanizm spisku przeciwko pokojowi.

Sam temat, bardzo rozległy, stwarzał pod tym względem dużo niebezpieczeństw, tutaj wobec specyfiki tematycznej szczególnie aktualnych. A więc pasjonujący temat mógł zapanować nad realizatorami filmu, którzy ulegliby naporowi faktografii. Twórca stałby się w tym wypadku, a takie wypadki są dość liczne jeszcze, jedynie kronikarzem. Pójście po tej linii jest szczególnie niebezpieczne: rodzi fałsze ideologiczne, rozsadza utwór formalnie; w konsekwencji: osłabia a nieraz i niweluje jego wartość wychowawczą, społeczną. Jaka droga prowadzi do przezwyciężenia tego niebezpieczeństwa?

Jedno jest pewne i z miejsca rzuca się w oczy. Tak wstrząsająco, tak prawdziwie oskarżyć imperializm mógł tylko pisarz-komunista. Pisarz niemiecki, który zrozumiał winę swego narodu, narodu będącego w okresie II wojny światowej narzędziem imperialistycznej zbrodni, który zrozumiał zarazem jego całą w tym fakcie zawartą tragedię. Pisarz, który podjął aktywną walkę z tym złem.

Przypomnijmy sobie choćby dla porównania „Obywatela Kane" Orsona Wellesa — to pseudopostępowe dzieło amerykańskiego liberała.

Czyż ów film, zrobiony zresztą z dużym talentem, ukazuje prawdziwe oblicze Hearsta, czy go demaskuje? Nie, właściwie go usprawiedliwia. Welles nie umie rozszyfrować istotnej treści ideologicznej imperializmu amerykańskiego, a nie mogąc jej rozszyfrować, zaciera ją, ucieka na zaciszne, dobrze wydeptane ścieżki naturalizmu, psychologizmu, bo do tego zasadniczego zafałszowania obrazu świata sprowadza się jego rzekomy obiektywizm. Wolf i Gecht są pisarzami bezpośrednio zaangażowanymi politycznie. Tutaj przede wszystkim tkwi źródło wyższości ideologicznej i formalnej ich dzieła. Twórcza ideologicznie i artystycznie interpretacja, interpretacja oparta o naukowy, marksistowski światopogląd — oto rzetelny fundament ich scenariusza.

Istniało i drugie niebezpieczeństwo: wyobcowania ze środowiska, z życia narodu, zamknięcia akcji w sformułowania polityczne, trafne może, ale dogmatyczne. W takim wypadku postacie działające zamieniają się często w sloganowe formuły polityczne, ludzie przestają żyć i działać, przeobrażają się w papierowe manekiny.

Jakaż droga prowadzi do przezwyciężenia tego niebezpieczeństwa?

Tylko jedna. Jest nią jak najbardziej sumienne i wszechstronne zapoznanie się z problematyką tematu, z jego środowiskiem społecznym, ludźmi, ich historią, działaniem. A przecież historia I. G. Farben, zwłaszcza w XX wieku, to historia niemieckiego imperializmu. Dowiódł tego przekonywająco w bardzo trafnie udokumentowanej książce „I. G. Farben" Richard Sassuly.

Scenarzyści F. Wolf i F. Gecht uporali się i z tą podstawową trudnością. W oparciu o wszechstronne studia historyczne i społeczne, o doskonałą znajomość środowiska, potrafili stworzyć uogólnione ale typowe postacie, uogólnione, ale typowe konflikty, rzucając je na historycznie wierne, szeroko podmalowane tło epoki, i dzięki temu potrafili całości nadać dużą siłę dramatyczną, dużą plastykę wyrazu.

Dzięki temu film demaskuje nie tylko I. G. Farben, nie tylko niemieckich królów węgla, stali czy syntetycznego kauczuku, ale — i to jest szczególnie cenne — imperializm światowy, ustrój o którym mawiał Jaurés, iż nosi w sobie wojnę nieuchronnie, jak chmura gradowa — burzę.

IV

Kilka słów o głównych postaciach:

W pierwszym rzędzie o postaci, którą twórcy filmu demaskują ze szczególną pasją: o radcy Mauchu, głównym mózgu I. G. Farben.

Radca Mauch — to zewnętrznie łagodny starszy pan, pełen dystynkcji, pełen rodzinnych kłopotów, pełen współczucia i pamięci dla swoich współpracowników. A przecież autorzy filmu demaskują go szczególnie bezlitośnie. Ale nie przy pomocy naturalistycznych, jak to często bywa, odruchów. Nie deklaratywnym monologiem czy dialogiem. Te środki byłyby niewątpliwie fałszywe. Demaskują rzeczą najtrudniejszą, ale i najtrafniejszą. Samym działaniem i ukazaniem skutków tego działania. I trzeba widzieć jak przekonywająco to się twórcom filmu udało, jak każde pojawienie się Maucha budzi szmer oburzenia i pogardy u widzów.

Ale to wymierzenie głównego oskarżenia we właściwym kierunku nie służy bynajmniej F. Wolfowi i F. Gechtowi do odwrócenia uwagi od rzeczy drażliwej szczególnie, odpowiedzialności narodu niemieckiego. Twórcy filmu wskazują wyraźnie palcem i na tych, którzy dali się zaprzęgnąć do wykonywania krwawej roboty.

Bohater pozytywny filmu — doktór Scholz — jest obiektywnie współwinnym hitlerowskich zbrodni. Jego rzekoma apolityczność, jego rzekomo czysta nauka staje się w ustroju burżuazyjnym szyderstwem i kpinami ze zdrowego rozsądku.

Twórcy filmu idą po tej drodze dalej. Scholz uświadamia sobie przecież w końcu, iż gaz, do którego produkowania on swoimi teoretycznymi badaniami niemało się przyczynił, uśmierca miliony ludzi w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. I Scholz sterroryzowany— milczy, Scholz sterroryzowany — pracuje dalej.

Ale mimo tego, Scholz jest tym człowiekiem, w którym żyje jeszcze sumienie. Scholz ma na tyle odwagi, aby mówić, głośno krzyczeć na norymberskiej sali o swojej winie, o swojej ślepocie, o swoim lęku. Ta odwaga mówienia prawdy każe mu opuścić swoją fabrykę, która na nowo zamienia się w fabrykę śmierci. Ta odwaga mówienia na głos doprowadzi go po nowym bolesnym doświadczeniu do szeregów ludzi nie tylko już znających prawdę, ale aktywnie walczących o to, aby prawda ta ożyła i trwała w świadomości wszystkich ludzi dobrej woli. Miliony Scholzów znają tę prawdę. W tym fakcie, w jego konsekwencjach tkwi źródło siły obrońców pokoju.

Imperialistyczna „Rada Bogów" przestaje kierować losami bezwolnych dotąd milionów. Miliony te stają się zorganizowaną, ogromną siłą. I ta siła, licząca dzisiaj miliard ludzi, pilnie patrzy każdej „Radzie Bogów" na palce. Powędrują one przecież, podobnie jak i ich antyczna zasiadająca na Olimpie poprzedniczka, do muzeów, szaf bibliotecznych i grobów.

Scholz odszedł od swojej — klasy, ściślej — od klasy swego ojca — robotnika. I ów ojciec zresztą ją zdradza — należy do dobrze płatnej arystokracji robotniczej, ślepo wierzącej i murem stojącej za radcami Mauchami we wszystkich krajach imperialistycznych, we wszystkich krajach, żyjących z kolonialnego wyzysku. Jego syn — chemik Scholz jest — do czasu tylko — posłusznym narzędziem burżuazji. W końcu jednak Scholz znajduje wspólny język z klasą robotniczą. Znajduje ją we wspólnej walce o pokój, która jest jednocześnie walką o istnienie, o rozwój miłujących wolność i pokój Nowych Niemiec. I tutaj to Scholz podejmie ze swoim wujem - komunistą ciężką i uporczywą walkę. Walkę, która trwa.

Scholz przeciera oczy: pryska złuda pozornej neutralności. To etap wyższy, doskonalszy rozwoju walki o pokój: etap, w którym Scholz aktywnie występuje przeciwko Mauchowi i jego amerykańskim protektorom.

Od jej rezultatów ostatecznych zależy los pokoju w Europie. Dlatego też i film ten nie jest właściwie zakończony, gdyż każdy dzień niemal dorzuca nowe kartki do scenariusza. Niewątpliwie postępowa kinematografia niemiecka potrafi i ten nowy materiał scenariuszowy, ten nowy scenariusz, który opowiadać będzie o aktywnej walce doktora Scholza o pokój, równie znakomicie, równie twórczo zinterpretować i zrealizować. Nowy film niemiecki, demaskując hitleryzm i jego społeczne korzenie, wskazując na źródła narodowych słabości i klęsk, daje dowód swojego twórczego współudziału w toczonej dzisiaj wielkiej walce ideologicznej. Film „Rada Bogów" jest świadectwem, iż w walce tej odrodzona niemiecka sztuka potrafi iść w pierwszym, szturmowym szeregu.

Jerzy Piórkowski

P. S. W ramach artykułu nie omawiałem szczegółowiej walorów realizacyjnych „Rady Bogów". Godne są one osobnego, szerszego omówienia. Niemniej jednak, jeśli chodzi o nasz wkład pracy w to dzieło, a więc o dubbing, to trzeba powiedzieć, iż jest on bardzo zły i w poważnym stopniu osłabia oddziaływanie filmu. A wielka szkoda, film godzien był przecież pieczołowitej opieki, pieczołowitej pracy nad nim i z naszej strony.

J. P.

Dyskusja nad książką Marii Jarochowskiej

(Dokończenie ze str. 8-ej)

mówiła kol. Kierczyńska na temat obrazu okresu okupacyjnego. Obrazu Jarochowskiej nie będziemy mogli uznać za realistyczny obraz okupacji. Jakkolwiek bowiem w czasie okupacji ujawniło się dużo ujemnych cech ludzkich, to jednak dała nam ona również szereg przykładów ludzkiego bohaterstwa.

HELENA WIELOWIEJSKA

Książka Jarochowskiej powstała siedem lat temu i nie możemy stawiać jej tych wymagań, jakie stawiamy utworom pisanym obecnie. Źródłem ideowego błędu autorki jest w tym wypadku fałszywa perspektywa lat okupacji. Należy docenić jednakże mistrzostwo niezwykle wnikliwego, dociekliwego widzenia świata przez autorkę. Daje ono rezultaty w drugim jej opowiadaniu. Przypominam scenę samego strajku w „Buraczanych liściach", kiedy przyjechał starosta z policją. W pewnym momencie zginął synek pana domu i ten tajemniczy chłopaczek, o którym raz tylko Jarochowska wspomina, ujawnia swoje klasowe oblicze: podaje rewolwer i powiada: „kula w lufie". Do operowania takimi skrótami psychologicznymi trzeba przejść naturalistyczne studia, które jeżeli chodzi o „Niemiłosiernych", były przede wszystkim studiami stylu i studiami metod pisarskich.

MARIA JAROCHOWSKA

Kol. Kierczyńska mówiła, że nie rozumie, iż osoba, która napisała książkę o „Ludziach, którym nie stawia się pomników" mogła napisać „Niemiłosiernych". Otóż „Niemiłosierni" powstali przed tamtą książką. Była to pierwsza rzecz, którą w ogóle napisałam w Napisałam ją w r. 1944.

W wydawnictwie książka chodziła długie i zawiłe koleje tak długim czasie jest jus mnie samej bardzo obca.

Tu zahaczę o pierwsze w dys zagadnienie, czy jest to po środowiskowa. Nie chodzi o przedstawienie środowiska talnego w ogóle, lecz o bardzo s gólne środowisko. To był 194 Chodziło mi o przedstawienie dowiska bardzo ahumanistyc środowiska bardzo wąskiego. człowiek pisze pierwszy raz ciu, ma pewne ambicje natur czne, bo wydaje mu się, że sposób oddaje prawdę. Cho wtedy przedstawić wstrętne środowiska, ale nie przeciwsł łam temu nic innego właśnie tego, że brakowało mi id która by mi dawała obraz bardziej wszechstronny.

Przez swoją „bezstronność" łam wywołać w czytelniku re Chciałam, żeby czytelnik n bezstronny. Pracowałam w sz i ta powieść wynikła z przeży re po okupacji uważałam za ważne. Uważałam, że tych należy dyskwalifikować, de wać. To miała być powieść ciwko zakłamaniu ludzi, któr zornie są przyzwoici, a nie są w rzeczywistości. W 1945 roku dawało mi się to szalenie Dzisiaj jest inaczej. Ludzie stali już zdemaskowani i dlat książka stała się dziś nieakt

Co do „Buraczanych liści w związku z tym co powiedzi Putrament, że to jest powi rozpracowania — myślę, że matu tego nie będę jednak wracać. Teraz chcę napisać powieść o spółdzielni produk

WŚRÓD KSIĄŻEK

J. Likstanow. **„Zielony kamień".** Tłumaczył z rosyjskiego Józef Michniewicz. Okładkę projektował Piotr Baro. — Warszawa, „Czytelnik", 1950. Str. 379 i 1 nlb.

Czytelnikom polskim znany jest już J. Likstanow, jako autor powieści pt. „Malec", obrazującej wysiłek produkcyjny młodzieży radzieckiej w uralskich zakładach przemysłowych podczas drugiej wojny światowej. Akcja „Zielonego kamienia" toczy się również na Uralu, ale ta powieść ma zupełnie inny charakter: jest to historia całkiem sensacyjna, o posmaku detektywistycznym, osnuta wokół sprawy cennego metalu „uralitu" oraz szlachetnych kamieni — „almarynów".

Ta kopalnia, której odbudową kieruje młody i dzielny inżynier — Paweł Raskowałow, należała przed laty do prywatnych właścicieli. Jeden z nich — Rosjanin, Chałuzjew, żyje, zajmując się dość mętnymi transakcjami jubilerskimi; drugi — Amerykanin, Preiss, pozostawił syna, który, wraz ze wspomnianym Chałuzjewem, nie wyzbył się jeszcze nadziei na odzyskanie skarbów zapuszczonej, częściowo zniszczonej kopalni.

Robert Preiss, znalazłszy się po drugiej wojnie światowej na terytorium ZSRR w celach szpiegowskich, z ramienia pewnej amerykańskiej grupy finansowej, organizuje w okolicach odbudowanej kopalni szajkę sabotażystów, których celem jest nie dopuścić za wszelką cenę do podjęcia eksploatacji. Sabotażyści używają bardzo wyrafinowanych środków i sposobów, posługują się nawet sobowtórem inż. Raskowałowa, a w decydującej chwili, gdy grozi im niebezpieczeństwo wykrycia, nie cofają się nawet przed morderstwem.

Wszystkie te machinacje kończą się jednak niepowodzeniem: dzięki czujności i przezorności władz bezpieczeństwa wszyscy uczestnicy bandy Preissa zostają ujęci i unieszkodliwieni; Paweł Raskowałow, którego sabotażyści starali się wszelki sposób skompromito oczach zwierzchników, władz tyjnych i opinii publicznej, dzi z tej zawiłej afery czysty ki ujawnieniu i rozwikłaniu zrehabilitowany też został Pawła, ongi kierownik uralitu, zamordowany przez sów jeszcze w r. 1920, a oskarżony kłamliwie przez ców o czyny haniebne i przest

Powieść Likstanowa napisa zręcznie i zajmująco; autor jętnie plącze wątki fabularne dzo logicznie zdąża do rozw skomplikowanej intrygi pow wej. Tu i gdzie zdałoby się że więcej kompozycyjnej autor jednak nie chce pozo czytelnikom zbyt wiele przypuszczeń i domysłów, też obszernie i szczegółowo nia i uzasadnia „od siebie" kie perypetie sprawy.

Trzeba podkreślić, że sens powieść Likstanowa nie najmniej utworem pozba poważniejszego sensu i podłoża. Radziecki autor przestając na efektach skom wanej fabuły daje w swej ści sporo interesujących wiad ści o górnictwie uralskim w podkreślając i uwypuklając metod eksploatacji bogactw ralnych Uralu za czasów gdy kopalnie znajdowały się kach prywatnych, przeważnie dzoziemskich posiadaczy, i gdy znacjonalizowane przez radziecką przedsiębiorstwa pracują dla dobra i pożytku jącej komunizm społeczności. tym, Likstanow w sposób poglądowy zwraca uwagę nieczność aktywnej czujności sunku do zamaskowanych obcego kapitału, a taka pr jest całkiem aktualna i ma również poza granicami autora książki.

Przekład polski na ogół ny, — bez nieszczęsnego „wa to" nie mogło się jednak o

PIW

Wkrótce do nabycia we wszystkich księgarniach Domu Książki

ALEKSY FIODOROW
PODZIEMNY KOMITET OBWODOWY DZIAŁA
księga pierwsza, wyd. drugie
Str. 231 zł 8,40

JERZY MAREK
NAD NAMI ŚWITA
Str. 258 zł 6,60

PAUL TILLARD
ŻOŁNIERZE WOLNEJ FRANCJI
Str. 186 zł 5,50

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

KSIĄŻKI POPULARNO-NAUKOWE U PODSTAW WIEDZY

WŁODZIMIERZ ZONN
O PLANETACH KOMETACH I SŁOŃCU
Str. 264 zł 11,—

WŁODZIMIERZ ZONN
O GWIAZDACH I MGŁAWICACH
Str. 128 zł 7,—

G. J. BABAT
OPOWIADANIA O PRĄDACH WIELKIEJ CZĘSTOTLIWOŚCI
Str. 162 zł 7,—

TADEUSZ CZARNECKI
NAUKA GRY W SZACHY
Str. 276 zł 10,—

„CZYTELNIK"

Wkrótce do nabycia w księgarniach „DOMU KSIĄŻKI"

PIW

ROMAIN ROLLAND
JAN KRZYSZTOF
KSIĘGA PIERWSZA: Świt. Poranek. Młodzieniec.
Str. 485 zł 15,—
KSIĘGA DRUGA Bunt. Targowisko.
Str. 595 zł 18,—
KSIĘGA TRZECIA: Antonina. Dom. Przyjaciółki.
Str. 551 zł 17,—
KSIĘGA CZWARTA: Krzak gorejący. Nowy dzień.
Str. 462 zł 14,—

Państwowy Instytut Wydawniczy

KORESPONDENCJA

APEL MŁODZIEŻY NOWEJ HUTY DO ARTYSTÓW

Nowa Huta jest najpotężniejszym obiektem inwestycyjnym Planu 6-cioletniego. Pod Krakowem powstaje jeden z pomników Polski Ludowej. Obok miasta, w którym znajdzie mieszkanie 100 tysięcy robotników, powstaje potężny kombinat hutniczy — ich przyszły warsztat pracy.

Zdawałoby się, że taki wielki ośrodek otoczony jest troską instancji dbających o należyty rozwój kultury i sztuki, że tysiące młodych robotników mają zapewnioną po pracy kulturalną rozrywkę, że Nowa Huta cieszy się popularnością wśród literatów, aktorów, poetów, malarzy, artystów, że specjalnie zainteresowany tym jest Film Polski.

Kino w Nowej Hucie otwarto dopiero tydzień temu (a powinno ono być już przynajmniej w roku ubiegłym).

Dziwne, że literaci, malarze, scenarzyści filmowi, którzy bezustannie dyskutują, piszą milowe artykuły o realizmie socjalistycznym, o właściwym spojrzeniu na pracę robotnika, nie pokazują się z nich wej Hucie — a przecież każdy z nich nie omieszka gdzieś wlepić słowa „budowniczowie Nowej Huty — niewyczerpane źródło..."

Tow. Piórkowski dyskutując na łamach „Sztandaru Młodych" o filmie „Załoga" pisze — „Młodzież idzie w pierwszych szeregach realizatorów Planu 6-cioletniego — w pierwszych szeregach walczących o pokój...

Dzisiaj młodzież polska walczy o wykonanie Planu 6-cioletniego... ...budowniczy polskiego Komsomolska jak Pietrek Ożański... oto dzisiejsi bohaterowie naszej młodzieży..." — nie podkreślił tego, czego pragnie cała młodzież.

Że należałoby stworzyć film o bohaterskiej młodzieży miasta młodości, że należałoby uwiecznić walkę tej młodzieży o plan, że należałoby pokazać pracę „Brygad dni i nocy".

Czy Film Polski zastanowił się, że otwarcie w lutym 1951 r. kina w budującej się od 1949 r. Nowej Hucie i rzadkie reportaże to jeszcze nie wszystko? Czy tych kilku literatów, poetów uważa, że kilka wierszy i opowiadań jest dostatecznym odbiciem tego, co się tutaj tworzy? Poeci, literaci, malarze zamiast tworzyć w zaciszu swych gabinetów powinni przyjechać tutaj — połazić po nowohutnickim błocie, zobaczyć jak buduje się miasto i kto je buduje. (W Zarz. Pow. ZMP mamy kilka sztuk gumowych butów przewidzianych na takie wizyty — ale jak dotychczas leżą).

Ciekawie zachowuje się sam Kraków. — Jest tam kilka teatrów, Polskie Radio ma kilka zespołów artystycznych, są artyści malarze, śpiewacy, jest i instytucja powołana do organizowania imprez: „Artos", ale jak dotąd nie widać żadnego zainteresowania z ich strony Nową Hutą.

A Zarząd Powiatowy ZMP stworzył reprezentacyjny zespół pieśni i tańca i warto, żeby się ktoś nim zainteresował.

Na pewno aktorzy teatralni mają ambicję, aby ich gra na scenie była „realistyczna", aby w rolach robociarzy wypadli dobrze — ale jeśliby kogoś z nich zapytać czy wśród swoich przyjaciół ma kogoś, kto pracuje w fabryce — to nie wiem, czy otrzymałbym odpowiedź twierdzącą.

„Nowa Kulturo"! Zaapeluj w imieniu młodzieży Nowej Huty do wszystkich pracowników kultury i sztuki, do teatrów, do zespołów pieśni i tańca, aby przyjeżdżali do Nowej Huty.

Niech „Artos" zajmie się zorganizowaniem jakiejś stałej kulturalnej rozrywki dla młodzieży.

Akcja „Kraj dla Nowej Huty" trwa — robotnicy podejmują zobowiązania produkcyjne.

Czy nie byłoby pożądanym, aby pracownicy kultury i sztuki ze swej strony również podjęli podobne zobowiązania.

Zygmunt Paprotny
Zarząd ZMP — Nowa Huta

OD REDAKCJI

Apel kolegi Paprotnego z Nowej Huty zasługuje na gorące poparcie. Rzeczywiście Nowa Huta i jej młodzi budowniczowie nie mają zapewnionej do dnia dzisiejszego właściwej rozrywki kulturalnej. W Nowej Hucie zagadnienie popularyzacji czytelnictwa, filmu, teatru jest jeszcze nadal zaniedbane. Ministerstwo Kultury i Sztuki winno pomyśleć o planie pracy kulturalnej w Nowej Hucie, potężnym ośrodku, nie tylko budownictwa lecz również ośrodku wychowania młodzieży.

Ton listu kolegi Paprotnego nie jest jednak właściwy: zbyt pochopnie wyciąga wnioski i jest krzywdzący w stosunku do naszych pisarzy. Szereg pisarzy publikowało już swoje utwory o Nowej Hucie a wielu znajduje się jeszcze w trakcie pisania. T. Konwicki w znanym opowiadaniu „Przy budowie" mówił o początkach pracy w Nowej Hucie. W. Woroszylski napisał poemat p.t. „Świt nad Nową Hutą". M. Brandys opublikował już pięć opowiadań ze swojej książki, która ukaże się w tym roku. Wiersze o Nowej Hucie publikowali: A. Szymborska, R. Kapuściński, A. Braun, T. Kwiatkowski, piosenki o Nowej Hucie pisali: R. Sadowski, T. A. Włodek, W. Urgacz. Film Polski jak nam wiadomo pracuje nad dokumentarnym filmem o Nowej Hucie. Sytuacja nie wygląda tak tragicznie, jak to nam przedstawia w swoim liście kolega Paprotny.

REDAKCJA

O RZECZOWĄ KRYTYKĘ

Artykuł p.t. „Polszczyzna „Głosu Nauczycielskiego" zamieszczony w nr 10 „Nowej Kultury" ma dwa aspekty. Jeden — rzeczowy. Autorka zwraca uwagę na złą korektę stylistyczną pisma. Przytacza na to przykłady.

Nie będziemy się wdawać w polemikę. Nie będziemy dyskutować, czy błędne jest sformułowanie: „Mogłam nie zauważyć papierka leżącego obok kosza", albo znów, które sformułowanie jest poprawniejsze: „A co na to powie regulamin uczniowski" czy też: „I uczniowie nie poprawili wychowawczyni" — jak się wyraża autorka.

Nie ulega wątpliwości: są w „Głosie Nauczycielskim" niedomagania językowe. Rzeczowa krytyka ze strony naszych czytelników pomoże nam je przezwyciężyć.

Artykuł „Polszczyzna „Głosu Nauczycielskiego" posiada jednakże i drugi aspekt. Autorka usiłuje wyciągnąć daleko idące wnioski i uogólnienia nie oparte na żadnych podstawach. Sugeruje wprost, że nie warto czytać „Głosu Nauczycielskiego", że pismo to nie zawiera nic oprócz „zeszłorocznych fotografii i wierszy" oraz „błędów językowych".

Twierdzi ona dalej, że „brak podania źródeł artykułów tłumaczonych z obcych języków odstręcza od czytania". Tak jakby to, o czym opowiadają w swych artykułach nasi radzieccy koledzy: Koszelew — nauczyciel moskiewskiej szkoły średniej, Romanowa — nauczycielka szkoły wiejskiej, Borina — nauczycielka szkoły nr 75 w Leningradzie i wielu, wielu innych, o tym, jak osiągają pełną promocję uczniów, jak kierują pracą nauczycieli, jak wizytują szkoły, jak pracują w klasach łączonych itp. — nie zasługiwało na uwagę tylko dlatego, że nie zawsze podane jest źródło, skąd artykuł został wzięty. (Przyznajemy oczywiście, że niepodanie źródeł jest niedopatrzeniem).

Jeżeli autorka, „nauczycielka ze wsi" nic wartościowego w „Głosie Nauczycielskim" nie znajduje, to możemy ją skierować do kol. Stanisława Drewniaka, nauczyciela ze wsi Błędowa Tycz. w woj. rzeszowskim, który nadesłał do „Głosu Nauczycielskiego" list (patrz „Gł. Naucz." nr. 10):

„...Stwierdziłem, że bez „Głosu Nauczycielskiego" nauczyciel nie może wywiązywać się ze swych obowiązków, jeżeli naturalnie zależy mu na uzupełnieniu wiedzy drogą samokształcenia, i jeżeli pragnie wychowywać młodzież w duchu marksizmu - leninizmu. Wychodząc z tych założeń czytam troskliwie każdy numer, staram się wykorzystywać doświadczenia kolegów — nauczycieli...."

Możemy ją też odesłać do wypowiedzi nauczycieli z Suchowoli, pow. Sokółka, woj. białostockie, dla których każdy numer „Głosu Nauczycielskiego" jest „wydarzeniem". Całe zespoły na zebraniach ZOZ i MOZ studiują i dyskutują artykuły „Głosu Nauczycielskiego" (patrz nr 8). Nie są to głosy odosobnione.

Ogół nauczycielstwa widzi w „Głosie Nauczycielskim" jedyny publicystyczny tygodnik pedagogiczny, stojący zdecydowanie na gruncie ideologii marksistowsko-leninowskiej, pismo, które pomaga nauczycielowi wychowywać młodzież w duchu pedagogiki socjalistycznej. Tylko **rzeczowa** krytyka dopomoże nam w podnoszeniu „Głosu Nauczycielskiego" na coraz wyższy poziom.

Zespół redakcyjny
„Głosu Nauczycielskiego"

ORTOGRAFIA, ENCYKLOPEDIA I SŁOWNIKI

W 1950 roku komitet redakcyjny pod przewodnictwem prof. Doroszewskiego przystąpił do wydawania Słownika Polskiego, którego brak tak bardzo daje się odczuwać. Przedsięwzięcie tego rodzaju wymaga olbrzymiej pracy, a ponadto dużych kosztów; biorąc zaś pod uwagę konieczność zaspokojenia wzmagających się pod tym względem potrzeb kulturalnego rynku, będzie zapewne wydawnictwem masowym.

I tutaj w związku z artykułem p. Anny Klubówny „Nieco uwag o ortografii" (N. K. nr 9 z dn. 4.III.51) nasuwa się pytanie, jak wobec niewątpliwych tendencji, zmierzających do poczynienia zmian w pisowni obecnie formalnie obowiązującej, ma postąpić redakcja Słownika. Sprawa ważna, jedna z najważniejszych i najpilniejszych, których rozważenia i rozstrzygnięcia oczekują wszyscy, od nauczających na kursach dla analfabetów począwszy, a na wydawcach Słownika Polskiego skończywszy.

Gwoli ścisłości nadmieniam, że problem zmiany pisowni ostnieje od dawna, a po wojnie Wyszomirski pisał na ten temat w prasie łódzkiej.

Jesteśmy w przededniu kongresu nauki polskiej. Nie ulega wątpliwości, że ten aktualny problem, interesujący bezwątpienia najliczniejszą ilość ludzi w Polsce, będzie postawiony na porządku obrad.

Możliwe, że w tym kierunku zostały poczynione daleko idące przygotowania przez naszych językoznawców, tylko my „zwykli zjadacze chleba", nie mogący wiele czasu poświęcić śledzeniu czasopism specjalnych, nie jesteśmy zorientowani w tych sprawach.

Przy sposobności pragnę zwrócić uwagę na bardzo odczuwany zwłaszcza przez biblioteki gromadzkie i świetlicowe brak encyklopedii. Zdaję sobie sprawę, że to nie jest sprawa łatwa. Ale nie sądzę, żeby trudności nie dało się pokonać. Na ostatnio odbytej w Warszawie sesji naukowej poświęconej problematyce Polskiego Oświecenia (3—5.III.51) prof. J. Kott w swoim wybornym referacie sporo uwag poświęcił biskupowi Ignacemu Krasickiemu, luminarzowi tego okresu nie tylko w dziedzinie literatury. Otóż zdaje się w 1781 roku Krasicki wydał pierwszą w Polsce encyklopedię pod nazwą „Zbiór potrzebnych wiadomości". Wydaje mi się, że w 170-cioletnią rocznicę tego wydawnictwa kongres nauki polskiej winien powziąć odpowiednią uchwałę w celu powołania komitetu redakcyjnego i rozpoczęcia prac przygotowawczych do wydania Encyklopedii Powszechnej jeszcze w roku bieżącym.

Użyteczność encyklopedii nie ulega wątpliwości. Brak jej daje się odczuć na każdym kroku, zwłaszcza w naszej publicystyce. Ileż wysiłku energii i papieru zaoszczędzilibyśmy unikając pomyłek i ich sprostowań.

Encyklopedie Glücksberga, S. Olgebranda, Trzaski, Everta i Michalskiego i in. są przestarzałe, ale co najważniejsze, że mamy ich bardzo mało. Ilość tych encyklopedii w nikłym procencie może obsłużyć ludzi, którzy z tytułu swej pracy zawodowej od czasu do czasu muszą się jakimś leksykonem posługiwać.

Jeszcze jedna sprawa. Mam na myśli Polski Słownik Biograficzny — wydawnictwo Polskiej Akademii Umiejętności. Rozpoczęto go wydawać w 1935 roku. Do roku 1939 wyszły 24 zeszyty. Po wznowieniu wydawnictwa w 1946 r. wydano jeszcze 10 zeszytów. Ostatni 34 zeszyt ukazał się w 1949 roku i od tej pory zapanowała cisza na tym odcinku wydawniczym Polskiej Akademii Umiejętności. Wprawdzie ta instytucja naukowa zostanie wkrótce przekształcona na Polską Akademię Nauk (prasa codzienna donosi o ostatecznym przyjęciu projektu statutu nowej Akademii przez prezydium komitetu wykonawczego I Kongresu Nauki Polskiej) nie mniej jednak fakt ten nie powinien był wpłynąć na zahamowanie drukowania Polskiego Słownika Biograficznego. Tym więcej, że — zdaje się — zebrane i przygotowane materiały nie uległy zniszczeniu w czasie wojny i okupacji. Wchodziłaby raczej w grę konieczność uzupełnienia materiału i rozszerzenia kręgu osób, których nazwiska powinny znaleźć się w Słowniku. Miejmy nadzieję, że przekształcona Akademia Nauk zleci dalsze kontynuowanie tego pożytecznego wydawnictwa.

W. E. Nowakowski

O ENCYKLOPEDIĘ

Rosnący głód wiedzy, wyrażający się w masowym szkoleniu zaocznym, radiowym, zawodowym, we wzroście czytelnictwa, w szkoleniu samodzielnym (samouctwie) jest sygnałem do rychłego wydania encyklopedii powszechnej. Wołają o nią kierownicy zakładów, wyrośli w drodze awansu społecznego, wołają działacze społeczni i polityczni, wołają racjonalizatorzy, robotnicy i inteligenci pracujący. Jako nauczyciel spotykam się z tym zagadnieniem tak wśród starszej młodzieży jak i wśród dorosłych.

Wśród książek znajdujących się w bibliotekach państwowych, społecznych i osobistych uderza brak encyklopedii kierunkowych a przede wszystkim encyklopedii powszechnej. Zaspokojenie tej potrzeby szerokich mas pracujących jest nieodzowne.

Encyklopedia powszechna rozeszłaby się na pewno w bardzo dużym nakładzie, gdyby jej cena została skalkulowana odpowiednio do możliwości płatniczych świata pracy.

Bolesław Wojewódzki
Opoczno

Moniuszko na estradach robotniczych

Szczęśliwą inicjatywą ARTOS-u było zaangażowanie amatorskiego chóru młodzieży akademickiej jako stałej ekipy objazdowej, która pracuje obecnie pod kierunkiem Władysława Skoraczewskiego nad wzbogaceniem swego repertuaru o wartościowe pozycje polskiej muzyki operowej i wokalnej.

Pierwszym występem tej licznej, bo 70-osobowej ekipy śpiewaczej był koncert moniuszkowski zawierający partie chóralne i arie z „Halki", „Strasznego Dworu", „Verbum Nobile" i „Flisa" — koncert przeznaczony dla robotników Zakładów Włókniarskich im. Stalina i Bawełnianych im. Marchlewskiego w Łodzi. Z próby tej zarówno inicjatorzy jak i wykonawcy wyszli zwycięsko.

Gdyby delegatura łódzka ARTOS-u wywiązała się dobrze z zadania i zorganizowała należycie koncert od strony technicznej, nie byłoby może powodu do dygresji. Ale to pierwsze uroczyste spotkanie włókniarzy łódzkich z Moniuszką, pieczołowicie przygotowywane przez ekipę warszawską, nie było dostatecznie uzgodnione przez łódzki ARTOS z kierownikami świetlic fabrycznych. Skutkiem tego oba występy odbyły się o niewłaściwej porze. Pierwszy — naznaczony na godzinę ósmą wieczorem (!) wypadł wtedy, gdy właśnie w sali zakładów im. Stalina odbywały się występy zespołów świetlicowych. Koncert gości warszawskich przesunięto więc o godzinę, a tymczasem obraz sceny świetlicowej kazał wysnuć pewne, bynajmniej nie marginesowe, wnioski: bo oto z estrady robotniczej popłynęły dźwięki „cygańskiego romansu", a nasze dzielne włókniarki źle się czuły w roli cygańskich dziewoj poruszających się nie wiadomo dlaczego krokiem swingowym i brzęczących metalowymi obręczami w uszach. Na wezwanie zza sceny: „A teraz Dina, zaśpiewaj nam coś po naszemu, po cygańsku!" — usłyszeliśmy o nocy, w której słychać miłości zew, co burzy krew i o tym, że zielone oczy cyganki kłamią.

Kłamały nie tylko oczy cyganki. Fałszywy folklor cygański widoczny był w strojach, dekoracji i pseudo - ludowych melodiach. I wbrew temu, co się mówi o chwytliwości drobnomieszczańskiej lirycznej szmiry, „romans cygański" został oceniony przez robotniczą widownię właściwie.

Dezaprobata była tak oczywista, jak oczywiste było nieporozumienie między tym, co działo się na scenie a tym, czego od sceny oczekiwano. Niecierpliwym psykaniom nie było końca. Kiedy ogłoszono występ ekipy warszawskiej sala dopełniła się młodzieżą fabryczną. I nagle zmieniła się atmosfera. Pomimo późnej pory widownia skupiła się, czekała na „coś lepszego".

Program koncertu zawierał arie solowe: Stanisława z opery „Verbum Nobile" (Paweł Kruk, bas), Flisaka z opery „Flis" (Antoni Gołębiowski, baryton), Hrabiny (Maria Fołtyn, sopran) i dumkę Jadwigi z opery „Straszny Dwór" w wyk. Haliny Ottoczko (mezzo - sopran). Największym powodzeniem cieszyły się duety. Piękny duet Hanny i Jadwigi ze „Strasznego Dworu", doskonale wykonany przez obie solistki, zdobył sobie widownię, która reagowała żywo zarówno na treść muzyczną jak i fabularną. Podobnie dużymi brawami nagrodzono partie chórowe ze scen zbiorowych, szczególnie zaś fragment końcowy z III aktu „Halki" z udziałem chóru i solistów.

Prelekcja opracowana i wygłoszona przez prof. Stanisława Ursteina spełniła potrójne zadanie: nawiązała kontakt z widownią, wprowadziła słuchaczy w klimat oper Moniuszki i zainteresowała ich treścią. Chór, przygotowany bardzo starannie — wykonał na zakończenie czysto i z werwą fragment z „Goplany" Żeleńskiego — „Wesele".

W sumie, pomimo niedociągnięć organizacyjnych, obie imprezy odbyły się przy pełnej sali, obie były udane i stanowią jeszcze jeden dowód, jak bardzo są pożądane i potrzebne. Trudno już dziś powiedzieć, czy muzyka operowa, przenoszona w tej formie do masowego słuchacza, w środowiskach mniej wyrobionych zyska sobie popularność. Dobrze byłoby może wzbogacić repertuar operowy ekip objazdowych o szatę sceniczną, choćby najprostszą i wypracować dla tego repertuaru taką formę, która by dostarczyła widzowi wrażeń nie tylko muzycznych, ale wzbogaciłaby jego wyobraźnię od strony plastycznej, na którą jest szczególnie wrażliwy. Tym samym zbliżyłaby go do prawdziwej opery.

Maria Skroczyńska

KSIĄŻKI NADESŁANE

VIII. LITERATURA PIĘKNA

Teodor Dubkowiecki. Nowe życie wsi. (Biblioteka „Gromady"). Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 258, 6 nl.

Helena Iljina. Czwarte zwycięstwo. (Biblioteka „Gazety Robotniczej"). Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str. 187, 5 nl.

Włodzimierz Jurlezański. Rzeka ujarzmiona. Tom I i II. (Biblioteka „Trybuny Wolności"). Warszawa, 1950, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. t. I: 178, 2 nl; str. t. II: 275, 1 nl.

E. Kazakiewicz. Wiosna nad Odrą. Tom I i II. (Biblioteka „Gromady"). Warszawa, 1950, „Prasa Wojskowa"; str. t. I: 167, 1 nl; str. t. II: 324, 4 nl.

G. Linkow. Wojna na tyłach wroga. Wydanie IV. (Biblioteka „Gazety Robotniczej"; str. 235, 5 nl.

Jan Petersen. Nasza ulica. (Biblioteka „Trybuny Wolności"). Warszawa, 1950, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 272, 2 nl.

IX. LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Dwadzieścia cztery bajki. Wybrała i opracowała **Maria Górska.** Ilustrował **Ignacy Witz.** Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 98, 2 nl.

E. T. A. Hoffmann. Dziadek do orzechów. Na podstawie tłumaczenia **Józefa Kramsztyka.** Opracowała **Krystyna Kuliczkowska.** Ilustrował **J. M. Szancer.** Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 82, 2 nl.

A. Kononow. Przy żelaznym zdroju. Tłumaczyła **Jadwiga Kopciowa.** Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 134, 2 nl.

Wanda Markowska i Anna Miiska. Baśnie narodów Związku Radzieckiego. Ilustrował **Antoni Uniechowski.** Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 170, 2 nl.

L. Woronkowa. Słoneczny dzionek. Przekład **Zofii Łapickiej.** Ilustracje **Antoniego Pucka.** Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 56.

Bolesław Zagała. Sztygar oprowadza. Ilustracje **Aleksandra Bernacińskiego.** Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; 40 knl.

XII. SZTUKI PLASTYCZNE. ARCHITEKTURA

Grażyna Woysznis-Terlikowska. Wczoraj — dziś — jutro Warszawy. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 118, 2 nl.

XIV. ZAGADNIENIA GOSPODARCZE

N. Michajłow. Obszary i bogactwa ZSRR. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 58, 2 nl.

XV. ZAGADNIENIA POLITYCZNE I SPOŁECZNE

Yves Farge. Republiką w niebezpieczeństwie. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 39, 1 nl.

P. Gapoczka. Zespolenie interesów osobistych i społecznych w ustroju socjalistycznym. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 20.

Roman Kornecki. Wielkie spotkanie ludów. O II Światowym Kongresie Obrońców Pokoju. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 53, 3 nl.

II Światowy Kongres Obrońców Pokoju. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str 66, 2 nl.

N. Sizow. Maria Wołkowa. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 67, 5 nl.

Vladimir Pozner. Stany nie bardzo Zjednoczone. (Biblioteka „Trybuny Wolności"), Warszawa, 1950, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 310, 2 nl.

XVI. OŚWIATA. WYCHOWANIE

Jan Michalski. 55 lat wśród książek. Wspomnienia, wrażenia, rozważania. Z przedmową **Wacława Borowego.** Wrocław, 1950, Zakład Narodowy im. Ossolińskich; str. IX, 3 nl, 106, 2 nl.

XXIII. PODRĘCZNIKI SZKOLNE

Wybór pieśni Katulla i Horacego. Opracował **Jerzy Schnayder.** Wrocław, 1951, Zakład Narodowy im. Ossolińskich; str. 79, 1 nl i 78, 2 nl

JORGE AMADO
Rycerz nadziei
(Luis Carlos Prestes)
str. 300 9,60
✻
ALFRED VARELA
Ciemna rzeka
Powieść
str. 285 zł 12.—
✻
„CZYTELNIK"

KW
OSTATNIE NOWOŚCI WYDANE NAKŁADEM „KSIĄŻKI I WIEDZY" Z LITERATURY NARODÓW ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

	zł
FADIEJEW A. — **Klęska.** Str. 255	6,50
GORKI M. — **Klim Samgin.** T. 1/3, str. 599, 713, 423, płót. 15,—, 21,—,	10,—
GROSSMAN W. — **Stiepan Kolczugin.** T. 1/2, str. 426, 548, płót.	30,—
KOROLENKO W. G. — **W złym towarzystwie.** Str. 95,	2,70
KOŻEWNIKOW A. — **Brat oceanu.** Str. 391	12,—
PANOWA W. — **Towarzysze podróży.** Str. 271	9,—
POPOW WŁ. — **Stal i szlaka.** Str. 383, płót.	12,—
SAŁTYKOW - SZCZEDRYN M. — **Kukły i ludzie.** Str. 253, płót.	9,—
ŚLEPCOW A. — **Ciężkie czasy.** Str. 835,	12,—
UPIT A. — **Zielona ziemia.** Str. 715	24,—

NOWE KSIĄŻKI AUTORÓW POLSKICH

	zł
BIELICKI M. L. — **Towarzysze walki.** Powieść. Str. 138	3,90
BRONIEWSKI WŁ. — **Wiersze wybrane.** Ilustr. Ignacy Witz. Str. 96	3,—
DZIARNOWSKA J. — **Powieść o Annie.** Str. 230	6,70
MEISSNER J. — **Sześciu z „Daru Pomorza".** Powieść dla młodzieży. Ilustr. M. Walentynowicz. Str. 353	10,—
SZELBURG-ZAREMBINA E. **Śladem gołębi.** Książka dla dzieci. Ilustr. M. Mackiewicz. Str. 244.	10,—
WARNEŃSKA M. — **Czerwona kokarda.** Opowiadania. Str. 214	5,90
WYGODZKI ST. — **Nowa wiecznie nowa.** Reportaż literacki. Ilustr. Ignacy Witz. Str. 50	2,80

WYDAWNICTWO MIN. OBRONY NARODOWEJ

ZŁOTA SERIA LITERATURY ROSYJSKIEJ
MIKOŁAJ LESKOW
UTWORY WYBRANE
Tom II
str. 403 zł 12,70
✻
„CZYTELNIK"

ŁUKASZ KURDYBACHA
Dzieje kodeksu Andrzeja Zamoyskiego
str. 167 zł 7,50
„CZYTELNIK"
Wkrótce do nabycia w księgarniach „DOMU KSIĄŻKI"

ROGER GARAUDY
ŹRÓDŁA FRANCUSKIE SOCJALIZMU NAUKOWEGO
Str. 328 zł 10,—
AIME CEZAIRE
ROZPRAWA Z KOLONIALIZMEM
Str. 46 zł 2,50
ANDREE VIOLLIS
CO WIDZIAŁAM W INDOCHINACH
Notatki z podróży
Str. 215 zł 7,—
R. PALME DUTT
KRYZYS IMPERIUM BRYTYJSKIEGO
Str. 237 zł 8,—
„CZYTELNIK"
Wkrótce do nabycia w księgarniach „DOMU KSIĄŻKI"

TREŚĆ ZESZYTU 3 (61) „PAŃSTWA I PRAWA"

w Polsce. *Dr. Konstanty Grzybowski*, Dziekan Wydz. Prawa U. J. — O klasowe podłoże poglądów na państwo i prawo w starożytnej Grecji. *Dr. Manfred Lachs.* Prof. S.G.S.Z. — Imperialistyczne tendencje burżuazyjnej nauki prawa międzynarodowego. *Dr. Stanisław Ehrlich*, Prof. U. W. — Trzy kwestie z dziedziny problematyki bazy i nadbudowy (Przyczynek)

* * *

Dr. Jan Topiński, Prezes G.K.A. — Ogólne warunki dostaw. *Dr. Karol Koranyi*, Rektor U.M.K. — Zgon Prof. Przemysława Dąbkowskiego.

* * *

Z życia Zrzeszenia Prawników Polskich.

Z PRAC PODSEKCJI PRAWA I KONGRESU NAUKI POLSKIEJ

Konferencja z zakresu prawa państwowego i teorii państwa i prawa. Ogólnopolska konferencja nauki prawa administracyjnego (II). Konferencje grupy prawa finansowego (I i II)

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA

Ogólnoniemiecka konferencja prawnicza (Marian Muszkat). Przegląd czechosłowackich czasopism prawniczych (W. P.)

* * *

ORZECZNICTWO CYWILNE — ORZECZNICTWO KARNE — ORZECZNICTWO ARBITRAŻOWE — POLSKA BIBLIOGRAFIA PRAWNICZA.

Adres Redakcji: Warszawa, Marszałkowska 8 m. 14, tel. 814-02.
Prenumeratę przyjmuje PPK „Ruch", konto PKO Nr. I-14007.
Prenumerata półroczna zł. 18, roczna zł. 36. — Sprzedaż archiwalna — Warszawa, Smolna 12, konto PKO Nr I-15207
Cena pojedynczego zeszytu zł. 3.—

mała kronika

DRŻĄCĄ dłoń zanurzył w pękatej teczce, wyłobył z niej i położył na biurku gruby, zszyty czarnymi nićmi rękopis. Poprosiwszy go, aby usiadł, poprawiłem się z westchnieniem na krześle i przeczytałem tytuł: „Biurokraci". Komedia w trzech aktach z prologiem". Oho! — pomyślałem sobie, coś dla mnie, środowisko bliskie i znajome! Przejrzałem pobieżnie spis osób, dowiedziałem się, która jest pozytywnym bohaterem i zacząłem czytać: „Prolog. Pogodne popołudnie. W biurze wielkiej fabryki urzędnicy kończą już pracę. Dwie senne maszynistki prostują zmęczone plecy. Biurka zawalone stertami akt Kasa pancerna, zamknięta na cztery spusty. Szafa z aktami, szeroko otwarta, bo się nie domyka. Przez szerokie okna widać dziedziniec fabryki, kominy, hale maszyn, magazyny, zupełnie jak w „Awansie" Żółkiewskiej. W biurze pod piecem wygrzewa się młoda Rozmowna Niewiasta. Koło drzwi skupieni jak kuropatwy — Pisarz, Redaktor, Przewodnik. Dwaj ostatni stanowią milczącą asystę pisarza.

ROZMOWNA NIEWIASTA: Słuchajcie, panie, to straszne! Człowiek musi się po nocy zrywać, traci prawie godzinę na dojazdy, po południu to samo, już wytrzymać nie można! Prosiłam o zwolnienie, dyrekcja nawet się nie sprzeciwia, ale rada zakładowa się krzywi. Nie puszczają i kwita. Czy godzi się załatwiać człowieka trybem administracyjnym? Gdybym pracowała w filii w śródmieściu, zaoszczędziłabym dziennie godzinę. Ech, nie widzą człowieka! (Zapada w ciężkie, ponure milczenie, czochra się o ciepłe kafle).

PISARZ: A może wiecie coś o odczycie? Literatura w walce o pokój? Nikt w tym biurze nic nie wie. Czytaliście ten afisz? Wisi na bramie.

ROZMOWNA NIEWIASTA: Ach, prawda, jeszcze ten odczyt. (Odrywa się od pieca, podchodzi do telefonu, nakręca numer) Wartownia? Słuchajcie, zaraz zamknijcie bramę. Zebranie. Znowu? Tak, znowu. Jest odczyt. Nie wiem, jakiś. Ja wam każę, to wystarczy, nie? Tak, tak, tylko matki karmiące do dzieci. Że niedopuszczalne? Ja wam nie dopuszczę!

PISARZ: Pozwólcie, pozwólcie! To rzeczywiście skandal! To tak prowadzicie robotę kulturalną? Agitację polityczną zastępujecie idiotycznym zakazem? Czy kto z was powiedział załodze, że to będzie odczyt, związany z akcją Paktu Pokoju? Czy kto z was wyjaśniał znaczenie tej akcji?

ROZMOWNA NIEWIASTA: Iiii, kto by chciał. To element przepływowy, zmienny, kadrowej załogi mało. Jak opanujecie? Nie każecie przecie bywać na odczytach dyrekcji i urzędnikom, oni wszystko wiedzą sami! Wykształceni ludzie! (Wywiązuje się niecenzuralny dialog o dużych wartościach scenicznych: jędrne, bogate, dosadne słownictwo, wartkie tempo, wzmagające się napięcie uczuciowe, narastający konflikt. Wybuchowi konfliktu zapobiega wejście serdecznego, promiennego, uśmiechniętego Sekretarza Rady Zakładowej. Rozmowna Niewiasta wysuwa się chyłkiem z pokoju).

SEKRETARZ RADY ZAKŁADOWEJ: Towarzysze, aha, co to ja chciałem powiedzieć. Będziemy mieli niezłą frekwencję. Ludzie się garną. Robota postawiona. Brak będzie panów urzędników. Nigdy się nie cwapią. Ala nasza załoga! Bojowa!

PISARZ: To idealnie. (Żartuje) I możeście bramę zamknęli? Słyszałem o takich karygodnych wypadkach. Ułatwiają sobie faceci robotę.

SEKRETARZ RADY ZAKŁADOWEJ (gorąco, z wiarą): U nas się to nigdy nie zdarzy! U nas się tego nie praktykuje!

(Długie milczenie. Czas na odczyt. Idą wszyscy do świetlicy. Po drodze mijają zamkniętą bibliotekę. Bibliotekarka już poszła do domu: pracuje tylko do trzeciej, wydaje książki podczas pracy, gdy robotnik nie może odejść od warsztatu, potem ją „nic nie obchodzi". Świetlica zapuszczona, zimna, nieprzytulna. Stare, postrzępione, zaczytane gazety. Gazetka ścienna, nawołująca do głosowania „trzy razy tak" z roku 1946. Zresztą — jak mówi poeta — sowy i gacki. Wchodzą pierwsi robotnicy. Zbiera się ich około 40 — 10% załogi. Przyszło dwu urzędników — trzy procent pracowników umysłowych. Nikogo z dyrekcji: zero procent. Przedstawienie, zagajenie).

PISARZ: Koledzy, towarzysze, na świecie trwa walka o pokój. To bardzo konkretna walka: na naszym podwórku przede wszystkim, towarzysze. Jakże mówić o wspólnym wysiłku w tej walce, jeżeli wasi dyrektorzy uważają się za lepszych gości? Jakże mówić o bojowej poezji, postępowym dramacie, płomiennej publicystyce, o dziełach Nerudy, Hikmeta, Fasta, Erenburga, o „Ostatnim Etapie" Jakubowskiej i „Niemcach" Kruczkowskiego, jakże czytać „Słowo o Stalinie" Broniewskiego — jeżeli wasza biblioteka jest głucho zamknięta, a w świetlicy poniewierają się zleżałe gazety? Jakże można zastępować agitację prymitywnym administrowaniem? Walka o pokój toczy się nie tylko w Niemczech Zachodnich, we Francji, Włoszech; toczy się ona również w waszej fabryce, towarzysze. Wzmóżcie jej tempo, wyczyśćcie wasz teren z biurokratów, niedbalców, leniuchów, niedołęgów, wygodnisiów!

(Następuje żywa, ciekawa dyskusja z robotnikami o pokoju i planie. Odczyt literacki się przeciąga. Wreszcie przybysze opuścili fabrykę).

SEKRETARZ (ubierając się do wyjścia): Nic dziwnego, że ludzie nie przyszli. Tyle tych zebrań. W tym tygodniu jedno związkowe, nie, dwa. Zapomnieliśmy wstawić do porządku dziennego ważne sprawy i trzeba było zwoływać drugie. Same trudności!

ROZMOWNA NIEWIASTA: Przyjedzie taki facet na pół godzinki, terenu nie zna i mądrzy się. Nie można do ludzi podchodzić tak biurokratycznie. Ot, weźcie mnie: mieszkam daleko od fabryki, złożyłam już podanie o zwolnienie, chciałam was prosić... Czekajcie, no, czekajcie, nie uciekajcie! Nie uciekajcie! (woła coraz żałośniej, echo niknie w oddali. Kurtyna)".

Koniec prologu. Dalej — rękopis zawierał czyste, niezapisane karty. „A gdzież dalsze akty?" — zapytałem zdumiony autora. Odpowiedział pogodnie: „Dopisze je wydział kultury CRZZ. Po co posługiwać się fikcją tam, gdzie zwycięża realna, bojowa prawda? W roku ubiegłym siedem milionów widzów oglądało przedstawienia teatrów świetlicowych; setki tysięcy aktywistów posługują się „Głosem Pracy". Dlatego w akcji agitacyjnej i kulturalnej CRZZ potrafi wykorzystać pisarzy z właściwym sobie rozmachem i wytępi przejawy biurokratyzmu, panoszące się gdzieniegdzie w terenie. Dlatego, rozumiesz, sztuka moja będzie pogodna, uśmiechnięta, no, krótko mówiąc: optymistyczna".

Tadeusz Borowski

Głos Ameryki *rys. Baro*

Komentarze

Klacz czy kobyła?

Muszę wytknąć Borowskiemu pewne „drobiazgi" z jego „małej kroniki" drukowanej w numerze 5 „Nowej Kultury" z dnia 4 lutego br.

Intencja autora w tej „kronice" jest słuszna. Borowski na tle łączności pisarza z terenem walczy o poprawny język, dając nawet czytelnikowi przekonywające argumenty w postaci „notatek gaffologa".

Zastanowiło mnie jednak, ale nie przekonało życzenie Borowskiego co do umiejętności posługiwania się językiem potocznym. Według autora „jadąc do PGR pisarz musi przygotować się na studia językowe. Musi nauczyć się mowy chłopów spółdzielczych, poznać ścisłe określenia czynności, narzędzi, roślin; musi wiedzieć, że taka na przykład świnia to nie tylko świnia, ale również warchlak, maciora, knur, tucznik..., że klacz to co innego, niż kobyła, a — dajmy na to — konopie, to nie tylko konopie, ale również płoskuny, suszki, płonki albo też nasienniki, głowacze, głowatki, maciorki, zależnie od płci, że trawa..." itd. Krótko mówiąc: wsłuchuj się w potoczny język narodu (a oczywiście miej na względzie i Karłowicza!) — czy o to chodzi?

Wydaje mi się, że Borowski nieco przewulgaryzował zagadnienie. Chłopu dzisiejszemu nie chodzi o to czy pisarz w jakimś tam zdaniu użył słowa „warchlak" lub „knur". Obok wielkich spraw formalizujemy niepotrzebnie te mniejsze. Chłop wymaga dziś od pisarza przede wszystkim klasowego stanowiska, umiejętności wniknięcia w mechanizm społeczny stosunków wsi. Chłop dzisiejszy nie chce, aby go pisarz protekcjonalnie „poklepał po ramieniu" wyuczonym słówkiem — powiedzmy — kupkówki. Pisarza, który zechce pisać o wsi, nie uzbroją wyuczone „słówka" — jak zaleca Borowski. Ci z pisarzy, którzy pisali książki o wsi na pewno uśmiechną się, gdy im powiedzieć o tym np., że Żeromski jeżdżąc w teren zabierał z sobą słownik Lindego, tak samo jak uśmiechną się czytając „wskazówki językowe" Borowskiego.

Nasuwa się pytanie: czy wyuczenie się pewnej ilości słówek może dać pisarzowi odczucie środowiska? Nie. Odczucie to może dać tylko głęboka znajomość środowiska, a ta nie rodzi się z kilkudniowego pobytu „w terenie".

Czy nie za mało uwagi poświęca Związek Literatów Polskich pisarzom wyrosłym i wyrastającym ze wsi, których nie trzeba uczyć „słówek", bo mają ich bogate zasoby?

Ci ludzie znają dobrze środowisko, trzeba ich tylko niejednokrotnie uzbroić po prostu w ideologię, pokazać im zadania, które wytycza nam socjalizm, wziąć ich w opiekę. Czy np. takiego Józefa Pogana trzeba uczyć słówek? Ale trzeba go uczyć ideologii. A takich jak Pogan jest więcej. Jest wielu studentów pochodzenia wiejskiego, którym dziś dopiero Polska Ludowa dała warunki kształcenia się. Jest aktyw wiejski ZMP. Wśród tych ludzi należy szukać talentów pisarskich „uzbrojonych w słówka" i uczyć ich; ale nie słówek.

Ostatnie ożywienie prac Kół Młodych Pisarzy wskazuje na to, że wiele zmienia się na lepsze i że... strzał Borowskiego był rykoszetem.

Zdzisław Kubalski

W imieniu biologii

Nikt nie rodzi się pisarzem, różnymi drogami dochodzi się do literatury. Sam otarłem się kiedyś o biologię i dziwię się jeszcze czasami samemu sobie, dlaczego okazałem się wobec niej marnotrawnym synem. Ale mniejsza. Po co jednak wyciągam w tej chwili sprawy osobiste, które czytelnika niewiele interesują. Otóż z powodu satyrycznego wiersza Jerzego Litwiniuka zamieszczonego w numerze 50 naszego pisma. Jako krytyk nie mam pretensji do autora. Bije paskarzy, spekulantów, szabrowników — takich osobliwych bohaterów przez „b" z brzuszkiem. Mocno bije, niech bije. Powinien. To piszę jako krytyk. Ale jako niedoszły przyrodnik muszę zgłosić veto. Litwiniuk kończy swój wiersz słowami:

„bohaterowie tacy są ikrą,
z której się lęgną rekiny".

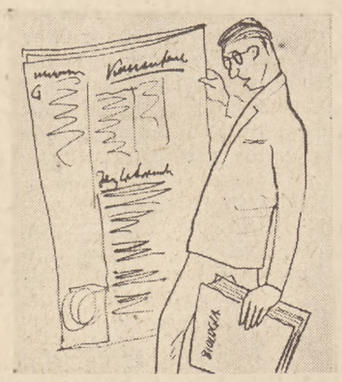

Nieprawda, drogi autorze! Rekin chociaż ryba, a nie ssak jak wieloryb, jest jednak żyworodny. Na pewno. To smutne, ale pointa waszego wiersza jest wobec tego z przyrodniczego punktu widzenia niesłuszna, chyba że ostatnio rekiny zmieniły sposób rozmnażania, o czym jednak nie słychać.

grz

Wstyd, wstyd...

Wśród wielu książek i broszur, jakie ukazały się po napaści amerykańskiej na Koreę poczesne miejsce zajęła książka „Korea walczy", wyróżniając się szatą graficzną i dobrym opracowaniem

Na okładce zamieszczono zdjęcie przemawiającego wodza bohaterskiej koreańskiej armii ludowej Kim Ir-sena na tle flagi. Właśnie na tle flagi. Wszyscy wiemy jak wygląda flaga koreańska: czerwona z niebieskim z czerwoną gwiazdą

na białym tle pośrodku. Nie wie tylko tego spółdzielnia wydawnicza „Książka i Wiedza" ilustrując okładkę wydanej przez siebie książki flagą używaną przez marionetkę Wall Streetu — rząd Korei Południowej.

Mówiąc najoględniej jest to co najmniej grube niedopatrzenie.

sk

„Przedstawicielstwo narodu" po amerykańsku

Wydawany przez ambasadę Stanów Zjednoczonych w Paryżu biuletyn prasowy zamieszcza dane dotyczące składu obecnego senatu i Izby Reprezentantów USA. Dowiadujemy się więc, że 28 nowych senatorów i 143 kongresmenów należy do „kół bankowych i wielkiego bussinesu", 12 senatorów i 70 posłów to „byli ministrowie i gubernatorzy", a 66 posłów i 42 senatorów ma wielkie posiadłości ziemskie. Któż jeszcze „reprezentuje" naród amerykański? A więc kilkudziesięciu adwokatów pełniących funkcje „doradców prawnych" w wielkich koncernach, 61 wydawców i dziennikarzy wielkiej prasy

monopolistycznej, no i kilku bonzów związkowych ze skrajnie reakcyjnej i idącej na pasku imperializmu Amerykańskiej Federacji Pracy (AFL).

Robotnicy, farmerzy, pracownicy umysłowi?! Ich nie znajdziemy w spisie przytoczonym przez biuletyn ambasady USA w Paryżu. Przecież o tym, kto ma wejść w skład „przedstawicielstwa narodu" decyduje, w chwili obecnej, nie wola narodu amerykańskiego, lecz garstka rekinów finansowych z Wall Street.

sk

Rommlowska porażka Hollywoodu

Aby przygotować w Stanach Zjednoczonych jak najprzychylniejsze przyjęcie nowego Wehrmachtu, jedna z wielkich wytwórni Hollywoodu rozpoczęła nakręcanie „historycznego" filmu z życia marszałka hitlerowskiego Rommla, którego szefem sztabu był, jak wiadomo, obecny doradca Eisenhowera — generał Speidel. Do filmu pod tytułem „Lew Pustyni" (początkowo był „Lis Pustyni", jednak uznano, że „Lew" będzie „bardziej zgodnie z historią"), który jest jednym wielkim hołdem dla „geniuszu" Rommla i jego generałów, potrzebne były macherom z Hollywoodu autentyczne zdjęcia z pustyni libijskiej dla zilustrowania walk Afrika — Korps. Postanowiono zwrócić się do francuskiego związku pracowników filmu, który takie właśnie zdjęcia posiadał w dużej ilości.

I tu Amerykanie dostali po nosie — pod wpływem demokratycznych mas członkowskich związek odmówił wypożyczenia niezbędnych zdjęć. Uczciwi Francuzi pamiętają bowiem dobrze wyczyny Rommla i jego żołdaków z czasów po kampanii afrykańskiej, kiedy to „bohater" Amerykanów dowodził pancerną armią we Francji.

sk

Kraj tysiąca szpiegów

„Washington Star" ogłosił artykuł o tak zwanej „działalności śledczej" władz amerykańskich, oceniając skromnie ilość agentów i sędziów śledczych w Stanach Zjednoczonych na 15.000 osób. Są to ludzie zajmujący stanowiska etatowe, oprócz tego współpracuje z tajną policją, według oceny tego pisma, 100.000 (słownie sto tysięcy) „nieoficjalnych" szpiclów. Liczba ta nie obejmuje personelu wywiadu armii lądowej, marynarki i lotnictwa jako też innych wywiadowców, tak zwanych „referentów" oraz „fachowców w sprawach śledczych", wreszcie członków „Komisji dla badania działalności antyamerykańskiej". Według danych „Washington Post" samo Ministerstwo Skarbu zatrudnia 3.000 agentów. Ludność Stanów jest posegregowana w kartotekach policyjnych i ma swoje metryczki polityczne. Jak widać, w kraju „zachodniej demokracji" szpicel siedzi na szpiclu i szpiclem pogania.

kst.

Nagonka na Howarda Fasta

Howard Fast został przez grupę studentów Uniwersytetu Columbia zaproszony do wygłoszenia odczytu w tej uczelni, ale zapobiegliwy wiceprezydent uniwersytetu Dr Grayson Kirk odmówił na to zezwolenia, komentując swój krok w liście do gazety „New York World Telegram-Sun", między innymi, następująco:

„Mr Fast jest nie tylko członkiem partii komunistycznej, ale także zawodowym pisarzem, który zniekształca w sposób najbardziej oburzający fakty amerykańskiej historii, przekręca je albo neguje. Ściągnął on do błota amerykańskie idee i ideały. Usiłuje rozsiewać w naszym kraju uprzedzenia klasowe, rasowe i religijne. Obecność Mr Fasta przyczyniłaby się w bardzo małym stopniu do odkrycia prawdy, w murach lub poza murami uniwersytetu".

Fast, którego życie i twórc[illegible] jest zaprzeczeniem oszczerstw Dr [illegible]sona Kirka, wystosował do redaktora „New York World Telegram-Sun" list, zbijający powyższe [illegible]rzuty. Listu tego gazeta oczywiście nie opublikowała. O jego treści [illegible]wiadujemy się z prasy Niemieckiej Republiki Demokratycznej, [illegible] Alfred Kantorowicz opublikował po otrzymaniu odpisu od autora. Fast pisze tam:

„Jakie argumenty ma pan [illegible] zwraca się Fast do redaktora „New York World Telegram-Sun" — na uzasadnienie przytoczony[illegible] przeciw mnie zarzutów [illegible] wiele lat krytycy literaccy [illegible] przeczali w pańskiej gazecie [illegible] oskarżeniom. Powiada pan, że [illegible]stem zawodowym pisarzem, [illegible]ry w najbardziej oburzający sposób zniekształca fakty amerykańskiej historii, przekręca je i [illegible]guje. Proszę przytoczyć choć[illegible] cień dowodu na takie oszczer[illegible] oskarżenie. Gdyby autor artykułu wstępnego zajrzał tylko do [illegible]nej z moich książek, to zgodziłby się z pozostałymi 300 krytykami, że żaden pisarz naszych czasów nie podkreślał tak stanowczo amerykańskich idei i ideałów, [illegible]den nie oddał im takiej sprawiedliwości, jak ja..."

W liście do Kantorowicza [illegible] dodaje: „Nie muszę chyba Panu wyjaśniać, co się dzieje teraz w Ameryce. Wy, którzyście w Niemczech kiedyś to samo przeżyli, znacie wszystko dobrze. Sytuacja zaostrza się z dnia na dzień. Mimo to walczymy zdecydowanie dalej".

Rankin robi porządek

„Demokratyczny" deputowany Rankin ze stanu Mississippi wy[illegible] sił płomienne przemówienie [illegible]ciw zalewowi Ameryki przez [illegible]dejrzanych cudzoziemców (nie [illegible] oczywiście na myśli faszystowskich imigrantów), którzy skażają „amerykański styl życia". W zapale Ra[illegible]kin urządził wycieczkę w odległą przeszłość, domagając się usunięcia z gmachu Izby Deputowanych „wszystkich obcokrajowców i [illegible]stąpienia ich przez Amerykanów". Przy tych słowach Rankin wskazał patetycznym gestem na posągi popiersia zdobiące galerię budynku Izby Deputowanych. Nieta[illegible] amerykańskiego posła ściągnęli na siebie między innymi Mojżesz, [illegible]lon, Justynian, Napoleon... i [illegible] że Grzegorz IX i Innocenty [illegible]. Wszyscy oni są mu podejrzani o [illegible]kieś tajne konszachty z komunizmem. Rankin prawdopodobnie [illegible]rzuciłby i kilku Amerykanów, szczególności posągi Waszyngtona i Lincolna, które przywodzą na [illegible]mięć niemiłe wspomnienie o demokracji amerykańskiej. Na ich miejsce wstawiłby popiersia [illegible] Ku-Klux-Klanu, Trumana i innych „prawdziwych" demokratów. Amerykańskie dzikusy robią [illegible] w historii, która im się bez wątpienia odwdzięczy pięknym za nadobne.

SPROSTOWANIE

W n-rze 11-tym „Nowej Kultury" w artykule Stefana Trau[illegible] pt. „Bohaterski generał Komuny" [illegible] drugiej szpalcie u dołu w [illegible] zaczynającym się od słów „Ale [illegible] tezy takie muszą być wtopione [illegible] zakończenie winno brzmieć: „[illegible]ralnie **nie** w dydaktyczno-podręcznikowym trybie".

W tymże numerze — recenzja [illegible]cha Budreckiego z „Największej [illegible]łości" Dobraczyńskiego została [illegible]myłkowo zatytułowana „Droga [illegible]motności i polityki". Właściwy tytuł artykułu brzmi „Sprawa samotności i polityki".

W n-rze 10-ym „Nowej Kultury" na str. 3 podpis pod fotografią „Międzynarodowy Dzień Kobiet" winien brzmieć: „*45-letnia* Joanna Pawela i 21-letnia Alfreda Gomułka na kopalni „Marcel" wyrabiają [illegible] procent normy".

Redakcja

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23 Adres administracji, ul. Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—; kwartalnie zł 9.—; półrocznie zł. 18.—; rocznie zł. 36.—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: 5 zł. 40 gr. za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń „Czytelnik". Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

Drukarnia Nr 2 Sp. Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik". Warszawa Marszałkowska 3/5